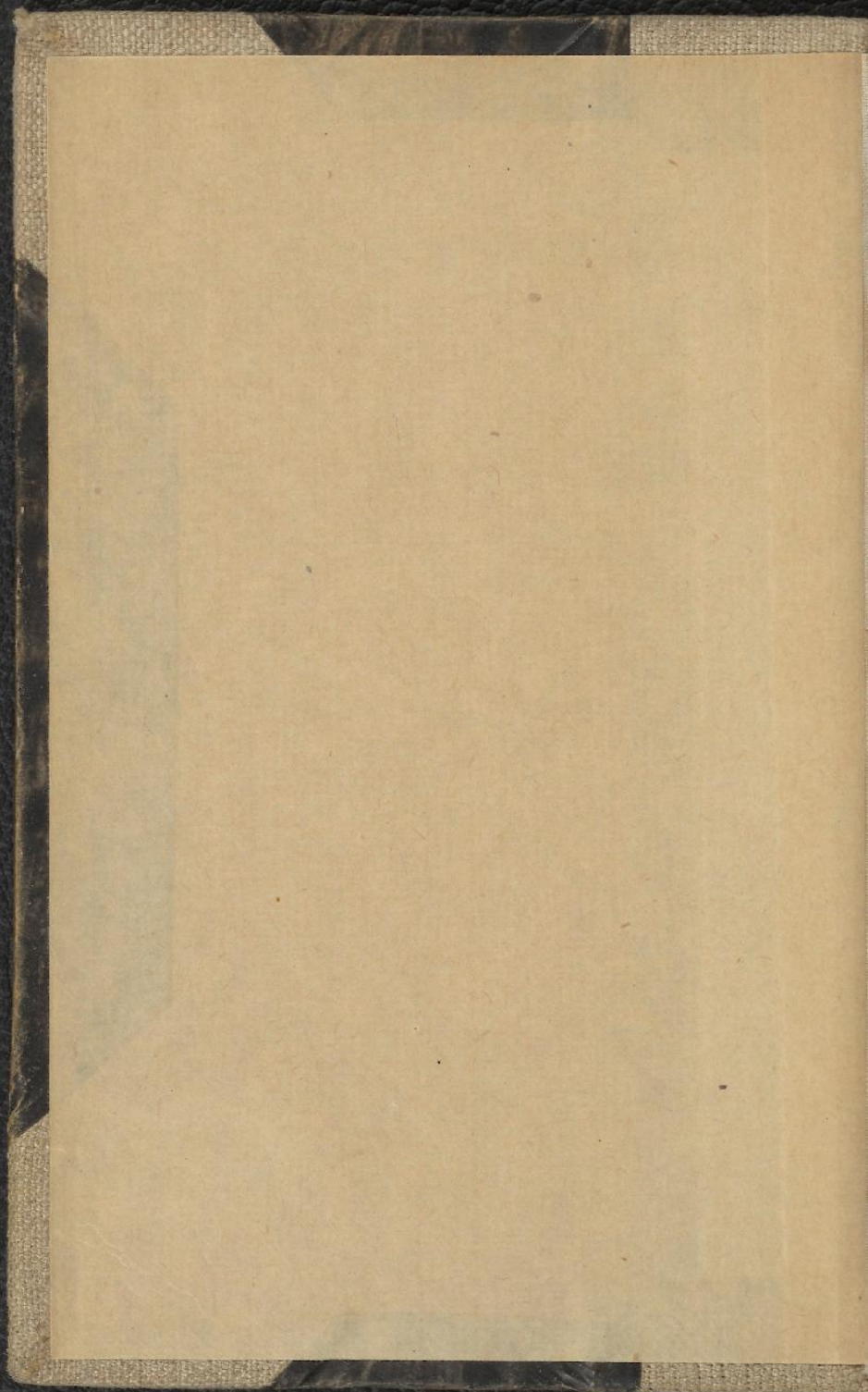
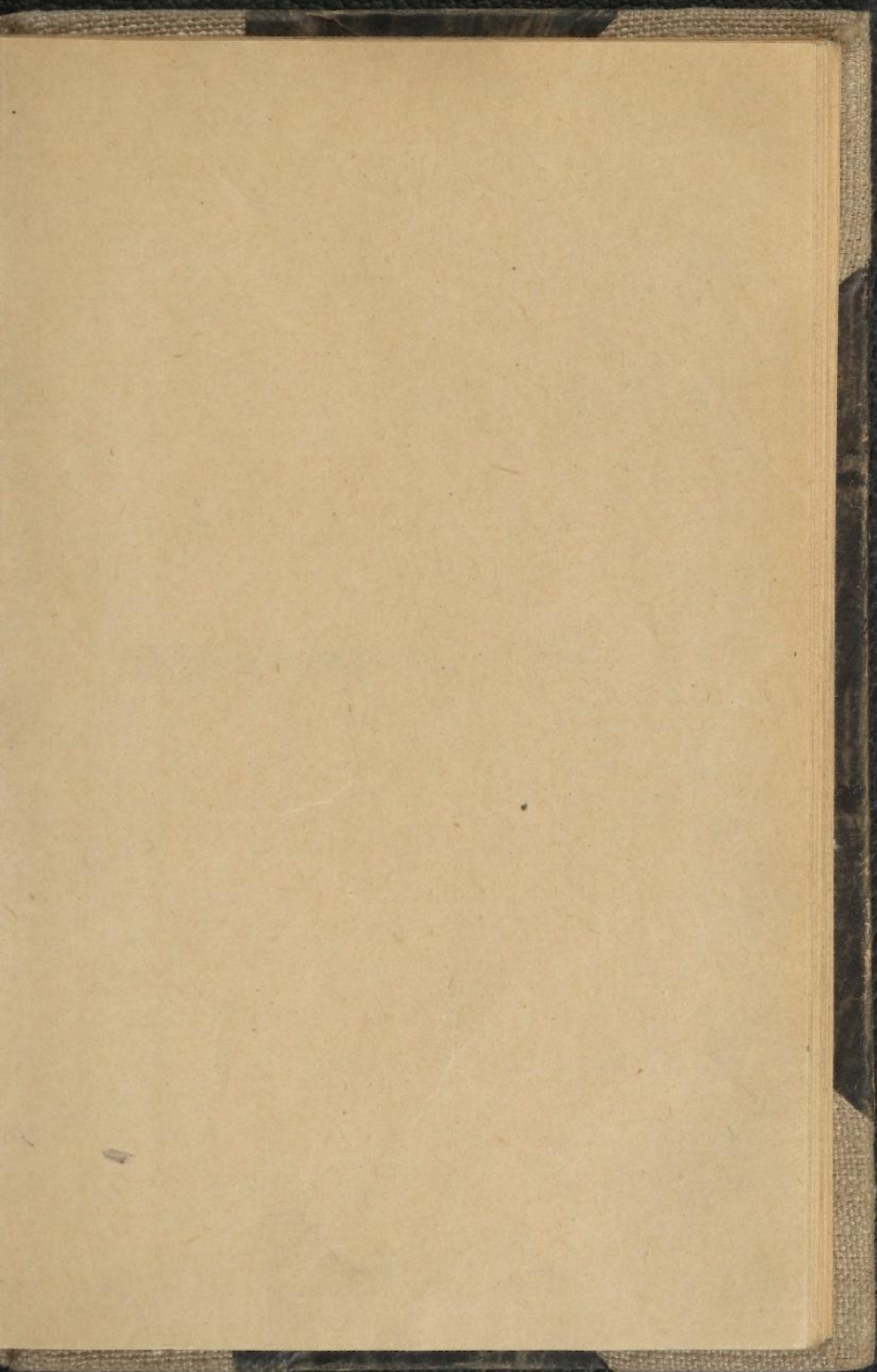
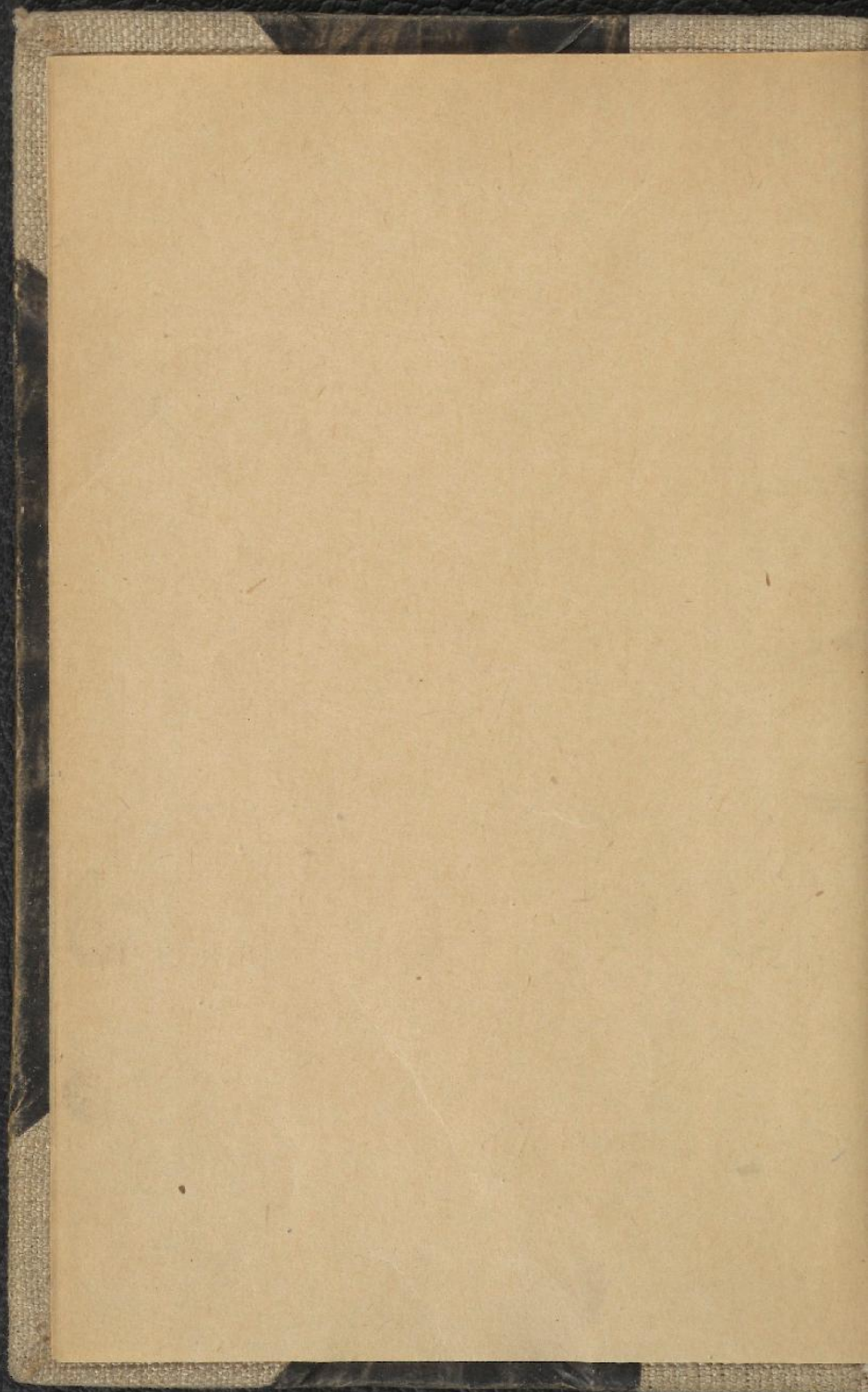


285-725







I. 285. 725

282 725





CZERWONYM SZLAKIEM.

Sm

*Bronisława Neufeldówna*

СОНЯН ДОУБЕ.



Czerwonym    

   szlakiem

(A STUDY IN SCARLET).

POWIEŚĆ.

Tłóm. z angielskiego

*Sp*

BRONISŁAWA NEUFELDÓWNA.



WARSZAWA

DRUK ED. NICZA i S-ki, NOWY-ŚWIAT 70.

1906

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001016027037



I. 285. 725



## CZEŚĆ I.

(Przedruk ze wspomnień H. Jana Watson'a, byłego lekarza armii angielskiej).

### ROZDZIAŁ I.

#### P. Sherlock Holmes.

W r. 1878 uzyskałem stopień doktora medycyny w uniwersytecie londyńskim i udałem się do Netley na kursa, przepisane dla chirurgów armii. Uzupełniwszy tam swoje studia medyczne, zostałem mianowany asystentem chirurga w 5-ym pułku strzelców Northumberland. Pułk stał wówczas w Indjach, i zanim zajęchałem na miejsce, wybuchła druga wojna z Afganistanem. Po wylądowaniu w Bombaju dowiedziałem się, że mój pułk przekroczył już wąwozy pograniczne i wtargnął do głębi kraju wrogów. Wraz z gronem oficerów, którzy znajdowali się w tem samym co ja położeniu, wyruszyliśmy w dalszą drogę i przybyliśmy bez przygód do Kandaharu, gdzie zastałem swój pułk i objąłem odrazu swoje obowiązki.

Wojna przyniosła niejednemu zaszczyty i awanse, mnie zaś tylko niedolę i klęski.

Przeniesiony ze swojej brygady do oddziału Berkshire'ów, brałem udział w fatalnej bitwie pod Maiwandem. Tam to kula strzaskała mi obojęk

i zadrasnęła arteryę. Byłbym niechybnie wpadł w ręce krwiożerczych Ghazów, gdyby nie przywiązanie i odwaga Murray'a, mojego ordynansa, który pochwycił mnie, rzucił na grzbiet konia pociągowego i dowiózł tak do szeregów brytańskich.

Wycieńzonego bólem, osłabionego dotkliwemi niewygodami, wysłano mnie, wraz z licznem gronem ranionych, do szpitala centralnego w Peszawurze. Tu zacząłem wkrótce odzyskiwać siły i poprawilem się już o tyle, że mogłem chodzić po salach, a nawet wygrzewać się na słońcu na werandzie, gdy powaliła mnie znów gorączka tyfoidalna, ta plaga naszych posiadłości indyjskich. Przez kilka miesięcy walczyłem ze śmiercią, a gdy nareszcie niebezpieczeństwo minęło i zaczęła się rekonwalescencya, byłem taki wychudzony i słaby, że konsylium lekarskie orzekło, iż każdy dzień zwłoki jest groźny i należy niezwłocznie odesłać mnie do Anglii. Wsiadłem tedy na okręt *Orontes* i w miesiąc później wyładowałem w Plymouth, mając zdrowie bezpowrotnie zrujnowane, lecz zaopatrzony wzamian w dziewięciomiesięczny urlop. Ojcowski rząd pozwolił mi spędzić ten czas na usiłowaniach, zmierzających do odzyskania zdrowia.

Nie miałem w Anglii ni krewnych, ni domu, byłem zatem wolny jak ptak—albo raczej taki wolny jak może być człowiek, mający do wydania dziennie jedenaście szylingów i sześć pensów. W tych warunkach udałem się naturalnie do Londynu, tego wielkiego zbiornika, do którego, gnany nieprzepartym pociągiem, daży z całego cesarstwa brytańskiego tłum próżniaków bez zajęcia i określonego celu w życiu.

Przez krótki czas mieszkałem w małym hotelu na Strandzie, prowadząc życie jednostajne, beczynne i wydając znacznie więcej pieniędzy niż mi było wolno. Stan moich finansów stał się niebawem taki niepokojący, że uprzytomniłem sobie, iż nale-

zało albo opuścić stolicę i osiąść gdzie na wsi, albo zmienić najzupełniej dotychczasowy tryb życia. Wybrawszy tę ostatnią alternatywę, postanowiłem wynieść się z hotelu i poszukać mieszkania mniej świetnego napozór i mniej kosztownego.

Tego samego dnia, w którym doszedłem do tego wniosku, stałem w barze Criterion, gdy nagle uczulem czyjąś dłoń na swem ramieniu—odwróciłem się tedy i ujrzałem młodego Stamforda, który był moim pomocnikiem w szpitalu Bartsa. Widok znajomej twarzy jest wielce przyjemnym dla człowieka samotnego wśród wielkomięjskiego gwaru Londynu. W dawnych czasach Stamford nie był mi bynajmniej bliskim przyjacielem, ale teraz powitałem go z uniesieniem a on, wzajem, był, jak się zdawało, zachwycony spotkaniem. W radosnym zapale zaprosiłem go na śniadanie do Holborna i po chwili wsiadaliśmy do dorożki.

— Co się z wami, u licha stało, Watsonie?— spytał Stamford z nieukrywanem zdziwieniem, gdy jechaliśmy gwarnymi ulicami londyńskimi.— Wychudliście jak szczapa i poczernieliście jak święta ziemia.

Opowiedziałem mu w krótkości swoje przygody i kończyłem właśnie, gdy stanęliśmy u celu.

— Biedaku!— rzekł tonem współczucia.— A cóż robicie teraz?

— Szukam mieszkania,— odparłem.— Usiłuję rozstrzygnąć zagadnienie, czy możliwe jest znaleźć wygodne *locum* za jakąś rozsądną cenę.

— Szczególna rzecz,— zauważył mój towarzysz;— już drugi człowiek dzisiaj mówi do mnie w ten sam sposób.

— A kto był pierwszy?— spytałem.

— Młodzieniec, który pracuje w laboratorium chemicznem w szpitalu. Zalił się dziś rano, że nie może znaleźć nikogo, ktoby chciał wziąć z nim do spółki mieszkanie, podobno bardzo ładne, ale za drogie na jego kieszeń.

— Ach, Boże!—zawolałem—jeśli istotnie pragnie znaleźć kogoś, ktoby dzielił z nim mieszkanie i komorne, służę mu. Wolę mieć towarzysza niż mieszkać samotnie.

Młody Stamford spojrział na mnie szczególnym wzrokiem, popijając wino.

— Nie znacie jeszcze Sherlock'a Holmes'a — rzekł—może nie będziecie go chcieli na stałego towarzysza.

— Dlaczego? co macie mu do zarzucenia?

— O, nie mówię, żebym mógł mu co zarzucić. Ale to poniekąd dziwak... entuzyasta w pewnych dziedzinach nauki. O ile go znam jednak, człowiek zupełnie przyzwoity.

— Pewnie student medycyny?—spytałem.

— Nie... nie mam pojęcia jakie są jego zamiary na przyszłość. Zdaje mi się, że zna dobrze anatomię, a napewno jest pierwszorzędnym chemikiem; ale, o ile wiem, nigdy nie uczył się medycyny systematycznie. Nauka jego jest dorywcza i nawet ekscentryczna, ale nagromadził w swym mózgu mnóstwo pobocznych wiadomości, któremi wprowadziłby niewątpliwie w zdumienie swoich profesorów.

— Czy nie pytaliście go nigdy jaki zawód zamierza obrać?

— Nie; nie należy do ludzi, z których można by coś wydobyć, choć z drugiej strony potrafi się wywnętrzyć, gdy mu przyjdzie fantazya.

— Radbym się z nim spotkać—rzekłem.—Jeśli mam mieć współlokatora, wolałbym, żeby to był człowiek pracowity i przyzwyczajen spokojnych. Nie mam jeszcze sił na znoszenie hałasu lub wzruszeń. Miałem i jednego i drugiego tyle w Afganistanie, że mi to starczy na resztę mego istnienia na tej ziemi. W jaki sposób mógłbym się spotkać z tym waszym znajomym?

— Jest teraz napewno w laboratorium — odparł mój towarzyszy.—Albo nie przychodzi tygodnia-

mi, albo też pracuje od rana do wieczora. Jeśli chcecie, pójdziemy tam po śniadaniu.

— I owszem—odparłem, poczem rozmowa przeszła na inne tory.

W drodze do szpitala, po wyjściu od Holborna, Stamford opowiedział mi jeszcze kilka szczegółów o człowieku, z którym miałem mieszkać.

— Tylko nie miejcie do mnie żalu, jeśli się z nim nie porozumiecie—mówił—znam go jedynie z laboratorium. Sami wpadliście na myśl wspólnego zamieszkania z nim, więc nie czynicie mnie za nie odpowiedzialnym.

— Jeśli pożycie wspólne okaże się dla nas niemożliwe, nie trudno nam będzie się rozstać—odparłem.—Zdaje mi się, Stamfordie—dodałem, patrząc bystro na swego towarzysza—że macie jakieś specjalne powody, by tak unywać ręce od wszystkiego, coby zająć mogło. Czy ten człowiek ma taki gwałtowny temperament, że należy go się obawiać? Nie bądźcież tacy skryci, mówcie co macie na myśli.

— Nie łatwa to rzecz wypowiedzieć to, co jest nieuchwytnie,—odrzekł ze śmiechem.—Holmes jest, jak dla mnie, za wielkim fanatykiem nauki... zdaje mi się, że skutkiem tego zatracił wszelką wrażliwość. Wyobrażam sobie, że byłby zdolny zaaplikować przyjacielowi szczyptę jakiejś świeżo odkrytej trucizny roślinnej i to bynajmniej nie przez niegodziwość, rozumiecie, ale prosto pod wpływem swego zmysłu badawczego, dlatego by mózdz zdać sobie dokładnie sprawę z tego, jak ta trucizna działa. Trzeba jednak oddać mu sprawiedliwość i zaznaczyć, że sam zażyłby trucizny z niemniejszą skwapliwością. Jest to człowiek, mający wprost namiętność do wiedzy ścisłej i dokładnej.

— I słusznie, mojem zdaniem.

— Tak, ale można posunąć tę zaletę do przesady; np. gdy badacz dochodzi do tego, że objaja

kijem na stole anatomicznym poddawanego sekeyi trupa, może się to wydawać co najmniej dziwnem.

— Obija trupa?

— Tak, dla sprawdzenia o ile ślady ciosów występują po śmierci. Widziałem to na własne oczy.

— A jednak mówicie, że nie jest studentem medycyny?

— Nie. Bóg jeden wie, jaki jest cel jego studyów. Ale, oto jesteśmy na miejscu i niebawem będziecie mogli sami wytworzyć sobie opinię o nim.

Gdy to mówił skręciliśmy w wąską uliczkę i weszliśmy małemi bocznemi drzwiami, prowadzącymi do jednego ze skrzydeł wielkiego szpitala; znalazłem tu wszystkie zakątki i nie potrzebowałem przewodnika, idąc po zimnych schodach kamiennych i dążąc długim korytarzem, o białych, wapnem pobielonych, ścianach, na który wychodziły drzwi, pomalowane farbą brązową. Na samym prawie końcu korytarza skręciliśmy w niski pasaż, prowadzący do laboratorium chemicznego.

Był to pokój bardzo obszerny, wysoki, zastawiony niezliczonemi butelkami i fiolkami. Szerokie niskie stoły poustawiane były we wszystkie kierunkach, a na nich, wśród retort i epruwetek jaśniały błękitnawe płomyki małych lampek Bunsena i rzuciły migocące blaski.

W sali tej, na samym prawie końcu, jeden tylko student stał pochylony nad stołem i zatopiony w swej pracy. Na odgłos naszych kroków obejrzał się i z radosnym okrzykiem, rzucił się ku nam.

— Mam go! mam go! — wołał do mego towarzysza, biegnąc z epruwetką w rękę. — Znalazłem jedyny odczynnik który osadza hemoglobinę! Jedyny!

Gdyby był odkrył kopalnię złota, oblicze jego nie mogłoby być rozpromienione większą radością.

— Doktor Watson, pan Sherlock Holmes—rzekł Stamford, przedstawiając nas wzajemnie.

— Jakże się pan ma?— spytał Holmes przyja-

źnie i uściśnął moją dłoń z siłą, o jaką nie posadzałbym go nigdy. — Widzę, że pan był w Afganistanie.

— A pan zkaż wie o tem? — spytałem zdumiony.

— Mniejsza o to,—rzekł, uśmiechając się z zadowoleniem. — W tej chwili najważniejszą sprawą jest hemoglobina i jej odczynnik. Nie wątpię, że panowie pojną całą doniosłość mojego odkrycia.

— Jest niewątpliwie ważne dla nauki chemii, — odparłem, — ale z punktu widzenia praktycznego...

— Jakto, panie, ależ od wielu lat nie dokonano odkrycia, które miałyby takie praktyczne znaczenie dla celów sądowo-lekarskich! Czyż pan nie widzi, że jest to niezawodny sposób rozpoznawania plam pochodzących od krwi? Niech-no pan przyjdzie tutaj! — i w zapale schwycił mnie za rękaw i pociągnął do stołu, przy którym pracował. — Weźmy trochę świeżej krwi,—rzekł, uklął się w palec lancetem i kroplę krwi, która wytrysła, zebrał w małą rurkę.—Teraz wlewam tę kropelkę krwi do litra wody. Jak pan widzi, woda pozostaje zupełnie czysta. Stosunek krwi nie może przewyższać jednej milionowej części. Nie wątpię wszakże, iż będziemy mogli otrzymać reakcyę charakterystyczną.

Mówiąc to, wrzucił do naczynia z wodą kilka białych kryształów, a potem dodał parę kropel przezroczystego płynu. W jednej chwili zawartość naczynia przybrała ciemną barwę mahoniową, a na dnie naczynia szklanego ukazał się brunatny osad.

— Ha! ha! — zawołał Holmes, klaszcząc w ręce, jak dziecko, zachwycone nową zabawką—i cóż pan na to?

— Zdaje się, istotnie, że to odczynnik bardzo czuły—zapuważyłem.

— Świetny! znakomity! Dawniej, przy pomocy gwajaku można było otrzymać z trudnością ja-

kie takie wyniki i to jeszcze bardzo niepewne. Rozbiór mikroskopowy krwi nie jest bynajmniej ściślej-  
szy, a nie ma wprost żadnej wartości, jeśli plamy  
mają kilka godzin. Tymczasem mój odczynnik dzia-  
ła równie dobrze, bez względu na to, czy krew jest  
świeża czy stara. Gdyby był znany wez-  
cześniej, setki ludzi, spacerujących swobodnie po kuli ziemskiej,  
byłyby już dawno ukarane za popełnione przestęp-  
stwa.

— Istotnie—szepnąłem.

— Jest to punkt główny wszystkich niemal  
spraw kryminalnych. Często bywa, że podejrzenie  
pada na człowieka w kilka miesięcy po spełnieniu  
zbrodni. Eksperci badają tedy jego bieliznę albo  
ubranie i znajdują brunatne plamy. Co to za pla-  
my? od krwi, błota, rdzy, czy soku owocowego?  
Pytanie to wprowadziło w niemały kłopot niejedne-  
go biegłego, a dlaczego? Dlatego, że nie było nie-  
zawodnego odczynnika. Teraz mamy odczynnik Sher-  
locka Holmesa i wszelka niepewność jest odtąd wy-  
łączona.

Oczy jego iskrzyły się, gdy mówił, a skoń-  
czywszy przyłożył dłoń do serca i złożył ukłon, jak  
gdyby dziękował jakiemuś urojonemu, oklaskujące-  
mu go tłumowi.

— Przyjmij pan moje powinszowanie—rzekłem,  
zdziwiony jego uniesieniem.

— Ot, na przykład sprawa von Bischoffa we  
Frankfurcie w zeszłym roku. Byłby niewątpliwie  
powieszony, gdyby ten odczynnik już istniał. A Ma-  
son z Bradfordu, a słynny Müller, a Lefèvre z Mont-  
pellier, albo Samson z Nowego Orleanu? Mógłbym  
wymienić cały szereg spraw, w których mój od-  
czynnik odegrałby rolę decydującą.

— Ależ pan jesteś chodzącym kalendarzem  
zbrodni—wtrącił Stamford ze śmiechem. — Mógłbyś  
pan wydawać pismo pod tytułem: *Nowiny policyjne  
z przeszłości*.



— Ręce panu, że byłyby bardzo zajmujące— odparł Sherlock Holmes, przylepiając plasterk na ranę, zrobioną w palcu lancetem. — Muszę być ostrożny, ciągnął dalej, zwracając się do mnie z uśmiechem—mam tyle do czynienia z różnemi truciznami—i pokazał mi dłoń, pozalepianą w różnych miejscach plasterkami i pełną plam od silnych kwasów.

— Przyszliśmy tu za interesem—rzekł wreszcie Stamford, siadając na wysokim trójnogu i podsuwając mi nogą drugi. — Ten oto mój przyjaciel szuka mieszkania, a że pan skarżyłeś się, iż nie możesz znaleźć współlokatora, pomyślałem sobie, że dobrzeby było was skojarzyć.

Sherlock Holmes przyjął z zapalem myśl wspólnego zamieszkania ze mną.

— Mam na widoku lokal przy ulicy Baker — rzekł—jak stworzony dla nas. Mam nadzieję że panu nie przeszkadza woń silnego tytoniu?

— Sam palę tylko tytoń „okrętowy” — odparłem.

— Doskonale. Uprzedzam pana, że zawsze pełno u mnie różnych chemikalii i że niekiedy robię doświadczenia. Czy to panu nie będzie przeszkadzało?

— Bynajmniej.

— Poczekaj pan... niech się zastanowię nad tem jakie mam jeszcze wady niemiłe dla współlokatora... A... miewam napady czarnej melancholii, a wówczas dniami całemi nie otwieram ust. Niechaj pan tylko wtedy nie przypuszcza, że dąsam się na pana. Zostawi mnie pan w spokoju i niebawem powrócę do równowagi. A teraz na pana kolej. Cóż mi pan powie o sobie? Bo widzi pan, uważam, że skoro dwaj ludzie mają zamieszkać wspólnie, lepiej jest, by z góry uprzedzili się wzajemnie o swoich wadach.

Roześmiałem się z tego badania.



— Mam szezeniaka, brytana—odrzekłem—protestuję przeciw wszelkim hałasom, bo nerwy moje strasznie rozstrojone, wstaję o rozmaitych niemożliwych godzinach i jestem niesłychanie leniwy. Posiadam jeszcze całą seryę innych wad, gdy jestem zdrow, ale narazie te są najważniejsze.

— Czy pan grę skrzypcową włącza do kategorii hałasów?—spytał z pewnym niepokojem.

— Zależy od gracza—odparłem.—Dobra gra skrzypcowa jest rozkoszą dla bogów, gdy tymczasem rzępolenie...

— O! to znakomicie—zawołał wesoło.—Zdaje mi się, że możemy uważać interes jako ubity... to jest, jeśli lokal spodoba się panu.

— Kiedyż go obejrzymy?

— Wstąp pan po mnie tutaj jutro w południe, pójdziemy razem—odparł.

— Doskonale... w południe, punktualnie—rzekłem, ściskając dłoń Holmesa.

Pozostawiliśmy go wśród retort i butelek i skierowaliśmy się w stronę mojego hotelu.

— Ale, ale—rzekłem nagle, zatrzymując się i zwracając do Stamforda—zkaż on, u licha, wiedział, że powróciłem z Afganistanu?

Mój towarzysz uśmiechnął się zagadkowo.

— Jest to właśnie jeden z jego osobliwych przymiotów — odrzekł. — Niemal ludzi już łamało sobie głowę nad tem, w jaki sposób Holmes odgaduje rozmaite rzeczy.

— Oho! a więc jest w tem jakaś tajemnica? —zawołałem, zacierając dłonie.—To zaczyna być zajmujące. Jestem wam bardzo wdzięczny za tę znajomość. Najwłaściwszym sposobem studyowania ludzkości jest, jak wiecie, stopniowe studyowanie różnych jednostek.

— A więc studyujecie tę jednostkę — rzekł Stamford, żegnając się ze mną. — Uprzedzam tylko, że będzie to zadanie do rozwiązania nielatwe. Za-

łożę się, iż niebawem on będzie wiedział o was więcej niż wy o nim. Do widzenia.

— Do widzenia—odparłem i ruszyłem w dalszą drogę do hotelu, na seryo zaintrygowany osobistością mojego nowego znajomego.

## ROZDZIAŁ II.

### Dedukcja nauką.

Następnego dnia spotkaliśmy się o umówionej godzinie i obejrzelśmy mieszkanie przy ulicy Baker Nr 221 b., o którym Holmes mówił. Składało się z dwóch wygodnych sypialni i z jednej obszernej, wysokiej, elegancko umeblowanej, bawialni o dwóch dużych oknach. Lokal był pod każdym względem taki pończny, a cena wydawała się taka umiarkowana, skoro mieliśmy ją płacić we dwóch, że dobiliśmy targu na miejscu. Ponieważ mieszkanie było puste, przeto tego samego wieczora jeszcze przeniosłem rzeczy z hotelu, a następnego dnia rano zjechał Sherlock Holmes ze skrzyniami i kuframi. Przez kilka dni byliśmy gorliwie zajęci odpakowywaniem, ustawianiem i układaniem naszych rzeczy. Poczem, ukończywszy tę pracę, zaczęliśmy urządzać gospodarstwo i przyzwyczajając się stopniowo do nowego otoczenia.

Holmes nie był bynajmniej człowiekiem trudnym w pożyciu. Spokojny w obejściu, prowadził życie systematyczne. Rzadko kiedy kładł się spać po dziesiątej, a zrana, zanim ja wstałem, on już, zjadłszy śniadanie, wychodził. Niekiedy spędzał całe dni w pracowni chemicznej, innym razem w sali sekeyjnej, a bywało, że wybierał się na długie przechadzki po najnudniejszych zaułkach miasta. Trudno sobie wyobrazić całą siłę jego energii, gdy

był w okresie czynu; ale od czasu do czasu przychodziła reakcja, a wówczas dniami całemi leżał na sofie w bawialni, bez słowa i bez ruchu prawie. W chwilach podobnych zauważyłem taki senny, bezmyślny wyraz w jego oczach, że byłbym niewątpliwie posądził go o używanie jakiego narkotyku, gdyby wzorowa jego wstrzeźliwość i przykładowy tryb życia nie zaprotestowały przeciw takiemu podejściu.

Mijały tygodnie a ciekawość moja wzmagała się stopniowo—jaki był właściwie zawód mego współpracownika, jakie miał cele w życiu? Sama postać jego zresztą mogła zwrócić uwagę najobojętniejszego obserwatora. Wysokiego wzrostu, miał sześć stóp przeszło, a był taki szczupły, że wydawał się wyższy jeszcze. Oczy miał bystre, przenikliwe, tylko nie podczas owych napadów odrętwienia, o których wspominałem; nos cienki, zakrzywiony, jak dziób drapieżnego ptaka, nadawał twarzy jego wyraz stanowczy i czujny. Podbródek, wystający i kwadratowy, był również cechą charakterystyczną człowieka silnej woli. Ręce miał zawsze poplamione atramentem i poparzone gryzącymi kwasami; przytem posiadał nadzwyczajną zwinność palców i lekkie dotknięcie, o czem przekonałem się niejednokrotnie, patrząc jak manipulował kruchemi narzędziami fizycznymi.

Jakkolwiek czytelnik może mnie pomówić o instynkty starej plotkarki, niemniej wyznaję, że człowiek ten intrygował mnie niesłychanie i że wielokrotnie usiłowałem przeniknąć tajemnicę, jaką się otaczał. Jednakże, zanim kto wyda wyrok na mnie, niechaj sobie przypomni jakie życie moje było bezcelowe i jak niewiele rzeczy zajmowało moją uwagę. Zdrowie pozwalało mi wychodzić tylko podczas wyjątkowo sprzyjającej pogody, a nie miałem znajomych, którzyby przyszli mnie odwiedzić i przerwać jednostajność takiego uciążliwego trybu życia.

Wobec takich okoliczności schwycilem skwapliwie tę sposobność zapelnienia czemśkolwiek czasu i snulem najrozmaitsze domysły na rachunek swego towarzysza.

Medycyny nie studyował. Potwierdził sam, w odpowiedzi na zapytanie, to, co mi o nim w tym względzie powiedział Stamford. Nie były też książki, które czytywał, ujęte w pewien system, pozwalający mu czynić postępy w pewnej określonej gałęzi wiedzy lub utorować specjalną ścieżkę do świata nauki. Wszelako zapal jego do pewnych studyów był istotnie niezwykły, a wiadomości jego, wychodzące po za obręb utartych granic, były takie obszerne i dokładne, że uwagi jego wprawiały mnie nieraz w zdumienie. Oczywiście—myślałem—nikt nie będzie pracował tak usilnie, ani usiłował zdobyć tak dokładnych wiadomości w pewnych kierunkach, jeśli nie ma na widoku jakiegoś określonego celu. Dorywczy czytelnik rzadko kiedy zdoła uporządkować w umyśle to, czego się nauczył. Nikt nie będzie obciążał umysłu przeróżnemi wiadomościami podrzędnymi, nie mając po temu ważnych powodów.

Jego nieuctwo w pewnych sprawach było równie zdumiewające, jak wiedza jego w innych. Z dziedziny literatury współczesnej, filozofii i polityki wiedział tyle, co nie. Gdy przytoczyłem pewnego razu Tomasa Carlyle'a, Holmes zapytał mnie najnawniej w świecie, kto to taki i co on zrobił? Zdumienie moje wszakże dosięgło szczytu, gdy wykryłem przypadkiem, że nie miał pojęcia o teorii Kopernika, nie znał wyjaśnienia systemu słonecznego. Fakt, że w końcu XIX wieku istniał człowiek cywilizowany, który nie wiedział, że ziemia obraca się dookoła słońca, wydawał mi się taki niesłychany, że nie mogłem wprost temu uwierzyć.

— Jesteś pan, jak widzę, zdziwiony,—rzekł, uśmiechając się na widok mego osłupienia.—Ale te-

raz, skoro już wiem, dołożę wszelkich starań, żeby o tem zapomnieć.

— Żeby zapomnieć!

— Widzi pan,—objasniał—mózg człowieka jest dla mnie niby pusty strych, który każdy winien sobie umeblować według własnego wyboru. Głupiec zapcha go tandetą, jaka mu się nawinie pod rękę, tak, że na wiadomości, które mogłyby mu przynieść istotny pożytek, nie będzie miejsca, albo, w najlepszym razie, znajdą się w takim chaosie wraz z różnemi rzeczami, że gdy nastarczy mu się sposobność skorzystania z nich, już ich wcale odnaleźć nie zdola. Natomiast pracownik zabiegliwy jest bardzo ostrożny w zapelnianiu swego strychu mózgowego. Umieści w nim tylko te narzędzia, które mogą mu być użyteczne w pracy, ale ma ich dobór obfity i wzorowo uporządkowany. Błędnem jest mniemanie, że ta mała izdebka ma ściany rozciągliwe, które może rozszerzać dowolnie. Wierzaj mi pan, iż nadechodzi czas, kiedy wzamian za każdy nowy dodatek do swej wiedzy, człowiek zapomina coś, o czem wiedział poprzednio. Ztąd też niesłychanie ważnem jest, by fakty niepotrzebne nie wypierały z miejsca pożytecznych.

— Ależ system słoneczny! — zaprotestowałem.

— A mnie co u licha po nim? — przerwał niecierpliwie;—powiadasz pan, że obracamy się naokoło słońca. Gdybyśmy się obracali dookoła księżyca nie zrobiłoby mi to najmniejszej różnicy i nie miałoby najmniejszego wpływu na moje prace.

Zamierzałem spytać go, jakie właściwie są te prace, ale coś nieuchwytnego w jego obejściu wskazało mi, że pytanie takie byłoby na razie niepożądane. Gdy wyszedł, zacząłem się zastanawiać nad tą krótką rozmową naszą i wysnuwać z niej wnioski. Holmes powiedział, że nie stara się o nabycie wiadomości, nie mających styczności bezpośredniej z jego celem. A zatem wszystkie te, które

posiada, są mu pożyteczne. Wyliczyłem sobie w myśli wszystkie przedmioty, z którymi wydawał mi się wyjątkowo dobrze obznajmiony. Wziąłem nawet ołówek i spisałem je, a gdym skończył tę robotę, nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu na widok dokumentu, jaki sporządziłem. Brzmiał, jak następuje:

### Streszczenie wiedzy Sherlock'a Holmes'a.

1. Literatura. — Nieznajomość zupełna.
2. Filozofia. —                    dto.
3. Astronomia. —                 dto.
4. Polityka. — Znajomość mierua.
5. Botanika. — Wiadomości nierówne. Obznaj-

miony doskonale ze wszystkim co dotyczy belladony, opium i trucizn wogóle. Nie ma pojęcia o ogrodnictwie praktycznem.

6. Geologia. — Wiadomości praktyczne, lecz ograniczone. Odróżnia od pierwszego rzutu oka różne gatunki gruntu. Za powrotem z przechadzek pokazywał mi niejednokrotnie plamy na spodniach i objaśniał jak, po barwie i składzie, poznaje z jakiej dzielnicy Londynu pochodzi każda plama.

7. Chemia. — Wiadomości bardzo gruntowne.

8. Anatomia. — Wiadomości dokładne ale niesystematyczne.

9. Literatura sensacyjna. — Znajomość niesłychana. Zdaje się, że wie o każdym szczególe każdej ohydy, popełnionej w ciągu wieku.

10. Gra dobrze na skrzypcach.

11. Jest wyśmienitym bokserem, fechtuje się świetnie.

12. Zna dobrze przepisy kodeksu brytańskiego.

Ale zaledwie skończyłem ten spis, wrzuciłem go w ogień ze złością.

— Zamiast męczyć się nad tem, — pomyśla-

łem,—do czego może prowadzić taki zbiór przeróżnych wiadomości i jakiego jest rodzaju zawód, w którym się mogą przydać, lepiej od razu zrezygnować.

Wspomniałem, że Holmes grał dobrze na skrzypcach. Miał istotnie duży talent, ale objawiał go w sposób równie ekscentryczny, jak wszystkie inne wiadomości. Że grał wprawnie utwory niełatwe, wiedziałem o tem dobrze, bo na moje prośby grywał mi pieśni Mendelssohn'a i inne głośne kompozycje. Gdy wszakże brał skrzypce z własnego powodu rzadko kiedy grał jak się należy. Siedział najczęściej wyciągnięty w fotelu, zamykał oczy i brzdąkał po strunach skrzypiec, które kładł na kolanach. Niekiedy wydobywał dźwięki łagodne i smętne, niekiedy struny rozbrzmiewały wesoło, energicznie. Najwidoczniej odpowiadał w ten sposób na swoje najskrytsze myśli; ale czy ta muzyka miała na celu podniecić jego wyobraźnię, czy też wynikała z chwilowego kaprysu,—powiedzieć nie potrafię.

Zbuntowałbym się niechybnie przeciw tym denerwującym popisom, gdyby nie to, że zazwyczaj kończył je odegraniem całego szeregu moich ulubionych utworów, chcąc tem, niewątpliwie, wynagrodzić mi owo wystawianie na próbę mojej cierpliwości.

Przez pierwszy tydzień nikt nas nie odwiedził i zacząłem przypuszczać, że mój współlokator jest człowiekiem równie osamotnionym jak ja. Stopniowo jednak przekonałem się, że ma dużo znajomych, i to we wręcz przeciwnych sferach towarzyskich. Zauważyłem, między innymi, małego, szczupłego mężczyznę, o twarzy bladej, oku czarnem, przeszywającym, którego głowa przypominała szczególnym kształtem łeb szczura. Przychodził dwa, trzy razy na tydzień, a Holmes przedstawił mi go jako pana Lestrade'a.

Pewnego ranka znów przysłała młoda dzie-



weszyna wytwornie ubrana i siedziała przeszło pół godziny. Tego samego dnia popołudniu zjawił się siwy jegomość, w wytartym ubraniu, który wyglądał na Żyda handlarza i wydawał mi się bardzo wzburzony. Niezwłocznie prawie po nim ukazała się stara kobieta w podartych trzewikach. Innym razem jakiś stary, siwowłosy, pan miał naradę z moim współlokatorem, a nazajutrz przyszedł urzędnik kolejowy, którego poznałem po mundurze. Niekroć zjawił się taki gość dziwaczny, Sherlock Holmes prosił mnie, bym mu pozwolił korzystać z bawialni, a ja wówczas zamykałem się w swojej sypialni. Tłómaczył się zawsze i przeproszał mnie za tę subjekcję. „Ten pokój — mówił — musi mi służyć za biuro; ci wszyscy ludzie to moi klienci“. Byłbym znów mógł skorzystać z tej sposobności i zapytać go zniechęca, ale wrodzona delikatność powstrzymała mnie od zmuszenia go do zwierzeń. Nadto, zezasem, zacząłem przypuszczać, że Holmes ma jakieś specjalne powody do pomijania milczeniem swego właściwego zajęcia; niebawem wszakże sam wyprowadził mnie z błędu.

Dnia 4 marca, — mam poważne powody pamiętać dokładnie tę datę — wstałem nieco wcześniej niż zwykle i zastałem Sherlock'a Holmes'a, jeszcze przy śniadaniu. Nasza gospodyni tak przywykła do mego późnego wstawania, że na stole nie było jeszcze nakrycia dla mnie, ani też kawa moja nie była jeszcze przygotowana. Z niedorzeczną niecierpliwością, właściwą naturze ludzkiej, zadzwoniłem i suchym tonem oznajmiłem gospodyni, że jestem ubrany. Poczem wziąłem jakieś czasopismo ze stołu i zabrałem się do przerzucania go dla zabicia czasu, gdy mój towarzysz spożywał w milczeniu swoje grzanki. Jeden z artykułów był zaznaczony ołówkiem; oczywiście, zacząłem go czytać.

Pretensjonalny nieco tytuł artykułu brzmiał „Księga życia“; autor usiłował w nim wykazać jak

wielką korzyść może osiągnąć człowiek z dokładnego i systematycznego obserwowania wydarzeń powszednich. Artykuł wydał mi się szczególną mieszaniną bystrości i głupoty.

Rozumowanie było ścisłe, ale wnioski, jak dla mnie, zbyt naciągane i przesadne. Autor utrzymywał, że chwilowy wyraz twarzy, skurez mięśnia lub błysk oka wystarczy, by zdradzić najtajniejsze myśli człowieka. Człowiek, przyzwyczajony do obserwacji i analizy, nie mógł mylić się, zdaniem autora, i wysnuwał wnioski równie matematyczne jak Euklidesa w swych słynnych teoriach. Wyniki metody wydają się niewtajemniczonemu takie zdumiewające, że, dopóki się nie obznajmi ze sposobem jej stosowania, może je uważać za jakieś czarnoksiężskie zjawiska.

„Człowiek, obdarzony umysłem prawdziwie logicznym”, pisał autor, „może z kropli wody wywieść możliwość istnienia Atlantyku lub Niagary, choć o nich poprzednio nic nie wiedział. Tak to życie człowieka jest wielkim łańcuchem, a dość znać jedno jego ogniwo, by je umieć z innymi w całość połączyć. Podobnie jak wszystkie rodzaje wiedzy i naukę dedukcyi i analizy można również zdobyć drogą długich i cierpliwych studyów, ale życie nie jest dość długie, by śmiertelnik mógł osiągnąć w tym kierunku najwyższą doskonałość. Zarówno z punktu widzenia moralnego jak i umysłowego przedmiot to taki zawikłany, że zrazu należy zacząć od rozwiązywania zagadnień najprostszych. Nauczmy się, spotykając bliźniego, od jednego rzutu oka odgadywać jego historię, jego rzemiosło lub zawód. Jakkolwiek bląhą wydać się może taką wprawa, niemniej zaostrza zmysł obserwacyjny i uczy gdzie i jak czego szukać. Paznokcie, rękaw, obuwie, zagięcia spodni dokoła kolan, kształt palca wskazującego i dużego, wyraz twarzy, mankiety od koszuli, to wszystko wskazówki, pozwalające poznać zawód

danego człowieka. Niepodobna sobie wyobrazić, żeby złożone razem nie dały badaczowi inteligentnemu pożądaných wyników?”.

— Jakaż niesłychana gmatwanina! — zawołałem, rzucając pismo na stół; — w życiu swoim nie czytałem takich idyotyzmów!

— Co takiego?—spytał Sherlock Holmes.

— Ten artykuł,—odparłem i wskazałem łyżką od jajek, zabierając się do śniadania. — Widzę, żeś go pan też czytał, skoro jest zaznaczony. Nie przeczę, że napisany jest zręcznie. Ale irytuje mnie. Założyłbym się, że to teorye próżniaka, który, rozparty w fotelu, rozwija te wszystkie ładne paradoksy w samotnym gabinecie. Zastosowania praktycznego nie mogą przecież mieć wcale. Chciałbym tego pana widzieć w wagonie trzeciej klasy kolei podziemnej, niechby mi tam wyliczył zajęcia swoich współpasażerów. Założyłbym się o tysiąc przeciw jednemu, że temu by nie podolał.

— I przegrałbyś pan, — rzekł Holmes flepmatycznie. — Co zaś do artykułu, to ja go napisałem.

— Pan!?

— Tak; mam skłonność wrodzoną zarówno do obserwacyi jak i do dedukcyi. Teorye, które wyłożyłem w artykule, a które wydają się panu takie fantastyczne, mają w istocie rzeczy wielkie zastosowanie praktyczne, tak dalece, że są podstawą mego zarobku.

— A to w jaki sposób? — spytałem mimowoli.

— Mam ja zawód specjalny i zdaje mi się, że uprawiam go sam jeden na całym świecie. Jestem policyantem-doradcą, jeśli pan rozumiesz co to znaczy. Mamy tu w Londynie chmary policyantów rządowych i prywatnych. Gdy ci znajdują się w kłopotcie, przychodzą do mnie, a ja naprowadzam ich na trop właściwy. W tym celu przedstawiają mi szczegółowo fakty i okoliczności, mające z niemi

związek, ja zaś, przy pomocy znajomości historyi zbrodni, daję im wskazówki niechybne. Przestępstwa mają wzajemnie jakby podobieństwo rodzinne; jeśli pan znasz na wylot szczegóły tysiąca zbrodni, niepodobna prawie, żebyś nie mógł wyjaśnić tysiące pierwszej. Lestrade jest dobrze znanym agentem śledczym. Niedawno jednak nie mógł sobie poradzić ze sprawą fałszerstwa i to sprowadziło go tutaj.

— A ci inni goście pańscy?

— To ludzie przysyłani przeważnie przez prywatne agencye śledcze. Wszyscy mają jakieś kłopoty i żądają pomocy, wskazówek. Ja słucham ich opowiadań, oni słuchają moich komentarzy i... wsuwam do kieszeni honorarium.

— A więc pan utrzymujesz, — rzekłem, — że, nie opuszczając swego pokoju, możesz wyjaśnić sprawę, która dla innych, choć zbadali na miejscu wszystkie szczegóły, jest ciemna?

— Tak jest. Dopomaga mi w tem wrodzona intuicya. Od czasu do czasu zdarzają się wypadki bardziej zawikłane; wówczas muszę poruszyć się z miejsca i zbadać stan rzeczy naocznie. Zauważyłeś pan, może, iż posiadam dużo wiadomości specjalnych; korzystam z nich wszystkich przy rozwiązywaniu zagadnień; a to ułatwia sprawę niezmiernie. Metoda dedukcyjna, wyjaśniona w artykule, który pana tak oburzył, oddaje mi nieocenione usługi praktyczne. Obserwacya stała się moją drugą naturą. Byłeś pan zdziwiony, gdym panu powiedział, za naszym pierwszym spotkaniem, że powracasz z Afganistanu, nieprawdaż?

— Ktoś powiedział to panu niewątpliwie.

— Bynajmniej. *Spostrzegłem*, żeś pan wrócił z Afganistanu. Dzięki długiemu przyzwyczajeniu, myśli moje wiążą się tak szybko, że doszedłem do wniosku, nie zdając sobie sprawy z ogniw pośrednich, które te myśli łączą. A jednak one istnieją.

Bieg rozumowania mego był następujący: „Oto je-gomość, mający typ lekarza, ale jednocześnie i po-zór żołnierza. Jest to zatem oczywiście lekarz woj-skowy. Powrócił tylko co z jakiegoś kraju pod-zwrotnikowego, bo ma cerę ciemną, a nie jest to jej barwa zwykła, bo ręce w kostce są białe. Zno-sił ciężkie niewygody, przeszedł chorobę, mówi o tem wyraźnie twarz wynędzniała i podkrażone oczy. Nadto miał lewą rękę zranioną; jest sztywna i ma ruchy utrudnione. W jakimże kraju podzwrotnikowym mógł angielski lekarz wojskowy znosić niewygody, chorować i być zranionym? Oczywiście, w Afganistanie”. Całe to rozumowanie nie trwało sekundy. Poczem powiedziałem, żeś pan powrócił z Afganistanu, co pana mocno zdziwiło.

— Dzięki pańskim objaśnieniom, wydaje mi się to teraz dosyć proste,—rzekłem z uśmiechem.—Przypominasz mi pan Dupin'a Edgara Allana Poego. Nie wyobrażałem sobie weale, żeby takie jednostki mogły istnieć nietylko w romansach ale i w życiu rzeczywistem.

Sherlock Holmes wstał i zapalił fajkę.

— Sądziś pan niewątpliwie, że tem porówna-niem z Dupin'em pochlebiasz mi,—zauważył.—Tym-czasem, mojem zdaniem, Dupin był człowiekiem bar-dzo pospolitym. Cała jego sztuka polega na tem, że zadaje zniennaćka, po kwadransie milczenia, tra-fne pytania swoim interlokutorom i w ten sposób przenika ich myśli; jest to metoda efektowna ale bardzo powierzchowna. Posiada on niewątpliwie pewien zmysł analityczny; ale nie jest bynajmniej takim niezwykłym zjawiskiem, jakim go chce mieć Poe.

— Czytałeś pan dzieła Gaboriau?—spytałem;—czy Lecoq jest dla pana typem doskonałego agenta śledczego?

Sherlock Holmes zaśmiał się szyderezco.

— Lecoq jest marnym partaczem —odparł tonem

rozdrażnionym;—ma tylko jedną zaletę, a mianowicie energię. Ta książka przyprawiła mnie poprostu o chorobę. Chodzi tam o stwierdzenie osobistości nieznanego więźnia. Ja dokonałbym tego w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Lecoż zaś potrzebował na to sześciu miesięcy. Ta praca pana Gaboriau powinna się stać dla agentów śledczych podręcznikiem, któryby ich nauczył, czego powinni unikać.

Gniewało mnie trochę to lekceważenie dwóch typów, które budziły we mnie podziw. Podszedłem do okna i stanąłem, przyglądając się ożywionemu ruchowi ulicznemu.

„Ten jegomść może być bardzo mądry”, pomyślałem, „ale jest też niezwykle zarozumiały”.

— Dzisiaj niema już ani zbrodni ani zbrodniarzy — zaczął znów zgryźliwie Holmes. — Porządny mózg jest dziś zbyteczny w naszym zawodzie. Wiem doskonale, że mam w sobie dane, by rozślawić swoje imię. Niema i nie było człowieka, któryby z takim, jak ja, zasobem wiedzy nabytej i zdolności wrodzonych przystępował do śledzenia zbrodni. I jaki z tego rezultat? Nie mam co śledzić; zbrodnie już nie istnieją, są tylko, co najwyżej drobne, pospolite przestępstwa, tak niezręcznie popelniane, że je wykryje najprostszы oficyalista Scotland-Yardu.

Ta zarozumiałość drażniła mnie coraz bardziej, postanowiłem tedy zmienić temat rozmowy.

— Ciekaw jestem czego ten tam szuka? — rzekłem, wskazując palcem barczystego, pospolicie ubranego człowieka, który szedł wolno przeciwnym chodnikiem i przyglądał się uważnie numerom domów. W ręku trzymał niebieską kopertę, widocznie miał spełnić jakieś zlecenie.

— Kto? ten dymisyonowany podoficer marynarki? — spytał Sherlock Holmes.

„A niech go licho porwie z takim pyszałko-

stwem!” — pomyślałem. — „Wie dobrze, iż nie mogę sprawdzić, czy odgadł słusznie”.

Zaledwie zdążyłem sformułować tę myśl, gdy człowiek przez nas śledzony, spostrzegł numer naszego domu i przebiegł śpiesznie przez ulicę. Po chwili, usłyszeliśmy silne uderzenie młotkiem o drzwi, niski głos w sieni i ciężkie kroki po schodach.

— Dla pana Sherlock’a Holmes’a — rzekł, wchodząc do pokoju i podając list memu współlokatorowi.

Nastęczała mi się doskonała sposobność dania mu nauczki za tę nieznośną zarozumiałość, tembardziej, że, gdy popisywał się swoją domyślnością, nie przypuszczał, iż będę mógł niezwłocznie sprawdzić jego słowa.

— Powiedz mi, mój przyjacielu — rzekłem to-  
nem wielce uprzejmym — czem się właściwie zajmujesz?

— Jestem posłańcem, — panie — odparł szorstko. — Dałem mundur do odświeżenia.

— A czem byłeś poprzednio? — spytałem, spoglądając złośliwie na Holmesa.

— Sierżantem w lekkiej piechocie marynarki królewskiej. Niema odpowiedzi? Moje uszanowanie panom.

Wyprostował się, podniósł dłoń do czoła, złożył ukłon żołnierski i wyszedł.

---

### ROZDZIAŁ III.

#### Tajemnica ogrodu Lauriston.

---

Wyznaję, że ten nowy dowód słuszności teorii, wygłaszanych przez mego towarzysza, zrobił na mnie głębokie wrażenie. Szacunek mój dla jego

zmysłu analitycznego wzmógł się niesłychanie. Niemniej nie mogłem się pozbyć podejrzenia, że całe to zajście było ułożone z góry, z zamiarem olśnienia mnie, jakkolwiek sam, doprawdy, nie rozumiałem w jakim uczyniłby to celu?

Spojrzałem na niego, — skończył czytać list, a oczy jego przybrały martwy, jakby nieprzytomny wyraz, wykazujący, że błądzi myślami daleko.

— W jaki sposób pan to odgadłeś? — spytałem.

— Odgadłem co?—rzekł szorsko.

— Że ten człowiek jest dymisyonowanym sierżantem marynarki.

— Nie mam czasu na głupstwa, — odparł niecierpliwie; poczem uśmiechnął się i dodał:—Wybacz pan moją szorstkość. Przerwałeś mi wątek myśli; ale może to i lepiej. A więc pan istotnie nie poznałeś, że ten człowiek był sierżantem marynarki?

— Nie, przyznaję.

— A jednak łatwiej to było poznać, niż wyjaśnić co mnie na to naprowadziło. Gdyby od pana zażądano, żebyś dowiódł, że dwa razy dwa jest cztery, przyszloby to panu z trudnością, niemniej jesteś pan samego faktu pewien. Co zaś do naszego człowieka, to mogłem ztąd dojrzeć, że ma na wierzchu dłoni tatuowaną niebieską kotwicę. To mi odrazu zapachniało morzem. Ma nadto ruchy wojskowe i faworyty przystrzyżone według regulaminu. Mamy zatem już marynarke. Z powierzchowności widać, że to człowiek przeświadczony o swem znaczeniu i że przyzwyczajony jest do rozkazywania. Musiałeś pan zauważyć sposób, w jaki trzymał laskę i wywijał nią. Ponieważ nadto nie jest młody i ma pewien wyraz godności w obliczu, przeto wszystko to razem wzięwszy doprowadziło mnie do wniosku, że był sierżantem.

— Ależ to bajeczne!—zawolałem.

— Bardzo proste,—odparł Holmes, jakkolwiek



po wyrazie twarzy spostrzegłem, że moje zdumienie i podziw mój sprawiły mu przyjemność.— Powiedziałem przed chwilą, że niema już zbrodniarzy. Zdaje się, że się omyliłem... przeczytaj pan! To mówiąc, rzucił mi przez stół list, przyniesiony przez posłańca.

— Co! — zawołałem, przebiegłszy list wzrokiem—ależ to okropne!

— Tak, zdaje się, że to wychodzi po za szablon — zauważył obojętnie. Czy nie zechciałbyś pan przeczytać mi tego listu głośno?

Oto, co zawierał list, który mu odczytałem:

Szanowny Panie!

„Dzisiejszej nocy popełniono zabójstwo pod n-rem 3-im w ogrodzie Lauriston, w pobliżu drogi Brixton. Policjant dyżurny tej dzielnicy spostrzegł tam, około godziny 2-iej nad ranem światło, a ponieważ dom jest niezamieszkały, przeto wydało mu się to podejrzanem i poszedł się przekonać. Został drzwi otwarte, a w pokoju frontowym, zupełnie nieumeblowanym, znalazł zwłoki mężczyzny, dobrze ubranego, który miał w pugilaresie karty wizytowe z nazwiskiem „Enoch, J. Drebber, Cleveland, Ohio, U. S. A.” Kradzieży nie popełniono, niema też dotąd żadnej wskazówki jaką śmiercią pan ów zginął. W pokoju są ślady krwi, ale na zwłokach niema rany. Nie mamy pojęcia w jaki sposób zabity dostał się do pustego domu; sprawa jest bardzo tajemnicza.

Jeśli Pan zechce przyjść do owego domu, o jakiegokolwiek porze przed 12-tą, to Pan mnie tam zastanie. Zostawiłem wszystko *in status quo*, dopóki nie będę wiedział co Pan zamierza. Gdyby Pan przyjść nie mógł, opowiem Panu dokładnie wszystkie szczegóły i będę Panu niesłychanie wdzięczny, gdy Pan zechce powiedzieć swoje zdanie.

Łączę wyrazy szacunku

Tobiasz Gregson.

— Gregson jest najsprytniejszy z całego Scotland Yardu—odezwał się Holmes; — on i Lestrade to wyjątki w tej bandzie idyotów. Obaj są pełni zapału, energiczni, ale żaden z nich nie grzeszy pomysłowością. Między sobą są na noże. Zazdrośni o siebie wzajemnie, jak dwie głośnie piękności. Jeśli obaj zajmą się wyśledzeniem tej sprawy będziemy mieli zabawę.

Oslupiałem wobec spokoju, z jakim Holmes mówił.

— Ależ, niema chwili czasu do stracenia—zawolałem.— Czy chcesz pan, żebym poszedł po dorózkę?

— Nie wiem jeszcze, czy tam wogóle pójde. Jestem największym leniuchem pod słońcem... to jest, miewam peryodyczne napady lenistwa, ale umiem też być niekiedy bardzo pracowitym.

— Ależ, przecież ten wypadek nastrecza panu sposobność, jakiej tak pragnąłeś.

— Mój kochany panie, cóż mnie z tego przyjdzie? Przypuśćmy, że wykryję całą sprawę; możesz być pewien, że całą korzyść odniosą Gregson, Lestrade i S-ka. Taki jest zysk, jak się nie ma stanowiska urzędowego.

— Jednakże Gregson prosi pana o pomoc.

— Tak. Wie dobrze, iż jestem sprytniejszy od niego i przyznaje mi to zawsze, ale dałby sobie raczej obciąć język niżby to uznał wobec osoby trzeciej. Niemniej, możemy pójść i zobaczyć co to takiego. Postąpię jak sam będę uważał za odpowiednie i może jeszcze wyśmieję tych dudków. Pójdź pan.

Włożył śpiesznie paltot i zabierał się do wyjścia w sposób wykazujący, że po napadzie apatyi nastąpił okres energii.

— Bierz pan kapelusz—rzekł.

— Mam pójść z panem?

— Tak, jeśli pan nie masz lepszego zajęcia.

W chwilę później siedzieliśmy obaj w dorożce, pędzącej w kierunku Brixton Road.

Ranek był mglisty, chmurny, nad dachami domów unosił się ciemny obłok, będący jakby odbiciem zabłoconych ulic. Towarzysz mój był w najlepszym usposobieniu i rozprawiał o skrzypcach kremonskich, o różnicy między Stradivariusem i Amatinim. Ja sam siedziałem milezący, gdyż chmurna pogoda i ponura sprawa, w którą zostaliśmy nagle wpłątani, oddziaływała na mnie przygnębiająco.

— Jak widzę, niebardzo pan myślisz o tej całej sprawie—zauważyłem wreszcie, przerywając muzyczną rozprawę Holmesa.

— Nie mam jeszcze żadnych danych — odparł. — Wielki to błąd budować teorię, zanim się ma potrzebne podstawy. To tylko pacy sąd właściwy.

— Będiesz pan miał dane niebawem — rzekłem, wskazując palcem.—Oto i Brixton Road, a jeśli się nie mylę, tam stoi ów dom.

— Tak jest. Dorożkarz! Stój!

Byliśmy oddaleni jeszcze o jakie sto jardów od domu, ale Holmes uparł się, żeby wysiąść i oddaliśmy resztę drogi pieszo.

Budynek, noszący n-er 3 w ogrodzie Lauriston miał pozór groźny i ponury. Stanowił część grupy, złożonej z czterech domów, cofniętych nieco w głąb ulicy, z których dwa były zamieszkałe, a dwa niezajęte. Ostatnie spozierały trzema rzędami pustych, smutnych okien, gdzieniegdzie widniała na brudnej szybie karta z napisem „Do wynajęcia”, niby katarakta na oku. Każdy z tych domów oddzielony był od ulicy małym ogródkiem, zarosniętym wątlami, chorobliwymi roślinami, przeciętym wąską, żółtawą ścieżką z gliny i żwiru. Cała miejscowość przedstawiała w tej chwili jedną przestrzeń błota. Każdy ogródek otoczony był sztachetami drewnianymi na podmurowaniu, a przy szta-

chetach n-er 3-go stał policyant, otoczony gromadą gapiów, którzy wyciągali szyję i nateżali wzrok, w nadziei, że dojrzą co się wewnątrz dzieje.

Mniemałem, że Sherlock Holmes wejdzie odrazu do domu i pograży się w badaniu tajemnicy. Okazało się jednak, że nie miał bynajmniej tego zamiaru. Z miną obojętną, która, w danych okolicznościach, była, podług mnie, udana, chodził po ulicy, patrzył bezmyślnie na ziemię, na niebo, na domy naprzeciwko i na sztachety. Skończywszy to badanie, wszedł wolno na ścieżkę, albo raczej na wąski pas trawy wzdłuż ścieżki i spoglądał uparcie w ziemię. Dwa razy przystanął, a raz dostrzegłem na ustach jego uśmiech i usłyszałem okrzyk zadowolenia.

Na mokrym gliniastym gruncie wyciśnięte były liczne ślady stóp; lecz ponieważ policya chodziła tą ścieżką od kilku godzin, przeto nie pojmowałem w jaki sposób mój towarzysz mógł co z tych śladów wywnioskować. Miałem wszelako już takie nadzwyczajne dowody bystrości jego zmysłu spostrzegawczego, że nie wątpiłem, iż mógł widzieć mnóstwo zajmujących szczegółów tam, gdzie ja nie dostrzegałem.

We drzwiach domu spotkaliśmy wysokiego, bladego blondyna, z notatnikiem w rękę; rzucił się ku nam i uścisnął skwapliwie dłoń mego towarzysza.

— Bardzom panu wdzięczny, że pan przyszedł — rzekł. — Pozostawiłem wszystko nietknięte, jak zastałem.

— Tylko nie tutaj! — odparł Holmes, wskazując ścieżkę. — Gdyby przeszło tędy stado bawołów, zamęt nie byłby z pewnością większy. Nie wątpię jednak, panie Gregsonie, żeś wysnuł swoje wnioski, zanim na to pozwoliłeś.

— Miałem tyle do roboty wewnątrz domu — odparł policyant wymijająco — ale jest tu mój kole-

ga, Lestrade i pozostawiłem jemu zbadanie ogrodu.

Holmes spojrział na mnie, a w oczach jego malowało się szyderstwo.

— Wobec tego, że jest na miejscu takich dwu ludzi, jak pan i Lestrade, nie będzie tu już wielkiej roboty dla trzeciego—rzekł.

Gregson zatarł ręce z zadowoleniem.

— Zdaje mi się, że zrobiliśmy wszystko co tylko było można—odparł—sprawa jest jednak bardzo zawikłana, a znając upodobanie pana do wszystkich wypadków nadzwyczajnych...

— Nie przyjechałeś tu dorożką? — przerwał Holmes.

— Nie, panie.

— Ani Lestrade?

— Nie, panie.

— W takim razie pójdziemy obejrzeć pokój.

Po tej niezbyt konsekwentnej uwadze wszedł do domu, a za nim dążył Gregson, na którego obliczu odmalowało się zdumienie.

Krótki korytarz, o brudnej, zakurzonej podłodze, prowadził do kuchni i pokoiów dla służby. Dwoje drzwi, z prawej i lewej strony, wychodziło na ten korytarz. Jedne z nich widocznie nie były otwierane od dłuższego czasu. Drugie prowadziły do jadalni, gdzie rozegrał się właśnie dramat. Holmes wszedł, a ja za nim, przejęty uczuciem smutku, jakie nas zawsze ogarnia wobec śmierci.

Pokój był duży, kwadratowy, zupełnie pusty, przez co wydawał się większy jeszcze. Ściany obite były ordynarną tapetą, na której widniały plamy od wilgoci; tu i owdzie tapeta odkleiła się i wisiała, odsłaniając pożółkłe wapno na murze. Naprzeciwko drzwi stał okazały kominiek, z ozdobami, naśladującymi biały marmur; na jednym jego rogu dostrzegłem ogarek czerwonej świecy woskowej. Szyby jedyne okna były takie brudne, że przepuszczały niewiele światła, stąd w całym pokoju

panował posepny półmrok, wzmocniony jeszcze grubą warstwą zalegającego wszędzie kurzu.

Wszystkie te szczegóły zauważyłem dopiero później. Narazie cała uwaga moja skupiła się na sztywnej, nieruchomej postaci, która leżała wyciągnięta na podłodze z martwemi, szklanemi oczyma, utkwionemi w bezbarwnym suficie. Zmarły był mężczyzną lat czterdziestu trzech lub czterech, wzrostu średniego; barczysty, włosy miał czarne, kędzierzawe, brodę krótką i rzadką. Ubrany był w surdut z grubego sukna, takąż kamizelkę i jasne spodnie; kołnier i mankiety koszuli jaśniały niepokalaną białością. Nowy, lśniący cylinder stał za nim na podłodze. Nieboszczyk miał ręce rozkrzyżowane, a dłonie zaciśnięte, nogi zaś zgięte w skurezu, jakgdyby stoczył straszną walkę przedśmiertną.

Na skamienialem obliczu zastygł wyraz takiej zgrozy i takiej nienawiści, jakiego nie widziałem jeszcze na twarzy ludzkiej. Ten ohydny i straszny skurez rysów w połączeniu z niskim czołem, płaskim nosem i wystającą szczęką, a nadto postawa nienaturalna, powykręcane członki, nadawały zmarłemu uderzające podobieństwo do goryla. Widziałem był już śmierć w rozmaitych postaciach, ale nigdy w takiej przerażającej, jak na tle tego ponurego, pustego pokoju, wychodzącego na jedną z głównych arteryi podmiejskiego Londynu.

Szczupły, mały Lestrade, wyrazem przypominający, jak zawsze, łasicę, stał we drzwiach i powitał nas.

— Ta sprawa narobi hałasu, panie—zauważył.  
—Wszystko com dotąd widział, to w porównaniu z tem zabawka, a przecież nie jestem dzisiejszy.

— Żadnej wskazówki—wtrącił Gregson.

— Ani jednej—przywodził Lestrade.

Sherlock Holmes zbliżył się do zwłok i, ukląkszy, zaczął je pilnie oglądać.

— Pewni jesteście, że niema rany? — spytał,

wskazując liczne krople i plamy krwi rozsiane dokola.

— Najzupełniej pewni!—zawołali jednocześnie obaj policyanci.

— W takim razie, oczywiście, te krwawe ślady zostawił ktoś inny; prawdopodobnie morderca, o ile morderstwo zostało spełnione. Przypomina mi to okoliczności, które towarzyszyły śmierci van Jansena w Utrechcie, w r. 1834. Przypominasz sobie tę sprawę Gregsonie?

— Nie, panie.

— W takim razie przeczytaj, radzę ci szczerze. Niema nic nowego pod słońcem. Wszystko, co się zdarza, kiedyś już było.

Gdy to mówił, zwinne jego palce przesuwaly się po zwłokach, macaly, wyczuwały, naciskały, odpinały, badały, a w oczach miał ten sam, nieprzytomny prawie wyraz, o którym wspominałem. Badanie trwało tak krótko, że nikt nie domyśliłby się z jaką ścisłością zostało przeprowadzone. W końcu Holmes powąchał usta zmarłego i obejrzał podeszwy jego butów.

— Nie był wcale poruszany?—spytał.

— O tyle tylko, o ile okazało się koniecznem dla naszego badania.

— Możesz kazać przenieść go do morgi—rzekł Holmes.— Już się tu niczego nie dowiemy.

Gregson sprowadził już czterech ludzi z noszami; wezwał ich tedy, a gdy podnosili trupa, upadł pierścionek i potoczył się po podłodze. Le-strade pochwycił go i przyglądał mu się zdumionym wzrokiem.

— Tu była kobieta! To damska obrączka!—zawolai, trzymając pierścionek na dłoni.

Otoczyliśmy go — nie ulegało wątpliwości, że ta gładka złota obrączka zdobyła niegdyś palec panny młodej.

— To jeszcze bardziej wikła sprawę — rzekł Gregson — a była już i bez tego dość zawikłana.

— Czy jesteś pewien, że to jej nie uprości? — zauważył Holmes. — Ale przypatrywanie się pierścionkowi nie nauczy nas niczego. Coście znaleźli w jego kieszeniach?

— Mamy tu wszystko — odparł Gregson, wskazując na zbiór przedmiotów, leżących na najwyższych stopniach schodów. Złoty zegarek, № 97163, od Barrauda w Londynie. Złota dewizka zwana „Albert”, bardzo ciężka. Złoty pierścionek, ze znakami wolnomularskimi. Złota szpilka, w kształcie łba buldoga z rubinowymi ślepiami. Pugilares skórzany do kart wizytowych z kartami Enocha J. Drebbiera z Clevelandu, co odpowiada literom E. J. D. na bieliźnie. Portmonetki nie było, ale znaleźliśmy w kieszeniach 7 fst. 13 sz. Wydanie kieszonkowe „Dekamera” Boccaccia, z nazwiskiem Józef Stangerson, wypisanem na pierwszej stronie. Dwa listy, jeden, zaadresowany do E. J. D. Drebbiera, a drugi do Józefa Stangersona.

— Jaki adres?

— Bank amerykański, Strand, *poste-restante*. Oba są od towarzystwa parowców Guion i dotyczą odplynięcia statków do Liverpoolu, co wykazuje jasno, że ten nieszczęśliwy człowiek zamierzał wracać do Nowego-Jorku.

— A dowiadawaliście się kto jest ów Stangerson?

— Zacząłem od tego — rzekł Gregson. — Rozesłałem ogłoszenia do wszystkich dzienników, a jeden z moich ludzi poszedł do banku amerykańskiego, ale dotąd nie wrócił.

— Telegrafowaliście do Clevelandu?

— Z samego rana.

— W jaki sposób zredagowaliście depezę?

— Opisałiśmy poprostu co zaszło i doda-



liśmy, że bylibyśmy wdzięczni za jakiegokolwiek informację, które mogłyby się nam przydać.

— Nie domagaliście się szczegółów co do jednego punktu, który wydał się wam najważniejszym?

— Pytałem o Stangersona.

— O nic więcej? Czy nie wydaje ci się, że jest jakaś jedna podstawowa okoliczność w tym całym wypadku? Nie wyślesz drugiej depeszy?

— Zrobiłem wszystko co zrobić należało—odparł Gregson tonem obrażonym.

Sherlock Holmes zaśmiał się zcicha i zamierzał coś powiedzieć, lecz Lestrade, który pozostał w pokoju, gdy my rozmawialiśmy na korytarzu, ukazał się w tej chwili, zacierając ręce z miną tryumfatora.

— Panie Gregson—rzekł—dokonałem odkrycia niesłychanej wagi: wykryłem szczegół, który byłby niewątpliwie został pominięty, gdybym nie wpadł na myśl dokładnego obejrzenia ścian.

Oczy małego policyanta iskrzyły się; nie mógł ukryć zadowolenia, że udało mu się tak zręcznie zasachować kolegę.

— Proszę, wejdźcie panowie tutaj — dodał, wracając śpiesznie do pokoju, którego atmosfera wydała mi się mniej duszną teraz, skoro nie było już w nim przerażającego trupa. — A teraz, stańcie tam!

Potarł zapałkę o podeszwę buta i oświetlił nią ścianę.

— Spójrzcie! — rzekł tryumfująco.

Wspomniałem poprzednio, że tapeta była po-  
odklejana. W tym kącie zwłaszcza, który Lestrade wskazywał, oddarty był szeroki pas obicia, odsłaniając poźółkłe wapno na ścianie. I tu widniał napisany dużemi, niewprawną ręką skreślonymi, krwawymi literami jeden wyraz:

RACHE

— I cóż panowie na to? — zawołał policyant, tonem przedsiębiorcy, zachwalającego popisy cyrkowe na jarmarku. — Nikt nie dostrzegł tego napisu, bo był w najciemniejszym kącie pokoju i nikomu nie wpadło na myśl tam spojrzeć. Morderca skreślił go krwią swoją lub jej. Patrzcie na te ślady, krew ciekła po ścianie! Niweczy to wszelkie podejrzenie samobójstwa. A teraz, dlaczego morderca wybrał ten kąt właśnie? Zaraz panom objaśnię. Spójrzycie na świecę na kominku. Palila się wówczas i oświetlała ten kąt tylko, tak, że był najjaśniejszy, jak teraz jest najciemniejszy.

— A teraz, skoro dokonałeś pan tego cennego odkrycia, czegoż ono dowodzi? — spytał Gregson, tonem ironicznym.

— Czego dowodzi? Poprostu tego, że ktoś zaczął pisać imię żeńskie Rachela, lecz nie zdążył dokończyć, bo mu przeszkodzono. Pamiętajcie, panowie, co wam mówię: gdy ta sprawa będzie wyjaśniona, przekonacie się, że jest w nią wplątana kobieta, imieniem Rachela. Śmieję się panie Holmes, śmieję się pan... może pan być bardzo przebiegły i mądry, ale jednakże stary pies myśliwski będzie w końcu górą!

— Och, przepraszam! — rzekł mój towarzysz, który parsknął śmiechem i tem wywołał wybuch gniewu policyanta. — Posiadasz pan niewątpliwie tę zasługę, żeś pierwszy wykrył ten wyraz, który, jak słusznie utrzymujesz, mógł być napisany jedynie przez drugiego uczestnika tajemniczego dramatu. Nie miałem dotąd czasu obejrzeć tego pokoju, ale, jeśli pozwolicie, uczynię to teraz.

Mówiąc to wyjął z kieszeni centymetr i dużą okrągłą lupę. Uzbrojony w te dwa narzędzia, zaczął chodzić cichym krokiem po pokoju, zatrzymując się w jednym miejscu, przykłękając w innym, niekiedy nawet kładąc się plackiem na ziemi. Zającie to pochłaniało go tak całkowicie, że zdawało

się, iż zapomniał o naszej obecności; szeptał do siebie półgłosem, to znów jęknął, zagwizdał, wydawał okrzyki zachęty i nadziei. Przypominał mi rasowego, dobrze wytresowanego psa gończego, pędzącego tam i z powrotem wśród zarośli, który zdradza od czasu do czasu niecierpliwość krótkim szczeknięciem, dopóki nie wpadnie na trop utracony.

Badanie to trwało mniej więcej dwadzieścia minut; Holmes raz mierzył z najściślejszą dokładnością odległość między dwoma śladami, zupełnie dla mnie niewidzialnymi, to znów przykładał centymetr do ściany, w sposób również dla mnie niezrozumiały. W pewnym punkcie pokoju zebrał bardzo starannie trochę kurzu z posadzki i schował go do kieszeni. W końcu przyjrzał się przez lupę wyrazowi napisanemu na ścianie, oglądając każdą literę z osobna z największą bacnością, poczem włożył centymetr i lupę do kieszeni, a na jego twarzy odmalało się zadowolenie.

— Mówią, że człowiek talentu jest niezmordowany w ponoszeniu trudów — zauważył z uśmiechem. — Jest to określenie zupełnie niesłuszne, lecz można je zastosować do pracy agenta śledczego!

Gregson i Lestrade przyglądali się manipulacyom kolegi-amatora z wielką ciekawością, połączoną z odcieniem pogardy. Nie dostrzegali widocznie tego, co ja teraz widziałem jasno, że najdrobniejsze czyny Sherlock'a Holmes'a miały cel praktyczny i najzupełniej określony.

— I cóż pan teraz o tem myśli?—spyтали obaj jednocześnie.

— Pozbawiłbym was zasługi wyjaśnienia tego zagadkowego wypadku, gdybym rościł pretensye do pomagania wam—odparł mój towarzysz. — Radzicie sobie tak świetnie, że byłaby szkoda, gdyby wam się tu ktokolwiek wtrącał.—W tonie Holmesa dźwięczało nieopisane szyderstwo.—Jeśli jednakże zechcecie zawiadamiać mnie o przebiegu śledztwa, rad bę-

dę bardzo dopomóż wam według możności, — ciągnął dalej.— Tymczasem chciałbym pomówić z policyantem, który znalazł ciało. Możecie mi powiedzieć jak się nazywa i gdzie mieszka?

Lestrade zajął do notatnika.

— Jan Rance—objaśnił.— Nie jest już teraz na służbie. Znajdzie go pan pod numerem 46, Audley Court, Kensington Park Gate.

Holmes zanotował adres.

— Pójdź, doktorze—rzekł.— Poszukamy tego jegomościa — poczem, zwracając się do obu policyantów, dodał:— Na pożegnanie powiem wam kilka słów, które mogą wam się przydać. Popelniono tu niechybnie morderstwo, a mordercą był mężczyzna, wysokiego wzrostu, w sile wieku, który ma małą stosunkową nogę, nosi ordynarne obuwie z kwadratowymi nosami i palił narazie cygaro Trichinopoly. Przyjechał tu ze swoją ofiarą w doróźce czterokołowej, zaprzężonej w konia, mającego trzy stare podkowy, a czwartą nową, na jednej z przednich nóg. Według wszelkiego prawdopodobieństwa morderca ma cerę bardzo czerwoną i paznogie u prawej dłoni niezwykle długie. Są to tylko drobne wskazówki ale mogą wam być pożyteczne.

Lestrade i Gregson spojrzeli na siebie z uśmiechem niedowierzania.

— Jeśli zatem ten człowiek został zamordowany, to w jaki sposób?—zapytał pierwszy.

— Trucizną — odparł Sherlock Holmes sucho i zabrał się do odejścia.— Jeszcze słowo, Lestrade—dodał, zatrzymując się przy drzwiach:— „Rache,” to wyraz niemiecki i znaczy „zemsta;” nie traćcie tedy czasu na szukanie panny Racheli.

I, puściwszy tę strzałę, odszedł, pozostawiając swoich dwóch rywali w osłupieniu.

## ROZDZIAŁ IV.

## Co powiedział Jan Rance.

Była już pierwsza, gdy wychodziliśmy z pod nru 3, w Lauriston Gardens. Sherlock Holmes zaprowadził mnie do najbliższego biura telegraficznego, z kąd wysłał długą depeczę. Następnie zawołał dorożki i kazał się zawieźć pod adres, wskazany przez Lestrade'a.

— Niema jak wiadomość z pierwszej ręki — zauważył; — faktycznie wiem już czego się trzymać w tej sprawie, lecz należy dowiedzieć się wszystkiego co tylko można; nie należy niczego zaniedbywać.

— Zdumiewasz mnie pan — rzekłem; — nie zechcesz pan chyba wmówić we mnie, że jesteś taki pewny tych wszystkich szczegółów, o których mówiłeś, jak wydajesz się na pozór?

— Niepodobna tu się mylić — odparł. — Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, po przybyciu na miejsce, był podwójny ślad kół dorożki wzdłuż kraty. Otóż, deszcz nie padał od tygodnia do wczoraj, tak, że te głębokie bruzdy musiały być wyzłobione przez koła w ciągu dzisiejszej nocy. Są tam również ślady podków: kształt jednej z nich jest daleko wyraźniejszy niż pozostałych trzech, co wykazuje, że ta jedna podkova jest nowa. Skoro dorożka była tam już podczas deszczu, a nie zajeżdżała, o czem zapewniał mi Gregson, zrana, musiała tedy przyjechać w nocy, a ztąd wniosek prosty, że przywiozła mordercę i jego ofiarę.

— Wywody pańskie są zupełnie logiczne — rzekłem. — Ale z kąd mógł pan wywnioskować jakiego wzrostu był morderca?

— Widzi pan, wzrost mężczyzny, w dziewięciu wypadkach na dziesięć, można ocenić według długości jego kroków. Jest to obliczenie bardzo

proste, ale nie chcę pana tem nudzić. Powiem panu tylko, że dwa razy mogłem zmierzyć kroki tego człowieka; najpierw na błotnistej ziemi w ogrodzie, a potem na zakurzonej podłodze w pokoju. Następnie miałem jeszcze jeden sposób sprawdzenia mego rachunku. Gdy człowiek pisze na ścianie, kreśli wyrazy instynktownie na wysokości swoich oczu. Otóż napis, który widzieliśmy, znajdował się na sześć stóp powyżej ziemi. Jak pan widzi, stwierdzenie tego wszystkiego było dziecinną igraszką.

— A jego wiek?—zapytałem.

— Jeśli mężczyzna może zrobić skok długości  $4\frac{1}{2}$  stopy bez najmniejszego wysiłku, to znaczy, że nie jest stary i zniedołężniały; a tak szeroką właśnie była kałuża na ścieżce ogrodowej, przez którą widocznie przeskoczył. Ślady obuwia wytworniejszego okrażają tę kałużę, a buty z nosami kwadratowymi przeskoczyły ją. Niema doprawdy w tem wszystkim żadnej tajemnicy. Stosuję poprostu do zwykłych faktów niektóre teorye obserwacyi i dedukcyi, jakie zalecałem w owym artykule. Czy jest jeszcze coś co pana intryguje?

— Paznogie i cygaro Trichinopoly — odparłem.

— Wyraz na ścianie napisany został palcem wskazującym, umaczanym we krwi. Dzięki swojej lupie dostrzegłem, że wapno było zlekka zdrapane, co nie zdarzyłoby się, gdyby ów mężczyzna miał paznogie obcięte. Co zaś do cygara, zebrałem trochę popiołu z ziemi; jest ciemny i nie rozsypuje się, ale uklada warstewkami; otóż taki popiół daje tylko cygaro Trichinopoly. Studyowałem specjalnie popiół cygar, a nawet napisałem w tym przedmiocie monografię. Pochlebiam sobie, że mogę od jednego rzutu oka rozróżnić popiół jakiegokolwiek gatunku cygara czy tytoniu. W rozpoznawaniu takich właśnie szczegółów różni się wytrawny agent śledczy od Gregson'ów i Lestrade'ów.

— A czerwona cera?—spytałem.

— Ach, to było twierdzenie nieco ryzykowne, jakkolwiek nie wątpię, że mam słuszność. Ale, nie pytaj mnie pan o to w danej chwili.

Przesunąłem dłonią po czole.

— Maci mi się w głowie — rzekłem: — im dłużej się zastanawiam nad tem, tembardziej wydaje mi się to wszystko tajemnicze. Dlaczego ci dwaj mężczyźni, jeżeli ich było dwóch, przyjechali do pustego domu? Co się stało z dorożkarzem, który ich tam zawiózł? W jaki sposób może człowiek zmusić człowieka do zażycia trucizny? Zkąd pochodzi krew? Jaki cel miał morderca, skoro rabunek jest wyłączony? W jaki sposób dostała się tam kobieca obrączka ślubna? A przede wszystkim dlaczego ów drugi mężczyzna wypisał, przed odejściem, wyraz niemiecki RACHE? Wyznaję, że nie widzę sposobu powiązania tych wszystkich faktów.

Towarzysz mój uśmiechnął się z uznaniem.

— Wyliezasz pan bardzo jasno i bardzo ściśle wszystkie trudności położenia — rzekł. — Wiele szczegółów jest jeszcze niewyjaśnionych, jakkolwiek mam już, co do punktów głównych, opinię ustaloną. Co się tyczy odkrycia biednego Lestrade'a, był to poprostu wybieg, celem wprowadzenia policyi na trop fałszywy, przez podsunięcie myśli, że socjaliści niemieccy i tajne związki zamieszani są w tę sprawę. Wszelako wyraz RACHE nie został napisany przez Niemca. Litera A, jeżeli pan zauważył, przypomina nieco A z alfabetu niemieckiego; tymczasem, jeśli Niemiec, jak w tym wypadku, pisze dużemi literami drukowanemi, używa zawsze alfabetu łacińskiego. Możemy zatem twierdzić napewno, że nie uczynił tego Niemiec, lecz ktoś bardzo niezręczny, który chciał zrobić za dobrze. Był to, powtarzam, wybieg, celem wprowadzenia śledztwa na trop fałszywy. Nie powiem ci już nic więcej w tej sprawie, doktorze. Prestidigitator traci urok i wiarę u lu-

dzi, skoro raz wyjaśni swoje sztuki; gdybym pana zanadto wtajemniczył w swoją metodę pracowania, przyszedłbyś pan niechybnie do wniosku, że jestem wielce pospolitym człowiekiem.

— Nigdy w świecie — odparłem; — podniosłeś pan, o ile to możliwe, zawód agenta śledczego do poziomu nauki ścisłej.

Mój towarzysz zarumienił się z zadowolenia, słysząc te słowa, wypowiedziane szczerym i poważnym tonem. Zauważyłem już, że był taki wrażliwy na pochlebstwa, odnoszące się do jego talentu śledczego, jak młoda dziewczyna na komplementy, dotyczące jej urody.

— Powiem panu jeszcze jedno — rzekł. — Mężczyzna, który nosił buty cienkie, roboty delikatniejszej i ten, który miał obuwie z kwadratowymi nosami, przyjechali jedną dorożką i szli ścieżką w najlepszej zgodzie, prawdopodobnie pod rękę. Skoro weszli do domu, chodzili po pokoju, a raczej, chodził ten, który miał buty z nosami kwadratowymi, tamten zaś stał w miejscu. Wyczytałem to wszystko z kurzu na podłodze, a nadto jeszcze, że ten, który chodził, wpadał stopniowo w wielkie rozdrażnienie. Wykazała to wzrastająca długość jego kroków. Mówił ciągle, a w końcu gniew jego zamienił się w wściekłość i wówczas niewątpliwie zaszła tragedia. No, powiedziałem panu już wszystko, co wiem sam, bo reszta to tylko przypuszczenia i domysły. W każdym razie posiadamy, jako punkt wyjścia, doskonałą podstawę. Musimy się pośpieszyć, bo chcę pójść popołudniu na koncert Hallego, żeby usłyszeć Norman Nerudę.

Rozmawialiśmy tak, jadąc brudnymi ulicami i krętymi uliczkami. Naraz, na najbrudniejszej i najciemniejszej, dorożkarz nasz stanął.

— Tam jest Audley Court — rzekł, wskazując wąskie przejście wśród długiej, ciemnej linii, utworzonej przez mury. — Zaczekam tutaj.



Audley Court nie przedstawiało się bynajmniej ponętnie. Przez wąskie przejście dostaliśmy się do dziedzińca, wybrukowanego zwyczajnymi kamieniami i okolonego cuchnącemi norami, które służyły za mieszkania. Torowaliśmy sobie drogę wśród gromadek zasmolonych dzieciaków i sznurów, zawieszonych bielizną nieokreślonego koloru, aż wreszcie dotarliśmy do nr 46, gdzie na drzwiach jaśniała mała tabliczka mosiężna, na której było wyryte nazwisko Rance. Na nasze pytanie odpowiedziano, że policyant śpi i wprowadzono nas do niewielkiego pokoju frontowego. Po chwili wszedł, widocznie niezadowolony z tego, że mu sen przerwano.

— Złożyłem raport w biurze—rzekł.

Holmes wyjął z kieszeni monetę dziesięcioszylingową i zaczął się nią bawić od niechcienia.

— Wolelibyśmy usłyszeć tę historję z waszych ust—rzekł.

— Z wielką przyjemnością opowiem panom wszystko, co wiem—odparł policyant, nie odwracając oczu od złotej monety.

— Opowiedzcież nam tedy po swojemu wszystko, co zaszło.

Rance usiadł na sofie, pokrytej włosienicą, i zmarszczył brwi, pod wpływem natężenia pamięci, by nie opuścić żadnego szczegółu.

— Opowiem więc od początku—rzekł. — Moja służba zaczyna się o dziesiątej wieczorem, a kończy o szóstej zrana. O jedenastej zaszła bójka pod „Białem sercem,” ale po za tem było zupełnie spokojnie w moim rewirze. O pierwszej zaczęło padać, a potem spotkałem Harry Murchera, kolege, który ma rewir w Holland Grove; przystaliśmy na rogu ulicy Henryety i gawędziliśmy dobrą chwilę. Nagle, mogła być wtedy druga, a może trochę później, pomyślałem, że wartoby obejść Brixton Road i zobaczyć czy tam wszystko w porządku. Czas był paskudny, wszędzie pusto, nie spotkałem żywej

duszy przez całą drogę, minęły mnie tylko dwie doróżki. Wlokłem się noga za nogą i, między nami mówiąc, myślałem sobie, jakby to dobrze było, żeby tak mieć z kwaterkę gorzalki na rozgrzewkę, gdy nagle dostrzegłem blask świecy w wiadomym domu. Otóż, wiedziałem dobrze, iż te dwa domy w Lauriston Gardens są puste, bo właściciel nie chce naprawić kanałów, chociaż ostatni lokator jednego z domów umarł na tyfus. Oslupiałem więc, widząc światło w oknie i odrazu podejrzewałem, że tam się coś stało. Podszedłszy do drzwi...

— Zatrzymaliście się i zawróciliście do furtki ogrodowej—przerwał mój towarzysz.— Po co?

Rancee poruszył się gwałtownie i, z wyrazem najwyższego osłupienia, patrzył na Holmes'a.

— Tak—rzekł po chwili—tak było, ale z kądem pan wie o tem? Bo widzi pan, jakem doszedł do drzwi i stanął przed tym domem, takim cichym i pustym, pomyślałem sobie, że nie szkodziłoby mieć kogoś ze sobą. Nie boję ja się tam niczego tu, na ziemi, ale przyszło mi na myśl, że może to ów nieboszczyk, co umarł na tyfus, przyszedł obejrzyć kanały, które go zabiły. A jakem to pomyślał, ogarnął mnie taki strach, że wyszedłem za kratę, żeby zobaczyć, czy nie ujrzę gdzie latarki Murcher'a; ale nie dostrzegłem ani jego ani żadnej innej żywej duszy.

— Nie było nikogo na ulicy?

— Nikoguteńko, panie; nawet psa. Zebrałem tedy całą swą odwagę, powróciłem i otworzyłem drzwi. Było zupełnie cicho, więc poszedłem do pokoju, gdzie jaśniało światło. Palila się tam świeca, czerwona woskowa, na kominku i przy jej blasku ujrzałem...

— Tak, wiem, coście ujrżeli. Obeszliście pokój kilka razy, ukłękliście przy trupie, potem wy-

szlście do kuchni i próbowaliście otworzyć zamek, a potem...

Jan Rance zerwał się na równe nogi, z wyrazem przestachu na twarzy i podejrzenia w oczach.

— Gdzie się pan ukrywał, gdzie pan widział to wszystko?—zawołał. — Zdaje mi się, że pan wie o wiele więcej, niż pan powinien.

Holmes roześmiał się i cisnął policyantowi, przez stół swoją kartę.

— Tylko nie zaaresztujcie mnie za to morderstwo—rzekł. — Jestem jednym z psów, nie wilkiem; zapytajcie Gregsona, albo Lestradaea. Mówcie dalej. Cóżście zrobili później?

Rance usiadł znów na sofie, wyraz zaniepokojenia nie znikł wszelako z jego twarzy.

— Powróciłem do kraty i zagwizdałem. Na ten sygnał nadbiegł Murcher i dwóch innych policyantów.

— Czy ulica była wówczas pusta?

— Mniej więcej; o tyle, że nie było na niej nikogo, ktoby się mógł na coś przydać.

— Co przez to rozumiesz?

Policyant skrzywił się.

— Widziałem w życiu niejednego pijaka — rzekł—ale kogoś tak pijanego, jak ten włóczęga, na którego wpadłem, gdym wychodził, nie spotkałem dotąd. Uczepił się kraty przed domem i wrzeszczał w niebogłosy jakąś piosenkę. Nie mógł stać o własnych siłach, a tem mniej być nam pomocą.

— Jaki to był rodzaj człowieka?—spytał Sherlock Holmes.

Ta indagacya gniewała widocznie Jana Rance'a.

— Niezwykły pi'ak—rzekł.—Byłby obudził się niechybnie dziś rano na stacyi policyjnej, gdybyśmy nie byli czem innem zajęci.

— A jego twarz... ubranie... czyś je zauważył?—przerwał Holmes niecierpliwie.

— Oczywiście, skoro musiałem podtrzymywać

go do spółki z Murcher'em. Był wysoki, twarz miał czerwoną, od dołu owiazaną...

— Dosyć! — zawołał Holmes. — Co się z nim stało?

— Mieliśmy i tak dosyć roboty, nie było czasu na zajmowanie się nim—odparł policyant podrażnionym tonem. — Złożę się, że znalazł drogę do domu.

— Jak był ubrany?

— W brązowy paltot.

— Czy miał bat w ręku?

— Bat?... nie.

— Musiał go zatem zostawić — mruknął mój towarzysz.—Nie widziałeś, ani słyszałeś przypadkiem potem dorożki?

— Nie.

— Masz, to dla ciebie—rzekł Holmes, podając policyantowi złotą monetę, poczem wstał i wziął kapelusz.—Obawiam się, Rance, że nie zajdziesz wysoko w swojej karierze. Powinieneś mieć głowę nietylko do ozdoby, ale i do użytku. Byłbyś mógł nocy dzisiejszej zasłużyć na galony sierżanta. Ów człowiek, którego trzymałeś w swych rękach, posiada klucz tej tajemnicy; jego właśnie szukamy. Rozprawianie o tem niema teraz celu; mówię ci, że jest tak, a nie inaczej. Pójdź, doktorze.

Powróciliśmy do dorożki, zostawiając naszego informatora widocznie zaniepokojonego, jakkolwiek jeszcze niedowierzającego.

— Co za kwadratowy idyota! — rzekł Holmes z goryczą, podczas jazdy do domu. — Pomyśleć, że miał w ręku taką gratkę i nie umiał z niej skorzystać!

— Nie mogę jeszcze połapać się w tem wszystkim. Prawda, że opis owego pijaka zgadza się z pańskim wyobrażeniem o drugim aktorze naszego dramatu. Ale, dla czegożby, raz wyszedłszy, powrócił do domu? Przestępcy nie mają tego zwyczaju.

— Obrączka, człowieku, obrączka! po nią wrócił. Jeśli nie znajdziemy innego sposobu schwywania go, możemy zawsze zużytkować obrączkę jako przynętę. Ale ja go złapię, doktorze; założę się, że go będę miał. A mam to wszystko do zawdzięczenia panu. Gdyby nie pan, nie byłbym poszedł i straciłbym jedną z najciekawszych spraw... Czerwony szlak zbrodni wije się i ginie wśród bezbarwnego pasma życia ludzkiego, a naszym obowiązkiem szlak ten odnaleźć, odsłonić go i uwidocznic od początku do końca... Teraz na śniadanie, a potem na koncert Nerudy. Jak ona świetnie atakuje nuty, z jaką wprawą włada smyczkiem!... Jak się nazywa ta drobnotka Chopina, którą gra tak znakomicie: Tra-la-la-lira-lira-li...

Rozparty w dorożce ten pies gończy-amator nucił jak skowronek, gdy ja zastanawiałem się nad wielostromnością umysłu ludzkiego.

---

## ROZDZIAŁ V.

### Ogłoszenie sprowadza gościa.

---

Wzruszenia, doznane w ciągu ranka, były zbyt silne dla mego, wątłego, jeszcze zdrowia; byłem tedy po południu wyczerpany do ostatka. Po wyjściu Holmesa na koncert, położyłem się na sofie i usiłowałem zasnąć. Próżny wysiłek! Miałem umysł zanedo podniecony tem, co zaszło, i w mózgu moim wirowały najdziwaczniejsze urojenia i podejrzenia.

Ilekroć zamknąłem oczy, widziałem tego trupa z twarzą goryla i powykręcane członkami. Wrażenie, jakie to oblicze wywarło na mnie, było takie straszne, że zaczynałem czuć wdzięczność dla tego, który je uśmiercił. Jeżeli bowiem kiedykolwiek ryśy ludzkie nosiły piętno najgorszego występku, to

z pewnością żadne nie były silniej tem piętnem nacechowane, niż rysy Enocha J. Drebbra z Cleve-landu. Niemniej musiałem uznać, że sprawiedliwości powinno stać się zadość i że nikczemność zamordowanej ofiary nie może być okolicznością łagodzącą w oczach prawa.

Im bardziej się zastanawiałem, tem nieprawdopodobniejszą wydawała mi się hipoteza mego towarzysza, utrzymującego, że ów człowiek został otruty. Przypomniałem sobie, że Holmes wąchał jego nosta i nie wątpiłem, iż odnalazł jakąś wskazówkę, która mu tę myśl poddała. Jeśli wszakże nie trucizna, to cóż innego spowodowało śmierć tego człowieka, skoro nie było ani rany, ani oznak uduszenia? A z drugiej strony, czyjaż krew polala się strumieniem po podłodze?

Nie było śladów walki, nie miała też ofiara broni, którą mogłaby zranić napastnika. Czulem, że dopóki wszystkie te pytania nie zostaną należyście wyjaśnione, ani Holmes, ani ja nie będziemy mogli spać spokojnie. Równowaga i pewność siebie mego towarzysza były mi dowodem, że wytworzył sobie już teorię, tólmaczącą te wszystkie fakty; lecz jaka była ta teoria, nie mogłem domyśleć się nawet.

Holmes wrócił późno—tak późno, iż oczywiście było, że nie cały czas spędził na koncercie. Siedziałem już przy obiedzie, gdy się ukazał.

— Koncert był wspaniały — rzekł, zajmując zwykle miejsce.—Pamiętasz pan, co mówi Darwin o muzyce? Utrzymuje, że ludzie umieli ją tworzyć i oceniać na długo zanim nauczyli się mówić. Może dlatego muzyka przejmuje nas tak do głębi. Nosimy w duszy niejasne wspomnienia tej epoki, tonącej w mgłę wieków, kiedy świat był jeszcze w stanie dzieciństwa.

— Pojęcie nieco za szerokie—zauważyłem.

— Pojęcia powinny być zawsze równie szerokie, jak przyroda, jeśli mają być jej wyrazem—od-

parł.—Ale, co się panu stało? Jesteś pan bez humoru. Czyżby ta sprawa z Brixton Road rozdrażniła pana do tego stopnia?

— Jeśli mam powiedzieć prawdę, tak jest— odrzekłem.—Powinienbym być bardziej zahartowany po swoich doświadczeniach afgańskich. Patrzyłem na kolegów, poćwiartowanych w kawałki pod Maiwandem i nie traciłem zimnej krwi.

— Rozumiem pana. Wypadek obecny otoczony jest tajemnicą i to pobudza wyobraźnię; tam, gdzie nie pracuje wyobraźnia niema i zgrozy. Czytałeś pan dzienniki wieczornie?

— Nie.

— Opisują dosyć dokładnie całą sprawę nie wspominają tylko o tem, że gdy trup został poruszony z miejsca, spadła na ziemię kobieca obrączka ślubna. Ale to i lepiej.

— Dlaczego.

— Spójrzj pan na to ogłoszenie— odparł.— Rozesłałem je do wszystkich dzienników dziś rano, jakeśmy tylko powrócili.

Podał mi dziennik, a ja spojrzałem na miejsce wskazane. Pierwsze ogłoszenie w kolumnie „rzeczy znalezionych” brzmiało: „Na Brixton Road, dzisiaj rano, znaleziona została złota obrączka ślubna, na drodze pomiędzy gospodą pod „Białem sercem” a Holland Grove. Zgłosić się po odbiór do d-ra Watsona, 221 b., ulica Baker, pomiędzy ósmą a dziewiątą dzisiaj wieczorem”.

— Przepraszam pana bardzo, że użyłem pańskiego nazwiska—rzekł Holmes.— Gdybym był podał swoje własne niejeden z tych idyotów mógłby je zauważyć i zechciałby się wnieść w sprawę.

— Miałeś pan słusność—odparłem.—Ale przypuścimy, że ktoś się zgłosi, ja nie mam pierścionka.

— Owszem, masz pan— rzekł podając mi obrączkę.—Możesz pan tę oddać, jest prawie taka sama.

— A kto, zdaniem pana, zgłosi się do nas skutkiem tego ogłoszenia?

— Oczywiście ów człowiek w paltocie brązowym... nasz przyjaciel o kwitnącem obliczu, w butach z nosami kwadratowemi. Jeśli nie przyjdzie sam, przyśle spółnika.

— Czy taka wycieczka nie wyda mu się zbyt niebezpieczna.

— Bynajmniej. Jeśli moje przypuszczenia są słuszne, a mam wszelkie powody sądzić, że są, ten człowiek narazi się raczej na wszelkie niebezpieczeństwa, niżby miał stracić obrączkę. Jestem prawie pewien, że upuścił ją, pochylając się nad zwłokami Drebbera i narazie nie spostrzegł tego. Wyszedłszy na ulicę zauważył zgubę i powrócił śpiesznie, lecz zastał już policję, przybyłą dzięki jego własnemu szaleństwu: niepotrzebnie zostawił palącą się świecę. Musiał udawać pijanego, celem odwrócenia podejrzeń, jakie mogła wzbudzić jego obecność przy kracie. A teraz postaw się pan w jego położeniu. Zastanowiwszy się, mógł przypuścić, że zgubił pierścionek na ulicy, wyszedłszy z domu. Cóż w takim razie zrobi? Będzie skwapliwie czytał w dziennikach wieczornych ogłoszenia o rzeczach zgubionych. Czy jego padną i na moje ogłoszenie; będzie uszczęśliwiony. Dlaczego miałby się obawiać zasadzki? Nie ma powodu przypuszczać, że ten, kto znalazł pierścionek, dopatry się w nim związku z morderstwem. Powinien zatem przyjść. I przyjdzie. Zobaczysz go pan przed upływem godziny.

— A wtedy, cóż?—spytałem.

— O, zostaw pan to mnie. Masz pan jaką broń?

— Mam stary rewolwer służbowy i kilka nabojów.

— Dobrzeby było, żebyś pan go oczyścił i nabiał. Będziemy mieli do czynienia z człowiekiem,



który nie ma nic do stracenia, a jakkolwiek zaskoczę go zniemacka, niemniej lepiej być przygotowanym na wszystko.

Udałem się do sypialni i usłuchałem rady Holmesa. Gdy powróciłem z rewolwerem, zastałem stół sprzątnięty, a Holmesa pogrążonego w ulubionem zajęciu: brzdąkał na skrzypcach.

— Bieg sprawy przyspiesza się—rzekł—otrzymałem właśnie odpowiedź na mój telegram do Ameryki. Okazuje się, że moje przypuszczenia są słuszne.

— Jakie?—spytałem skwapliwie.

— Trzeba będzie naciągnąć nowe struny na moje skrzypce—odparł.—Włóż pan rewolwer do kieszeni. Jak ten jegomość przyjdzie, mów pan z nim zupełnie obojętnie, a mnie zostaw resztę. A przede wszystkim nie przerażaj go zbyt bystrem wpatrywaniem się w niego.

— Już ósma—rzekłem spoglądając na zegarek.

— Tak. Będzie tu prawdopodobnie za kilka minut. Uchyl pan drzwi. Tak... dosyć. A teraz włóż klucz od wewnątrz. Dziękuję! Patrz pan, wynalazłem wczoraj na straganie ciekawą starą książkę... „*De jure inter gentes*“... wydana po łacinie w Liège, w Niderlandach, r. 1642. Głowa Karola siedziała mu jeszcze mocno na szyi, gdy drukowano tę książczykę w brązowej okładce.

— A kto ją drukował?

— Niejaki Filip de Croy. Na pierwszej stronie widnieje, nakreślony wyblakłym atramentem napis: „*Ex libris Gulielmi Whyte*”. Ciekawym kto był ten Whyte? Prawdopodobnie jakiś gorliwy adwokat z XVII wieku; pismo jego czuć prawnikiem. O, zdaje mi się, że oto nasz jegomość!

Gdy to mówił odezwał się głośny dzwonek. Sherlock Holmes wstał cicho i odwrócił krzesło w kierunku drzwi. Słyszeliśmy jak służąca przeszła przez sieni i odsunęła rygiel.

— Czy tu mieszka dr Watson? — zapytał głos czysty, ale szorstki.

Nie mogliśmy dosłyszeć odpowiedzi służącej, ale drzwi zamknęły się i ktoś zaczął wchodzić po schodach, krokiem niepewnym, wlokącym. Po twarzy mego, nasłuchującego bacznie, towarzysza, przebiegł wyraz zdumienia. Kroki wlokły się następnie po korytarzu i wreszcie ktoś lekko zapukał do drzwi.

— Proszę wejść,—zawolałem.

Na to wezwanie, zamiast brutalnego mężczyzny, któregośmy się spodziewali, weszła, utykając, kobieta bardzo stara, o twarzy zawiędłej i pomarszczonej. Nagły blask światła oślepił ją widocznie, bo, złożywszy ukłon, stała, mrugając kaprawemi oczyma i nerwowemi, drżącemi palcami szukając czegoś w kieszeni. Spojrzałem na mego towarzysza,—na twarzy jego malował się wyraz takiego rozpaczliwego rozezarowania, że z trudnością utrzymałem powagę.

Stara czarownica wydobyła nareszcie z kieszeni dziennik wieczorny i wskazała nasze ogłoszenie.

— To mnie tu sprowadziło, proszę łaski panów—rzekła, składając powtórny ukłon;—złota obrączka ślubna, znaleziona na Brixton Road. To najpewniej obrączka mojej córki Sally; poszła zamaż przed rokiem, a mąż jej jest stewardem na statku. Boże miłosierny, coby to było, gdyby tak wrócił i zastał ją bez obrączki! niebardzo on tam delikatny wogóle, a cóż dopiero, gdy sobie cokolwiek podchmieli. Z przeproszeniem panów, Sally poszła wczoraj do cyrku z...

— Czy to jej pierścionek?—spytałem.

— Bogu dzięki!—zawołała stara. — To ci dopiero Sally się ucieszy! Tak, to ten sam.

— A jaki jest wasz adres? — spytałem, biorąc ołówek.

— Ulica Duncan 13, Houndsditch. Kawał drogi ztąd.

— Brixton Road nie leży między żadnym cyrkiem a Houndsditch — odezwał się Sherlock Holmes, suchym tonem.

Stara kobieta odwróciła się i rzuciła na mówiącego przenikliwe spojrzenie z pod zaczerwienionych powiek.

— Ten pan pytał o mój adres—rzekła.—Sally mieszka na Mayfield Place, Peckham 3.

— A jak się nazywacie?

— Ja Sawyer... ona Dennis, jako że ożenił się z nią Tom Dennis... chłop tęgi, przystojny, a dopóki jest na morzu nie ma sobie równego stewarda, ale na lądzie, między kobietami a szynkami...

— Oto wasz pierścionek—przerwałem, posłuszny znakowi, danemu przez mego towarzysza;—należy najwidoczniej do waszej córki i rad jestem, że mogę go zwrócić prawej właścicielce.

Mrucząc pod nosem błogosławieństwa i podziękowania, stara czarownica wsunęła pierścionek do kieszeni i niebawem dobiegł nas ze schodów odgłos jej wlokących się kroków.

Skoro tylko drzwi zamknęły się za nią, Sherlock Holmes zerwał się na równe nogi i pobiegł do swej sypialni. Po chwili wrócił w płaszczu i chustce na szyi.

— Pójdę za nią—rzekł śpiesznie;—to niewątpliwie spółniczka naszego jegomości i zaprowadzi mnie do niego. Czekaj pan na mnie.

Zaledwie drzwi od sieni zamknęły się za naszym gościem, Holmes zbiegł ze schodów. Wyrzawszy przez okno i dostrzegłem, jak stara wlokła się wolno po przeciwległej stronie ulicy, a Holmes szedł za nią w pewnej odległości. „Albo cała jego teoria jest fałszywa—pomyślałem—albo też doprowadzi go do samego jądra tajemnicy“. Niepotrzebnie zalecał mi, żebym czekał na niego; czułem i tak, że

nie zamknę oka, dopóki nie będę wiedział wyniku tej przygody.

Była blisko dziewiąta, gdy Holmes ruszył w drogę. Nie miałem pojęcia jak długo zabawi; usadowiłem się tedy wygodnie i, paląc fajkę, przetrzucałem „*Scènes de la vie de Bohème*” Henryka Murgera. Wybiła dziesiąta i dosłyszałem odgłos kroków służącej, idącej spać; wybiła jedenasta i odezwały się stateczniejsze kroki gospodyni, zmierzającej do tego samego celu. Nareszcie, tuż przed dwunastą rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Za ledwie Holmes wszedł, z wyrazu twarzy jego wyczytałem, że mu się nie powiodło; wydawał się jednocześnie ubawiony i zirytowany, aż wreszcie wesołość wzięła górę i parsknął głośnym śmiechem.

— Nie chciałem za nic w świecie, żeby ci ze Scotland-Yardu dowiedzieli się o mojej przygodzie—zawołał, padając na fotel; — drwiłem z nich tak niemiłosiernie, że oni wzajem sztydziłoby ze mnie do końca życia. Ale ja mogę sobie pozwolić na śmiech, gdyż pewien jestem, że przynajmniej zawsze im dorównam.

— Cóż się stało?—spytałem.

— Zaraz panu opowiem, bo i co mi to szkodzi, że pan się dowiesz jak dalece wzięto mnie na kawał? Ta stara wiedźma, uszedłszy kawałek drogi, zaczęła utykać, jakgdyby ją zabolala noga, w końcu przystanęła i zawołała na przejeżdżającą dorożkę. Usiłowałem zbliżyć się do niej o ile możności, tak, by usłyszeć jej adres, ale było to zbyt ciężkie, gdyż krzyknęła tak głośno, że mógł ją słyszeć każdy, idący po drugiej stronie: „Jedź na ulicę Duncan 13, Houndsditch”. Pomyślałem sobie, że widocznie powiedziała nam prawdę i przekonawszy się, że wsiadła do dorożki, uczepiłem się z tyłu wehikułu. Jest to sztuka, którą posiadać powinien każdy policyant. Ruszyliśmy tedy w drogę i nie zatrzymaliśmy się, aż pod wskazanym adresem.

Zeskoczyłem, zanim dojechaliśmy na miejsce i z naj-  
 obojętniejszą miną w świecie zacząłem iść po tro-  
 tuarze. Dorożka stanęła, woźnica zszedł z kozła,  
 otworzył drzwiczki i stał przez krótką chwilę, wy-  
 czekując. Ale... nikt nie wysiadł. Gdy podsze-  
 dłem do dorożki, woźnica, wystraszony, tkwił w niej  
 do połowy, przewracał nawet poduszki siedzenia  
 i sypał doborem przekleństw, jakich jeszcze nie sły-  
 szałem. Pasażerka znikła, przepadła jak kamień  
 w wodę i zdaje mi się, że dużo czasu minie, za-  
 nim woźnica odbierze swoją zapłatę. Zasięgnawszy  
 wiadomości pod Nr 13, dowiedzieliśmy się, że dom  
 ten należy do zamożnego handlarza papieru, nazwi-  
 skiem Keswick i że nikt tam nie znał nazwiska  
 Sawyer ani Dennis.

— Ależ mój panie zawołałem zdumiony — nie  
 w mówisz pan we mnie, że ta utykająca stara baba  
 zdolna była wysiąść z dorożki w biegu i to tak, że  
 ani pan ani woźnica nie zauważyli!

— Niech dyabli porwą taką starą babę! — rzekł  
 Sherlock Holmes, z goryczą. — To z nas stare baby,  
 że daliśmy się tak podejść. Musiał to być młody  
 chłopak, niepospolicie silny, a do tego znakomity  
 aktor. To jego przebranie było nieporównane. Wi-  
 dział, niewąpliwie że go śledzę i użył takiego wy-  
 biegu, żeby mi się wymknąć. Okazuje się z tego,  
 że człowiek, którego szukamy, nie jest taki osamo-  
 tniiony, jak przypuszczaliśmy i że ma przyjaciół, któ-  
 rzy gotowi są narazić się dla niego. Doktorze je-  
 steś zupełnie wyczerpany, widać to po tobie. Usłu-  
 chaj mojej rady i połóż się.

Byłem istotnie bardzo znużony, nie oponowa-  
 łem tedy. Pozostawiłem Holmesa siedzącego przed  
 kominkiem, na którym płonął ogień, i długo w noc  
 słyszałem jeszcze stłumione, smętne zawodzenie je-  
 go skrzypiec, co dowodziło, że rozmyślał nieustan-  
 nie nad niezwykłą tajemnicą, którą postanowił od-  
 kryć.

## ROZDZIAŁ VI.

## Tobiasz Gregson wykazuje do czego jest zdolny.

Dzienniki następnego dnia pełne były „Tajemnicy z Brixton“, jak ją tytułowały. Każdy zamieszczał długi opis sprawy, a niektóre drukowały jeszcze w dodatku artykuły wstępne. Były tam i szczegóły nowe dla mnie. Dotychczas jeszcze mam w notatniku wycinki i wyciągi, dotyczące tej sprawy, a oto streszczenie głosów kilku gazet:

Zdaniem *Daily Telegraph*, w rocznikach sądowych rzadko zdarza się spotkać tragedję tak osobliwą. Niemieckie nazwisko ofiary, brak wszelkich widocznych powodów zbrodni, ponury napis na ścianie, wszystko to wskazuje, że ten czyn występny popełnili emigranci polityczni i rewolucyoniści. Socjaliści mają mnóstwo związków w Ameryce, a zmarły, przekroczywszy niewątpliwie przepisy ich kodeksu tajnego, był przez nich ścigany i wytropiony w Londynie. Wspomniawszy mimochodem o sądach tajemnych, *aqua tofana*, Carbonarich, margrabinie de Brinwilliers, teorii Darwina, zasadach Malthusa, przestępcach morderców z gościńców Ratcliftu, artykuł kończył się odezwą do rządu, nawołującą do baczniejszego dozoru nad cudzoziemcami w Anglii.

*Standard*, komentując fakt, pisał, że podobne bezprawia zdarzają się zazwyczaj, gdy stronnictwo wolnomyślne stoi u steru rządu. Wynikają one z zamętu, jaki powstaje w umysłach tłumów przez rozsiewanie pojęć, które podkopują powagę wszelkiej władzy. Nieboszczyk był Amerykaninem, przybyłym przed kilku tygodniami do stolicy. Zamieszkał w pensjonacie pani Charpentier, na Torquay Terrace, Camberwell. W podróży towarzyszył mu sekretarz prywatny, p. Józef Stangerson. Obaj pożegnali gospodynię we wtorek, d. 4 b. m.; i poje-

chali na stację Euston, oświadczywszy, iż zamierzają udać się do Liverpoolu. Następnie widziano ich razem na peronie, a potem już nie o nich wiadomo, aż dopóki zwłoki p. Drebera nie zostały odnalezione w pustym domu na Brixton Road, o kilka mil od Euston.

W jaki sposób dostał się tam? Kto był jego zabójcą? Wszystko to osłonięte jest tajemnicą. Co się stało ze Stangersonem, niewiadomo. Z zadowoleniem dowiadujemy się, że pp. Lestrade i Gregson ze Scotland-Yardu wzięli wyśledzenie tej sprawy w swoje ręce; możemy zatem być pewni, że ci znani i wytrawni agenci policyjni wyświecą niebawem tajemniczą sprawę.

*Daily News* nie wątpiły, że to przestępstwo polityczne. Despotyzm wszystkich rządów kontynentalnych i brak liberalizmu sprawiły, że wyemigrowali do naszego kraju ludzie, którzy mogli się okazać doskonałymi obywatelami, gdyby nie byli rozgoryczeni wspomnieniami tego wszystkiego, co przeszli. Śród tych ludzi obowiązywał nieubłagany kodeks honorowy, a każde wylamanie się z pod jego przepisów karane było śmiercią. Policja powinna dłożyć wszelkich starań, by odnaleźć sekretarza, Stangersona i dowiedzieć się szczegółów trybu życia zamordowanego. Wielkim krokiem naprzód jest odnalezienie adresu domu, w którym mieszkał; a stało się dzięki sprytowi i gorliwości p. Gregsona ze Scotland Yardu.

Czytaliśmy razem te notatki, siedząc przy śniadaniu z Sherlockiem Holmesem, którego bawily widocznie.

— Powiedziałem panu, że cokolwiek się stanie, Lestrade i Gregson potrafią zbierać warzyny.

— Zależy to od obrotu, jaki przybierze sprawa.

— Dajże pan pokój! ani trochę. Jeśli zabój-

ca będzie schwytyany, stanie się to, *dzięki ich usiłowaniom*; jeżeli zaś im się wymknie, nastąpi to *pomimo ich usiłowań*. Cokolwiek, bądź uczynią, będą mieli zawsze stronników. *Un sot troure toujours un plus sot, qui l'admire* <sup>1)</sup>.

— A to co, u licha? — zawołałem, w sieni bowiem i na schodach rozległ się odgłos licznych kroków i okrzyków oburzenia, wydawanych przez naszą gospodynię.

— Dywizya armii policyi śledezej z ulicy Baker—odparł Holmes z całą powagą, a gdy to mówił, do pokoju wpadło sześciu łobuzów, takich brudnych i obdartych, jakich w życiu nie widziałem.

— Cicho, spokojnie! — zawołał Holmes, surowym tonem i nieponie stanęli odrazu w szeregu, nieruchomi, jak sześć wstrętnych posążków. — Na przyszłość będziecie przysyłać Wigginsa samego z raportem, a reszta ma czekać na ulicy. Rozumiecie? Wiggins, dowiedzieliście się czego?

— Nie, panie—odparł jeden z urwisów.

— Byłem tego pewien. Nie ustawajcie jednak w poszukiwaniach, dopóki się nie dowiecie. Macie tu—dał każdemu z nich szylinga. — A teraz, marsz; żebyście mi na przyszły raz przynieśli lepsze nowiny.

Skinął ręką, a chłopaki zbiegli, jak szczury, po schodach i w chwilę potem z ulicy dobiegały nas ich krzykliwe głosy.

— Niekiedy taki mały żebrak przyniesie daleko lepsze wiadomości, niż sześciu agentów, zauważył Holmes.—Sam widok policyanta wystarczy nieraz, by zamknąć usta ludziom. Ci mały zaś chodzą wszędzie i słyszą wszystko. Przytem szczwa-

---

<sup>1)</sup> Głupiec znajdzie zawsze głupszego, który go podziwia. (*Przyp. Tłóm.*)



ne z nich lisy; brak im tylko należytej organizacji.

— Czy posługujesz się pan nimi w sprawie Brixton?—spytałem.

— Tak jest; chciałbym wyświetlić pewien punkt. Zresztą to tylko kwestya czasu. Oho! do wiemy się jakiejś nowiny! Gregson idzie ulicą, a na twarzy jego maluje się niewysłowiona błogość. Myślę, że chyba idzie do nas. Tak, zatrzymał się... Oto i on!

Dzwonek, szarpnięty silną ręką, odezwał się głośno i niebawem jasnowłosy policyant minął schody, skacząc po trzy stopnie i wpadł do naszej bawialni.

— Kochany panie, — zawołał, ściskając dłoń Holmesa, której ten do niego nie wyciągnął—proszę mi powinszować. Mam już wszystko w rękę, cała sprawa jasna, jak dzień.

Zdawało mi się, że po wyrazistej twarzy mego towarzysza przemknął cień niepokoju.

— Jakto, wpadliście na trop właściwy? — spytał.

— Trop właściwy! Ależ, panie, nasz jegomość siedzi już pod kluczem!

— A nazywa się?

— Artur Charpentier, podporucznik marynarki królewskiej — odrzekł pompatycznie Gregson, zacierając tłuste ręce i podając naprzód korpus.

Sherlock Holmes odetchnął z widoczną ulgą, a uśmiech powrócił na twarz jego.

— Usiądźcie, panie Gregson i spróbujcie jedno z tych cygar — rzekł. — Radziłyśmy jaknajprędzej wiedzieć, w jaki sposób to się stało. Może napiliłyście się trochę whiskey z wodą?

— Przydałoby się—odparł policyant.— Jestem zupełnie wyczerpany pracą ostatnich dwóch dni. Nietyle wysiłkiem fizycznym, ile natężeniem umysłu. Pan zrozumie mnie lepiej, niż ktokolwiek, pa-

nie Sherlocku Holmesie, bo obaj nie oszczędzamy naszego mózgu.

— Jesteście bardzo łaskawi na mnie, panie Gregson — rzekł Holmes, z całą powagą. — Opowiedzcież nareszcie, w jaki sposób doszłicie do takiego świetnego wyniku.

Policyant rozsiadł się wygodnie w fotelu i z zadowoleniem spoglądał na obłoki dymu, unoszące się z cygara. Nagle uderzył się dłonią w kolano, w przystępie widocznej wesołości.

— Najlepsze z tego wszystkiego — zawołał — jest to, że ten osioł Lestrade, który się ma za takiego mądrego, puścił się tropem zupełnie fałszywym. Szuka sekretarza Stangersona, który ma ze zbrodnią tyle wspólnego, co nowonarodzone niemowlę. Nie wątpię, że go już schwycił.

Ta myśl wydała się Gregsonowi tak zabawną, że śmiał się na całe gardło, dopóki się nie zakrztusił.

— Cóż was naprowadziło na ślad zbrodniarza?

— Zaraz panu opowiem. Ale, doktorze Watsonie, zastrzegam sobie dyskrecyę; to tylko między nami. Pierwszą trudnością, z jaką spotkaliśmy się, był brak wszelkich wskazówek co do przeszłości tego Amerykanina. Są tacy, którzy czekali by odpowiedzi na swoje ogłoszenia, albo wiadomości, znoszonych stopniowo. Ale Tobiasz Gregson nie w ten sposób zabiera się do pracy. Pan pamięta kapelusz obok zmarłego?

— Pamiętam — odparł Holmes; — kapelusz od Jana Underwooda, i Synów, 129 Camberwell-Road.

Gregson spojrzał na Holmesa, zupełnie zbity z tonu.

— Nie przypuszczałem, że pan to zauważy, rzekł. Czy pan tam był?

— Nie.

— A! — zawołał Gregson, z zadowoleniem; —

nie należy, widzi pan, nigdy zaniedbywać żadnej sposobności, choćby się wydawała małego znaczenia.

— Dla wielkiego umysłu niema nic małego — zauważył Holmes sentencyonalnie.

— Otóż, poszedłem do Underwooda i zapytałem, czy sprzedał kapelusz takiej wielkości i takiego kształtu. Zajrzał do książki i znalazł odrazu, że posłał kapelusz do niejakiego p. Drebbra, mieszkającego w pensyonacie Charpentier, Torquay Terrace. Miałem zatem już jego adres.

— Wyśmienicie, doskonale — szepnął Sherlock Holmes.

— Następnie udałem się do pani Charpentier — ciągnął dalej agen. — Zastałem ją bardzo wzburzoną i bladą. Córka, śliczna dziewczyna, mówiąc nawiasem, miała oczy zaczerwienione, a usta jej drżały, gdy mówiłem do niej. Nie uszło to mojej uwagi i wnet zwąchałem pismo nosem. Pan zna to uczucie, panie Holmes, jakie nas ogarnia, gdy widzimy, że wpadliśmy na trop właściwy: wszystkie nerwy drgają. „Czy pani słyszała o tajemniczej śmierci swego ostatniego lokatora, pana Enocha J. Drebbra z Clevelandu?” spytałem.

„Matka skinęła głową. Nie była zdolna wymówić słowa. Córka wybuchła płaczem. Czulem coraz wyraźniej, że ci ludzie byli zamieszani w nie-szczęsną sprawę.

„O której godzinie p. Drebbber wyszedł od pani na pociąg?” spytałem ponownie.

„O ósmej”, — odparła, usiłując zapanować nad wzburzeniem. „Sekretarz jego, p. Stangerson, powiedział, że są dwa pociągi: jeden o godzinie 9 m. 15, drugi o 11-ej. Pan Drebbber zamierzał jechać pierwszym”.

„I już go pani potem nie widziała?”

„Straszna zmiana zaszła w twarzy kobiety, gdy jej zadałem to pytanie. Pobladła, jak chusta,

i minęło kilka sekund, zanim zdołała odpowiedzieć:  
 „Nie” głosem ochryplym, niepewnym.

„Zapanowało chwilowe milczenie, poczem córka odezwała się tonem stanowczym, spokojnym:

„Matko, kłamstwo nie doprowadziło nigdy do niczego dobrego. Bądźmy szczerze względem tego pana. Widziałyśmy jeszcze raz p. Drebbiera”.

„Niechaj ci Bóg przebaczy!”—krzyknęła pani Charpentier, wznosząc ręce ku niebu i opadając na fotel”.—Zamordowałaś brata”.

„Artur pierwszy zażądałby, żebyśmy powiedziały prawdę”—odparła młoda dziewczyna.

„Niechże mi pani opowie teraz wszystko” — rzekłem — „Zwierzenia połowiczne gorsze są od żadnych. Zresztą, pani nie wie, jak dalece jesteśmy już wtajemniczeni”.

„Niechajże skutki spadną na twoją głowę, Alicyo!” — zawołała matka, poczem zwracając się do mnie dodała: „A więc powiem panu wszystko. Niech pan tylko nie myśli, że wzruszenie moje i niepokój o syna wynika z obawy, iż on umaczał ręce w tej strasznej sprawie. Jest najzupełniej niewinny. Boję się tylko, że, mimo to, wydać się może w oczach pana i innych ludzi skompromitowany. W istocie jest to wszakże niemożliwe, a rękojmią jego niewinności jest charakter nieskazitelny i życie dotychczasowe.

„Najkorzystniej dla pani będzie, powtarzam, gdy pani opowie wszystko dokładnie”—odrzekłem.— „Niech mi pani wierzy, że jeżeli syn jest niewinny, nie mu się nie stanie.

„Alicyo, może lepiej będzie, jak nas zostawisz samych”,—rzekła i córka wyszła z pokoju. — „Nie miałam wprawdzie zamiaru powiedzieć panu tego wszystkiego”,—ciągnęła dalej pani Charpentier— „ale skoro moja córka już zaczęła, nie mam innego punktu wyjścia. Postanowiłam tedy powiedzieć panu co zaszło, nie opuszczając żadnego szczegółu”.

„To bardzo mądrze z pani strony” — zauważyłem.

„P. Drebber mieszkał u nas blisko trzy tygodnie. Podróżował po kontynencie wraz z sekretarzem swoim, p. Stangersonem. Zauważyłam na ich kuferkach nalepione kartki z napisem „Kopenhaga”, co dowodzi, że przebywali w tem mieście przed przybyciem tutaj. Stangerson był człowiekiem cichym, statecznym, czego nie mogę bynajmniej powiedzieć o jego panu. Gminny w przyzwyczajeniach, brutalny w obejściu, upił się tego samego wieczora, kiedy przyjechał, i, muszę wyznać, że po godzinie 12-iej w południe nie widziałam go nigdy trzeźwego. Zachowanie się jego względem sługi było wstępnie swobodne i poufale, a, co najgorsze, zaczął niebawem postępować tak samo z moją córką, Alicyą; niejednokrotnie odzywał się do niej w sposób, którego na szczęście, w swej dziewiczej niewinności, nie rozumiała. Raz zapomniał się do tego stopnia, że schwycił ją wpół i pocałował, a ta obelga oburzyła nawet jego sekretarza, który nie szczędził mu wymówek za takie niecene postępowanie.

„Nie rozumiem, dlaczego pani właściwie znośła to wszystko?” — zapytałem. „Myślę, że pani może pozbyć się swoich lokatorów w każdej chwili”.

„Pani Charpentier sponsowała na to moje słuszne zapytanie”.

„Bodajbym go była wyrzuciła pierwszego dnia, jak się tylko pokazał” — odrzekła. — „Ale pokusa była za wielka. Każdy z nich płacił funt sterling dziennie, co wynosiło czternaście funtów tygodniowo, a przecież mamy teraz martwy sezon. Jestem wdową, utrzymanie syna, który służy w marynarce, kosztowało mnie bardzo dużo. Żal mi było takiego zarobku; chciałam jaknajlepiej. Ostatni postępek p. Drebbera był wszakże taki oburzający, że wy-

mówiłam mu mieszkanie, wyjaśniając dlaczego. Taki był powód jego odjazdu”.

„I cóż dalej?”

„Odetchnęłam swobodniej, gdy się wyniósł. Syn mój ma teraz właśnie urlop, ale nie mu o tem wszystkim nie mówiłam, bo jest bardzo porywczy i ubóstwia siostrę. Gdy zamknęłam drzwi za tymi moimi lokatorami, kamień spadł mi z sereca. Niestety, zaledwie upłynęła godzina, odezwał się dzwonek — pan Drebber powrócił w stanie niezwykłego podniecenia. Widocznie podpił sobie porządnie. Przemocą wtargnął do pokoju, gdzie siedziałam z córką, i zaczął opowiadać bezładnie, że spóźnił się na pociąg. Potem nagle zwrócił się do Alicyi i wobec mnie zaproponował jej, z całą bezczelnością, żeby z nim uciekła. „Jesteś pani pełnoletnia” — mówił — „żadne prawo nie może pani tego wzbrownić. Mam pieniądze więcej, niż mogę wydać. Nie zwracaj pani uwagi na starą i pójdź ze mną zaraz. Będziesz żyła, jak księżna”. Biedna Alicya była taka przerażona, że odsunęła się od niego, ale on schwycił ją za rękę i usiłował pociągnąć ku drzwiom. Wówczas krzyknęłam i w tej samej chwili syn mój, Artur, wszedł do pokoju. Co się później stało, już nie wiem. Słyszałam przekleństwa, odgłos bijatyki, ale byłam taka przerażona, że nie śmiałam podnieść głowy. Gdy nareszcie oprzytomniałam, ujrzałam Artura, stojącego z laską w rękę w progu i śmiejącego się do rozpuku.

„No, mam nadzieję, że ten piękny pan nie będzie nam już głowy zawracał” — rzekł. „Pójdę jednak za nim i zobaczę, co z sobą pocznie”. To mówiąc, Artur wziął kapelusz i wyszedł. Następnego ranka dowiedzieliśmy się o tajemniczej śmierci p. Drebbera”.

„Opowiadanie to przerywała pani Charpentier częstemi westchnieniami i niejednokrotnem milczeniem. Chwilami mówiła tak cicho, że zaledwie mo-

głem dosłyszeć jej słowa. Porobiłem notatki z tego jej zeznania dla uniknięcia wszelkich pomyłek”.

— Ależ to niesłychanie zajmujące — rzekł Sherlock Holmes, ziewając. — I cóż dalej?

„Gdy pani Charpentier skończyła — mówił dalej agent policyjny — wpatrzyłem się w nią wzrokiem, który, jak się często przekonałem, robi zawsze wrażenie na kobiety, i zapytałem o której godzinie jej syn powrócił?

„Nie wiem“ — odparła.

„Nie wie pani?”

„Nie; ma klucz od zatrzasku i wszedł nie budząc nikogo“.

„Pani zatem już spała?”

„Tak jest”.

„A kiedy udała się pani na spoczynek?”

„Okolo jedenastej“.

„W takim razie syn pani bawił za domem okolo dwóch godzin?”

„Tak“.

„A może cztery lub pięć?”

„Może”.

„Cóż robił przez ten czas?”

„Nie wiem!“ odparła, błędąc silniej jeszcze.

„Oczywiście, potem nie miałem już wyboru.

Dowiedziałem się, gdzie narazie przebywał porucznik Charpentier, wziąłem ze sobą dwóch policyantów i zaarrestowałem go. Gdy dotknąłem jego ramienia i wezwałem spokojnie, by poszedł ze mną, odpowiedział mi z niesłychaną bezczelnością: „Przypuszczam, że aresztujesz mnie pan, jako wmieszanego w sprawę zabójstwa tego łotra Drebbiera“. Nie wspomnieliśmy mu słowa jednego o zbrodni, odczwanie się jego przeto było podejrzane.

— Bardzo — rzekł Holmes.

— Trzymał w rękę tę samą grubą laskę, którą, jak mówiła matka, wziął ze sobą, gdy wybiegł ścigać Drebbiera. Jest to sękaty kij dębowy.

— Jakież jest zatem wasze mniemanie?

— Otóż, mojem zdaniem, ścigał on Drebbra aż do Brixton Road. Tam zaszła między nimi nowa awantura, porucznik kropnął Drebbra laską, może w sam dołek, co spowodowało jego śmierć, nie zostawiając najmniejszego śladu. Deszcz był taki ulewny, że na ulicy panowała zupełna pustka i Charpentier mógł niepostrzeżenie zawlec zwłoki swojej ofiary do pustego domu. Co się tyczy świecy, krwi, wyrazu napisanego na ścianie i pierścionka, uważam, że to wszystko wybiegi, żeby zmylić ślad i wprowadzić w błąd policję.

— Sprawiliście się doskonale, panie Gregson— rzekł Holmes tonem zachęcającym.—Doprawdy, myślę, że będziemy jeszcze mieli z was pociechę.

— Pochlebiam sobie, rzeczywiście, że nieźle poprowadziłem sprawę—odparł agent z dumą.—Porucznik zeznał niezwłocznie, że śledził Drebbra przez pewien czas, ale wreszcie Drebbier dostrzegł go i wsiadł do dorożki, by mu się wymknąć. P. Charpentier, wracając do domu, spotkał dawnego kolegę i odbył z nim długą przechadzkę. Zapytany gdzie mieszka ów kolega, nie był w stanie dać zadawalającej odpowiedzi. Myślę, że wszystkie te zajścia mają ze sobą niezaprzeczonego związek. Bawi mnie tylko ten Lestrade, który się puścił fałszywym śladem. Obawiam się, że się niewiele dowie. Ale, a to co? tam do licha! toć to on sam we własnej osobie!

Istotnie w tejże chwili wszedł do pokoju Lestrade, pozbawiony wszakże tej pewności siebie i stanowczości, jakie cechowały jego obejście i ubranie. Twarz miał zmienioną, strwożoną, odzienie nieocyszczone, zaniedbane. Przyszedł widocznie z zamiarem zasięgnięcia rady Sherlocka Holmesa, gdyż, spostrzegłszy kolegę, zmieształ się i nachmurzył. Stał na środku pokoju, obracając nerwowym ruchem kapelusza i niewiedząc co począć.



— Wypadek rzeczywiście niesłychany,—rzekł wreszcie,—sprawa zupełnie niezrozumiała.

— A! tak uważasz, panie Lestrade? — zawołał Gregson tryumfująco.—Byłem pewien, że dojdiesz do tego wniosku. Czy odszukałeś nareszcie sekretarza, p. Józefa Stangersona?

— Ów sekretarz, ów p. Józef Stangerson — odparł Lestrade poważnie—został zamordowany dzisiaj, około szóstej zrana, w hotelu Hallidaya.

## ROZDZIAŁ VII.

### Światło wśród ciemności.

Nowina, jaką nas Lestrade powitał, była taka ważna i niespodziewana, że osłupieliśmy wszyscy trzej. Gregson zerwał się z krzesła i wylał resztę whiskey z wodą, a ja patrzyłem w milczeniu na Sherlocka Holmesa, który siedział z zaciśniętymi ustami i zmarszczonymi brwiami.

— I Stangerson także!—szepnął,—sprawa się wikła.

— Była i bez tego dość zawikłana,—mruknął Lestrade, siadając.—Ale, zdaje mi się, że przerwałem naradę wojenną?

— Czy.. czy pewien jesteś tej nowiny?—wybuchnął Gregson.

— Wracam z jego pokoju—odparł Lestrade.—Pierwszy odkryłem co zaszło.

— Usłyszeliśmy właśnie mniemanie Gregsona w tej sprawie—zauważył Holmes.—Czy nie zechcelibyście nam opowiedzieć coście wy widzieli i zrobili.

— I owszem — odparł Lestrade. — Wyznaję szczerze, iż byłem przekonany o udziale tego Stangersona w zamordowaniu Drebbera. Zanim ten nowy fakt wykazał mi, iż myliłem się najzupełniej. Zajęty tą jedną myślą zabrałem się do odszukania

owego sekretarza. Otóż, widziano ich razem na stacyi Euston, około pół do dziewiątej wieczorem d. 3-go. O drugiej nad ranem Drebbler został znaleziony przy Brixton Road. Najważniejszym tedy narazie było dowiedzieć się co Stangerson robił między pół do dziewiątej a czasem, w którym popełniono zbrodnię i co się z nim stało później. Zatelegraflowałem do Liverpoolu, podając nazwisko i pewne wskazówki co do Stangersona i zalecając baczny nadzór nad statkami amerykańskimi. Następnie zabrałem się sam do roboty i zacząłem chodzić po wszystkich hotelach i pensjonatach, w okolicy stacyi Euston. Myślałem bowiem, że jeśli wbrew moim przypuszczeniom, Drebbler rozstał się ze swoim towarzyszem, ten ostatni, oczywiście, spędził noc gdzieś w tej samej dzielnicy, by następnego ranka pójść znów na stacyę.

— Umówili się prawdopodobnie przed rozłączeniem, gdzie się nazajutrz spotkają — zauważył Holmes.

— Tak było istotnie. Spędziłem cały wieczór wczorajszy na bezowocnych poszukiwaniach. Dzisiaj rano zacząłem na nowo od wczesnego ranka i o ósmej byłem w hotelu Hallidaya, przy ulicy Little George. Na zapytanie moje, czy mieszka tam p. Stangerson, odpowiedziano mi potwierdzająco.

„Niewątpliwie pan jest tym, na którego p. Stangerson czeka”, powiedziano mi. „Spodziewa się kogoś już od dwóch dni”.

„Gdzież jest obecnie?” — spytałem.

„U siebie; śpi jeszcze, kazał się obudzić o dziewiątej”.

„Pójdę sam do niego” — odparłem.

— Pomyślałem, że moje niespodziane ukazanie się zmieszka go do tego stopnia, iż wyrwie mi jakie niebaczne słowo. Portyer poszedł ze mną, by mi wskazać pokój; znajdował się na drugim piętrze, a prowadził do niego mały korytarzyk. Por-

tyer pokał mi drzwi i zamierzał zejść, gdy naraz spostrzegłem coś, co mnie przejęło trwogą, pomimo moich dwudziestu lat doświadczenia. Z podedrzwi sączył się wązki strumyk krwi, który przepłynął przez korytarzyk i utworzył małą kałużę pod ścianą przeciwległą. Krzyknąłem, co skłoniło portyera do powrotu. Omal nie zemdlął na widok krwi. Drzwi były zamknięte od wewnątrz, ale podważyliśmy je we dwóch i wylamali. Okno w pokoju było otwarte, a obok okna leżały, twarzą do ziemi, zwłoki mężczyzny w koszuli nocnej. Nie żył już widocznie od jakiegoś czasu, gdyż był sztywny i zimny. Gdyśmy go odwrócili, portyer poznał od razu, że był to ten sam pan, który wynajął pokój jako Józef Stangerson. Przyczyną śmierci było pchnięcie nożem czy szyletem w lewy bok, takie głębokie, że musiało przebić serce. A teraz przychodzi rzecz najdziwaczniejsza. Jak się panu zdaje, co znajdowało się po nad zamordowanym?

Dreszez wstrząsnął mną od stóp do głowy, ogarnęło mnie przecucie czegoś strasznego, zanim jeszcze Sherlock Holmes odpowiedział:

— Wyraz RACHE, napisany krwią.

— Tak jest—odparł drżącym głosem i przez dobrą chwilę milczeliśmy wszyscy.

Postępowanie nieznanego mordercy było takie systematyczne i takie niezrozumiałe, że zbrodnia stawała się tem straszniejsza. Nerwy moje, zahartowane na polu bitwy, zaczęły mi odmawiać posłuszeństwa—drżałem cały.

— Widziano zabójcę—ciągnął dalej Lestrade.— Chłopiec, sprzedający mleko, idąc do mleczarni uliczka, między oborą a tyłami hotelu, zauważył, że drabina, leżąca tam zawsze, była oparta o jedno z okien na drugim piętrze, które było otwarte na oścież. Chłopak, minawszy hotel, obejrzał się i spostrzegł na drabinie jakiegoś człowieka, który schodził z takim spokojem, tak nie zdradzając żadnego

wzruszenia, że chłopak wziął go za stolarza lub cieśle, pracującego w hotelu. Nie zwrócił przeto na człowieka owego specjalnej uwagi, dziwił się tylko, że tak wczesnie zaczyna robotę. Chłopak ma wrażenie, że mężczyzna ów był wysoki, miał twarz czerwoną i na sobie długi płaszcz brązowy. Popelnivszy zabójstwo pozostał widocznie jeszcze przez czas jakiś w pokoju, znaleźliśmy bowiem wodę z krwią w miednicy, gdzie mył ręce, a na prześcieradłach plamy krwi, wykazujące, że ocierał niemi nóż.

Spojrzałem na Holmesa, słysząc ten rysopis zabójcy, identyczny z tym, jaki on mi podał. Ale nie dostrzegłem na twarzy swego towarzysza najlżejszego śladu uczucia trwogi lub choćby zadowolenia.

— Czy nie znaleźliście w pokoju nic, co mogłoby naprowadzić na ślad mordercy?—spytał.

— Nie zupełnie. Stangerson miał w kieszeni sakiewkę Drebbiera, ale tak pewnie bywało zazwyczaj, skoro płacił za niego wszystkie rachunki. W sakiewce było przeszło 80 f. st. Jakikolwiek są pobudki tych niezwykłych zbrodni, rabunek jest zupełnie wyłączony. Nie znalazłem przy zamordowanym ani papierów, ani żadnych notatek, tylko jeden telegram, datowany z Clevelandu, jaki miesiąc temu, zawierający wyrazy: „J. H. jest w Europie”, bez podpisu.

— I nie więcej?—spytał Holmes.

— Nie ważnego. Powieść, którą nieszczęśliwy człowiek czytał widocznie przed zaśnięciem, leżała na łóżku, a fajka na krześle obok. Na stoliku stała szklanka wody, a na parapecie okna małe drewniane pudełeczko z dwiema pigułkami.

Sherlock Holmes zerwał się z krzesła, wydając okrzyk radości.

— Ostatnie ogniwo!—zawołał.— Już teraz nie brak mi niczego.

Policyanci spojrzeli na niego wzrokiem bezbrzeżnego zdumienia.

— Mam nareszcie w ręku wszystkie nici, które się składają na ten zagmatwany węzeł — rzekł mój towarzysz tonem zwierzenia. — Są jeszcze, oczywiście, pewne luki, ale to drobne szczegóły; faktów głównych, jakie zaszły od czasu rozłączenia się Drebera ze Stangersonem na stacyi do chwili znalezienia zwłok, jestem wszelako taki pewny, jakgdybym na nie patrzył własnymi oczyma. Dam wam zaraz dowód. Panie Lestrade, nie macie przypadkiem tych pigulek?

— Owszem — odparł Lestrade, wyjmując z kieszeni białe pudełeczko; — zabrałem je ze sobą z sakiewką i depeszą i zamierzałem złożyć wszystko razem w biurze policyjnym. Ale pigułki wziąłem przypadkiem, bo, muszę wyznać, że nie przywiązuję do nich żadnej wagi.

— Dajcie mi je, — rzekł Holmes. — A teraz, doktorze — dodał, zwracając się do mnie, — czy to pigułki zwyczajne?

Nie, stanowczo. Miały kolor szary, perłowy, były bardzo małe, okrągłe i prawie przezroczyste pod światłem.

— Wnosząc z ich lekkości i przezroczystości, muszą być rozpuszczalne w wodzie — zauważyłem.

— Właśnie — odparł Holmes. — A teraz doktorze, czy nie zechciałbyś zejść i przynieść tu tego nieboraka jamnika, który się męczy już tak długo, że aż gospodyni prosiła wczoraj, byś pan położył koniec jego cierpieniom?

Zszedłem do kuchni, przyniosłem pieska i położyłem go na poduszce przed kominkiem. Ciężki oddech jamnika, szkliste oczy wykazywały, że koniec jego się zbliżał, a biały, jak śnieg, pysk dowodził, że przekroczył już zwykłe granice istnienia psów swojej rasy.

— Przekroję teraz jedną z pigulek na poło-

wę—rzekł Holmes i, dobywając scyzoryka, słowa swoje w czyn zamienił.—Jedną połowę chowam do pudelka, bo mi będzie później potrzebna, a drugą kładę do tego kieliszka, gdzie jest łyżeczka wody. Widzicie panowie, że nasz przyjaciel, doktor, ma słuszność, i że pigułka rozpuszcza się istotnie.

— To doświadczenie może być bardzo interesujące—odezwał się Lestrade, tonem człowieka, który podejrzewa, że drwią z niego;—nie widzę jednak, co to wszystko może mieć wspólnego ze śmiercią p. Józefa Stangersona.

— Cierpliwości, mój przyjacielu, cierpliwości! Przekonacie się we właściwym czasie, że ma bardzo wiele wspólnego. Teraz dodaję trochę mleka, żeby ta mikstura była możliwa do przełknięcia, dając psu i widzimy, że pije ją chętnie.

Mówiąc, Holmes wylał płyn z kieliszka do spodeczka i postawił go przed psem, który checiwie wylizał wszystko do ostatniej kropli. Poważne zachowanie się Holmesa oddziało na nas do tego stopnia, że siedzieliśmy wszyscy mileząc i wpatrzni w psa, czekając jakiegoś zdumiewającego wyniku. Daremnie wszakże. Pies leżał w dalszym ciągu wyciągnięty na poduszce, oddychając z trudnością, nie czując się widocznie ani lepiej, ani gorzej po zażyciu lekarstwa.

Holmes wyjął zegarek, a w miarę tego jak upływała minuta za minutą, nie przynosząc żadnego rezultatu, na twarzy jego odbijało się coraz dobitniej wielkie zmartwienie i rozczarowanie. Gryzł wargi, bębnił palcami po stole, objawiał wogóle gwałtowne zniecierpliwienie. Był tak silnie wzburzony, że żał mi się go zrobiło, gdy obaj policyjanci uśmiechali się drwiąco, zachwyceni tą porażką.

— Niepodobna, żeby to był zbieg okoliczności — zawołał, zrywając się nakoniec z krzesła; — niepodobna, żeby to był tylko prosty zbieg okoliczności — powtórzył, chodząc wielkimi krokami po

pokoju. Te same pigulki, których działania domyślałem się w sprawie Drebbëra, ukazują się znów po śmierci Stangersona. A jednak są nieszkodliwe. Co to może znaczyć? Cały łańcuch moich dowodzeń nie może być fałszywy. To niepodobna! A jednak ten przeklęty pies nie zdycha... A, mam!... mam już, mam!

Z okrzykiem radości rzucił się na pudeleczek, przekroił drugą pigułkę na połowę, dodał mleka i podsunął znów spodeczek jamnikowi. Zaledwie nieszczęśliwy psiak umoczył język, konwulsyjne drgawki szarpnęły nim kilkakrotnie i padł sztywny i martwy, jak rażony piorunem.

Sherlock Holmes odetchnął głęboko i otarł pot z czoła.

— Powinienem był mieć więcej wiary — rzekł — powinienem był już wiedzieć, że gdy fakt jak zaprzecza pozornie całemu szeregowi wniosków, okazuje się zawsze, że należy dla tego faktu szukać innego wyjaśnienia. Z dwóch pigulek w tem pudełku, jedna zawierała zabójczą truciznę, a druga była zupełnie nieszkodliwa. Powinienem był wiedzieć o tem, zanim nawet ujrzałem pudełko.

To ostatnie twierdzenie wydało mi się takie zdumiewające, że trudno, doprawdy, było mi uwierzyć, iż Holmes mówi przytomnie. Niemniej jednak, nieżywy pies potwierdzał jego wywody. Czułem, że mgła, przysłaniająca mój umysł, stopniowo się rozprasza, że zaczyna zarysowywać się w nim niejasne pojęcie prawdy.

— Wszystko to wydaje wam się takie osobliwe — ciągnął dalej Holmes — dlatego, że od początku śledztwa nie uchwyciliście całego znaczenia jedynej prawdziwej wskazówki, jaka się wam nastręczyła. Los zrządził, że ja odrazu zdałem sobie z tego sprawę a wszystko, co zaszło następnie, potwierdziło tylko moje podejrzenie początkowe i było faktycznie tylko naturalnym jego wynikiem. Ztąd

rzeczy, które was wprawiały w osłupienie i sprawę w waszem mniemaniu zaciemniały, mnie posłużyły do wyjaśnienia i do wzmocnienia słuszności moich wniosków. Błędem jest pojęcie, że wypadki niezwykłe są zarazem tajemnicze. Najpospolitsza zbrodnia bywa często najbardziej tajemniczą, dlatego, że nie zawiera żadnych nowych, ani odrębnych cech, z których możnaby wyprowadzać wnioski. Zabójstwo, zajmujące nas obecnie byłoby daleko trudniejsze do wyjaśnienia, gdyby zwłoki ofiary zostały znalezione poprostu na drodze, bez tych wszystkich sensacyjnych okoliczności, jakie odrazu nadały wybitne piętno całej zbrodni. Wszystkie te osobliwe szczegóły, nietylko, że nie utrudniły wyjaśnienia sprawy, ale przeciwnie jeszcze, ułatwiły nasze zadanie.

P. Gregson, który słuchał tych wywodów z widoczną niecierpliwością, nie mógł się dłużej powstrzymać.

— Panie Holmes — rzekł — jesteśmy gotowi wszyscy przyznać, że z pana dzielny człowiek, i że pan ma odrębną metodę w pracy. Niemniej teraz same teorye i kazania na nic nam się nie przydadzą. Teraz chodzi o schwytnie zabójcy. Działalem na własną rękę i zdaje mi się, że byłem w błędzie. Młody Charpentier nie może być sprawcą tego drugiego zabójstwa. Lestrade tropił tego Stangersona i okazuje się, że również się pomylił. Pan tymczasem rzucał od czasu do czasu wzmianki, które każą wnosić, że pan wie więcej od nas; mamy zatem teraz prawo zapytać pana wręcz, co pan wie o tej sprawie. Czy może pan wymienić człowieka, który zbrodnię popełnił?

— Nie mogę nie przyznać Gregsonowi, że ma słuszność — zauważył Lestrade. — Obaj robiliśmy, co było w naszej mocy i obaj ponieśliśmy porażkę. Niejednokrotnie, od czasu jak jestem tutaj, wspominał pan, że ma pan wszystkie potrzebne dowody



zbrodni. Myślę, że ich pan dłużej dla siebie nie zatrzyma.

— Najmniejsza zwłoka w zaaresztowaniu zbrodniarza—zauważyłem—może mu nastreczyć sposobność popełnienia jakiego nowego okrucieństwa.

Naglony tak przez nas wszystkich. Holmes wahał się widocznie. Chodził ciągle po pokoju, mając głowę spuszczoną na piersi i brwi zmarszczone, jak zawsze, gdy myśl jego pracowała.

— Morderstw już żadnych nie będzie — rzekł w końcu, stając nagle przed nami. — Możecie być tego pewni. Zapytaliście mnie, czy znam nazwisko mordercy. Znam. Sama świadomość jego nazwiska jest drobnostką w porównaniu z trudnością schwywania go. Liczę jednak, że to wkrótce nastąpi. Mam nadzieję dokonać tego, dzięki swoim własnym zarządzeniom; ale to sprawa, wymagająca wiele taktu, bo mamy do czynienia z człowiekiem przebiegłym i zdolnym do wszystkiego, który ma pomocnika równie, jak on sam, mądrego, o czem miałem się sposobność przekonać. Dopóki ten człowiek nie domyśla się, że ktoś go śledzi, jest pewna szansa schwywania go; ale skoro tylko powźmie najlżejsze podejrzenie, zmieni nazwisko i zniknie w jednej chwili wśród czterech milionów mieszkańców naszej olbrzymiej stolicy. Nie mając najmniejszego zamiaru dotknąć któregokolwiek z was, zmuszony jestem oświadczyć, że uważam, iż ci dwaj ludzie są od was silniejsi i dlatego nie zażądałem pomocy policji. Jeśli mi się nie uda, cała wina za to niepowodzenie spadnie oczywiście na mnie; ale jestem na to przygotowany. Narazie przyrzekam wam, że z chwilą, gdy będę mógł podzielić się z wami tem, co wiem, bez zaszkodzenia swoim kombinacyom, uczynię to niechybnie.

Gregson i Lestrade nie byli bynajmniej zadowoleni z tego przyrzeczenia, ani też zachwyceni lekceważącą wzmianką o policji. Ostatni zaczerwie-

nił się aż po same korzenie swoich konopiastych włosów, a w okrągłych, wylupiastych oczach pierwszego zabłysła ciekawość i niechęć. Zanim wszakże którykolwiek z nich zdążył sformułować jakieś zdanie, odezwało się nieśmiałe pukanie do drzwi, i przedstawiciel bandy urwisów, Wiggins, ukazał się we własnej, zarówno zawsze brudnej i wstrętnej osobie.

— Proszę łaski pana—oznajmił—dorożka stoi na dole.

— Dobrze się sprawileś, chłopcze—rzekł Holmes obojętnie. — Dlaczego nie wprowadzacie tego systemu do Scotland-Yard? — ciągnął dalej, wyjmując z szuflady kajdanki stalowe.—Spójrzyjcie, jaka doskonała sprężyna. W oka mgnieniu człowiek jest spętany.

— Stary system jest też dobry—zauważył Le-strade;—bylebyśmy tylko mogli znaleźć człowieka, któremu moglibyśmy je nałożyć.

— Prawda, prawda—odparł Holmes z uśmiechem.—Dorożkarz mógłby mi zamknąć i znieść kuferek, Wiggins, zawołaj go na górę.

Zdumiony byłem, słysząc, że towarzysz mój mówi o wyjeździe, nie uprzedziwszy o tem ani jednym słowem. W kącie pokoju stał ręczny kuferek, Holmes wydobyl go i zaczął zapinać sprzączki. Był zupełnie zatopiony w tem zajęciu, gdy dorożkarz wszedł do pokoju.

— Pomóście-no mi zapiąć ten rzemień, dorożkarzu—odezwał się Holmes, nie odwracając głowy.

Woźnica zbliżył się, spoglądając nieufnie dookoła i położył ręce na kufierku, by dopomóc Holmesowi. W tejże samej chwili rozległ się suchy trzask, metaliczny dźwięk i Sherlock Holmes zerwał się na równe nogi.

— Panowie — zawołał z blyszczącym wzrokiem—pozwólcie, niechaj wam przedstawię p. Jeffer-

sona Hope, mordercę Enocha Drebbera i Józefa Stangersona.

Wszystko to stało się z taką błyskawiczną szybkością, że nie mogłem na razie zdać sobie z tego sprawy. Chwila ta utkwiała mi doskonale w pamięci — pamiętam wyraz tryumfu w oczach Holmesa, dźwięk jego głosu, dziką rozpacz na twarzy dorożkarza, gdy spoglądał na lśniące kajdany, które, jakby na skutek czarodziejskiego zaklęcia, zacisnęły się dokoła jego rąk.

Przez kilka sekund staliśmy wszyscy bez ruchu, jak posągi. Poczem nagle dorożkarz z rykiem wściekłym wyrwał się z uścisku Holmesa i rzucił się w okno. Rama i szyby rozleciały się w kawałki, ale, zanim zdołał się wydostać, Gregson, Lestrade i Holmes poskoczyli ku niemu, jak psy gończe za zwierzyną. Zaciągnęli go na środek pokoju i tu rozpoczęła się straszna walka. Taki był silny i gwałtowny, że pokonywał wszystkich czterech kilkakrotnie. Miał moc człowieka w napadzie epileptycznym.

Twarz i ręce miał okropnie szkłem pokaleczone, ale utrata krwi nie zmniejszyła bynajmniej jego siły oporu. Dopiero, gdy Lestrade'owi udało się wsunąć dłoń za krawat i gdy zaczął go dusić, zbrodniarz dał za wygraną. Ale i wówczas nie byliśmy pewni swego, dopóki nie skuliśmy jego nóg, tak samo jak rąk. Poczem powstaliśmy z ziemi wyczerpani, nie mogąc tehu złapać.

— Dorożka jego stoi na dole — rzekł Sherlock Holmes. — Możemy z niej skorzystać, zawiezie nas do Schotland-Yardu. A teraz, panowie — ciągnął dalej z uprzejmym uśmiechem — mamy wyjaśnienie naszej małej tajemnicy. Możecie mnie pytać o co wam się tylko spodoba, odpowiem na wszystko z przyjemnością.

---

## CZĘŚC II.

### W KRAINIE ŚWIĘTYCH.

#### ROZDZIAŁ I.

##### Na pustyni słonej.

Środkową część rozległych obszarów Ameryki północnej zajmuje wielka, przerażająca pustynia, która przez szereg lat stanowiła nieprzebytą zaporę, powstrzymującą pochód cywilizacji. Od Sierra Nevada do Nebraski od rzeki Yellowstone na północy do rzeki Colorado na południu panuje wszechwładnie pustka i milczonie. Przyroda wszelako nie jest jednostajna na tej ponurej przestrzeni. Wysokie góry, o szczytach śniegiem pokrytych, wznoszą się po za ciemnymi, smutnymi dolinami. Wartkie potoki torują sobie drogę wśród ciasnych wąwozów; to znów ciągną się bezbrzeżne równiny, w zimie pokryte śnieżnym całunem, a latem zasłane grubą szarą warstwą solnego pyłu. Wszędzie jednakże wyciśnięte to samo niegościnnie piętno bezpłodności i nędzy.

Ta kraina rozpaczy niema mieszkańców. Od czasu do czasu przebiega ją tylko gromada Pawnów<sup>1)</sup> czerwonoskórych, szukając nowych dzielnic do polowania, lecz najśmielsi z odważnych radzi są,

---

<sup>1)</sup> Szczep indyjski (*Przyp. Hóm*).

gdy znikną im z oczu te straszne obszary, a oni znajdują się znów wśród swoich preryi rozległych. Sep, przecinający szybkim lotem powietrze, ocieślały niedźwiedź, szukający wśród urwisk skalistych pożywienia—oto jedyni mieszkańcy tej puszczy.

Na całym świecie niema smutniejszego krajobrazu nad ten, jaki się roztacza z północnego stoku Sierra Blanca. Jak oko sięgnie ciągnie się płaszczyna zasiana jakby wielkimi płatami soli, poprzercinana skarłowaciałymi zaroślami. Na krańcu widnokregu wznosi się łańcuch gór, które rozdierają obłoki swemi nagimi, zaśnieżonemi szczytami. Na tym rozległym obszarze ustało wszelkie życie. Nigdy ptak nie szybuje pod stalowem sklepieniem nieba, żadna żywa istota nie porusza się na martwej, szarej ziemi—po nad wszystkim góruje bezwzględne milczenie. Największa wyτέżenie słucho nie pochwyci śladu dźwięku wśród tej potężnej puszczy; wszędzie cisza—nie, oprócz lodem serce ścinającej ciszy.

Wszelako, czyż naprawdę twierdzić można, że nie na rozległym obszarze nie przypomina istnienia stworzeń żyjących? Kto z wysokości Sierra Blanca spojrzy na równinę, ten dostrzeże drogę, która wije się wśród pustyni i niknie w dali. Wyłobily na niej bruzdy niezliczone koła, wydeptały ślady stopy licznych awanturników. Tu i owdzie lśnią w słońcu jakieś białe przedmioty i odcinają się jakrawo od szarej warstwy pyłu solnego. Zbliż się i przyjrzyj im dobrze! To kości i szkielety — jedne wielkie, grube, inne mniejsze znacznie, delikatniejsze. Pierwsze to szczątki zwierzęce, ostatnie — ludzkie. Na przestrzeni tysiąca pięćinset mil ciągnie się ta karawana szkieletów, rozsiane są kościotrupy tych, którzy padli i wyzioneli ducha na drodze.

W dniu 4-ym maja 1847 r. samotny podróżnik patrzył ze szczytu na ten rozpaczliwy krajobraz, a wyglądał jak duch pokutujący wśród tej pustki. Trudno było określić wiek jego — powiedzieć, czy

bliższy był czterdziestki, czy też sześćdziesiątki. Twarz miał wychudłą, rysy ostre; poźółkła skóra, niby pergamin, przylegała do wystających kości; srebrne pasma przewijały się w gęstej, ciemnej czuprynie i rozczochranej brodzie; oczy, głęboko zapadłe, gorzały nienaturalnym blaskiem; dłoń, zaciśnięta dokoła strzelby, mogła uchodzić za dłoń szkieletu. Opierał się o broń, nie mogąc widocznie się utrzymać, jakkolwiek wysoki wzrost i barczysta postać wykazywały męską siłę. Lecz twarz zapadnięta, ubranie zbyt szerokie, wiszące na wychudzonej postaci, wykazywały nazbyt jasno przyczynę tego nędznego wyglądu. Człowiek ów umierał — umierał z głodu i pragnienia.

Z trudnością zeszedł do wąwozu, z większym mozolem wdrapał się na wzgórze, w nadziei, daremnej niestety, że tam znajdzie jaki ślad wody. Ale teraz rozciągała się tylko przed jego wzrokiem wielka równina soli, a w dali grzbiety groźnego łańcucha gór — nigdzie znaku rośliny, ani drzewa, które wskazywałoby istnienie źródła lub jakiej kałuży. Znikąd w tej bezbrzeżnej pustyni nie zabłysło mu światełko nadziei. Daremnie wodził błędnem okiem dokoła, zwracał je na północ, to na wschód, to na zachód. Zrozumiał, że nadszedł koniec, że tu był kres jego wędrówek i że skona tu, na tej nagiej skale.

— Bo i dlaczego nie? wszystko jedno, czy tu teraz, czy za lat dwadzieścia w wygodnym łóżku — szepnął, siadając pod osłoną olbrzymiego głazu.

Zanim usiadł, rzucił na ziemię swoją broń niepotrzebną, złożył duży tłomok, związany szarym szalem. Dźwigał go na prawem ramieniu, a był widocznie za ciężki na jego siły, gdyż opuścił go zbyt gwałtownie na ziemię. W tejsze chwili odezwał się z wnętrza szarego tłomoka żaloszny okrzyk i wysunęła się drobna, wylekła twarzyczka dziecięca, w której jaśniały wielkie piwne oczęta — a potem maleńkie pulchne zaciśnięte piąstki.

— Uderzyłeś mnie!—odezwał się głos dziecięcy tonem wyrzutu.

— O, Boże—odparł mężczyzna zmieszany—to nieumyślnie.

Mówiąc to, odwinął szary szal i wydobyl z niego pięcioletnią może dziewczynkę. Ładne trzewiczki, zgrabna różowa sukienka i biały tartuszek wykazywały, że ubierała ją troskliwa matka. Dziecko było blade i znużone, ale zaokrąglone ręce i łydki świadczyły, że nie przecierpiało tyle, co jego towarzysz.

— Boli cię jeszcze?—spytał z niepokojem, widząc, że dziewczynka pociera tył głowy, okryty bujnemi, jasnemi, a jak jedwab miękkimi kędziurami.

— Pocałuj mnie tu, to się zgoi—odparła z całą powagą, wskazując obolałe miejsce. — Mama zawsze tak robi. A gdzie mama?

— Pojechała. Ale zobaczysz ją znów niedługo.

— Pojechała?—rzekła dziewczynka.—Jakie to dziwne, że się ze mną nie pożegnała; a zawsze się żegnała, choćby tylko poszła do ciotki na herbatę, a teraz to już niema jej trzy dni!... Ale słuchaj, tak mi się chce pić... niema wody?... chce mi się jeść... daj mi coś!

— Nie mam nic kochanie. Musisz być jeszcze trochę cierpliwa, a potem już ci będzie dobrze. Oprzyj główkę o moje ramię, ot, tak... będzie ci wygodniej. Nielatwo to mówić, gdy język suchy jak skóra, ale wolę ci już powiedzieć wszystko... Co ty tam masz?

— O, jakie to ładne, jakie to śliczne!—zawołało dziecko radośnie, pokazując mu dwa kawalki miki, iskrzące się w słońcu. Jak wrócimy do domu, dam to braciszкови, Bobowi.

— Ujrzysz niezadługo ładniejsze rzeczy—szepnął mężczyzna—poczekaj tylko trochę... Ale, chciałem ci powiedzieć... czy pamiętasz, jak mineliśmy rzekę?

— O, tak.

— A więc, liczyliśmy, że znajdziemy niezadługo drugą rzekę, ale pomyliliśmy się... kompas czy mapa wskazały nam złą drogę, nie wiem i nie znaleźliśmy rzeki. Nasza woda wyczerpała się, zostało kilka kropel dla ciebie i... i...

— I nie mogłeś się umyć — przerwała dziewczynka poważnie, spoglądając na jego twarz, kuznem okryta.

— Tak, ani napić. A potem umarł najpierw p. Bender, a potem nasz Indyanin, Pete i pani Me Gregor i Jaś Hones i w końcu, kochanie, twoja mama...

— To mama także umarła! — krzyknęło dziecko, wtuliło buzię w fartuszek i rozszlochało się żałością.

— Tak, umarli wszyscy, prócz mnie i ciebie, Potem myślałem, że znajdziemy wodę w tych stronach; wziąłem cię na plecy i powędrowaliśmy. Ale zawiodła mnie nadzieja... nie mamy już chyba czego się spodziewać teraz!

— To może i my umrzemy, co? — spytało dziecko, przerywając nagle płacz i zwracając do towarzysza zalaną łzami twarzą.

— Tak, dziecko moje, tak mi się zdaje.

— Dlaczegoś nie powiedział tego pierwej? — spytała śmiejąc się radośnie. — Takeś mnie przestraszył! Przecież jak umrzemy, to będziemy znów razem z mamusią.

— Tak, kochanie, ty pójdziesz do mamusi.

— I ty także. Już ja jej powiem, jakiś ty był dla mnie dobry. Wiesz, założę się z tobą, że będzie czekała na nas we drzwiach nieba z wielkim dzbankiem wody i z całym koszykiem gorących placków gryczanych, obsmażonych z obu stron... wiesz, takich, jak to Bob i ja bardzo lubimy. A jak to długo jeszcze potrwa?

— Nie wiem... pewnie niedługo.

Mężczyzna skierował wzrok w północną stronę



widnokregu. Na błękitnem sklepieniu nieba ukazały się trzy ciemne punkciki, które wzrastały i zbliżały się z niesłychaną szybkością. Były to trzy wielkie ptaki, o ciemnych piórach, które zataczały koła ponad głowami podróżników i w końcu usiadły na skale ponad nimi. Były to sępy—zwiastuny śmierci.

— Koguty i kury; — zawołała dziewczynka z radością, wskazując na złowróźbne ptaki i klaszcząc w dłonie, by je spłoszyć. — Powiedz, czy to Pan Bóg stworzył ten kraj?

— Naturalnie — odparł mężczyzna, zdumiony tem zapytaniem.

— Chyba, że nie—szczebiotało dalej dziecko.— Bóg stworzył przecież tamten kraj w Illinois i w Missoury, ale ten, to musiał zrobić kto inny, bo jest daleko gorzej zrobiony. Zapomnieli tu o wodzie i drzewach.

— A możebyś się trochę pomodliła? — spytał mężczyzna nieśmiało.

— Kiedy jeszcze nie noc.

— Nie nie szkodzi. Ręczę, że Pan Bóg nie będzie się gniewał, chociaż to dzień. Zmów te modlitwy, które odmawiałaś co wieczór, na wózku, jak byliśmy jeszcze w preryách.

— A dlaczego ty sam nie zmówisz? — spytało dziecko, patrząc zdumionemi oczyma na mężczyznę.

— Bom zapomniał—odpowiedział.—Byłem jak połowa tej strzelby, kiedym się już odzwyczaił od modlitwy... ale, czas zawsze naprawić złe... Odmawiaj, kochanie, modlitwy głośno, a ja będę powtarzał za tobą.

— No, to musisz uklęknąć, i ja także—odparła dziewczynka, rozpościerając szal.—Teraz złożysz ręce, ot tak... zobaczysz, zaraz uczujesz, żeś lepszy.

Szczególny to był widok, któremu przypatrywały się tylko sępy! Na wąskim szalu uklękli obok siebie swawolne dziecko i stary, zahartowany awanturnik. Okrągła, niewinna twarzyczka i wynędzniałe

kościste oblicze zwróciły się razem ku błękitnemu sklepieniu, a z dwojga sere, takich różnych, wzniosła się w jednakim porywie modlitwa do stóp Istoty Najwyższej; dwa głosy, jeden cienki i czysty, drugi niski i ochryply — zwały się w błaganii o miłosierdzie i przebaczenie.

Gdy skończyli modlitwę, powrócili na miejsce pod osłoną głazu i niebawem dziecko zasnęło, przytulone do szerokiej piersi opiekuna. On zaś czuwał przez czas jakiś nad snem dziecka, lecz w końcu natura wzięła górę. Przez trzy dni i trzy noce nie zaznał snu, ani odpoczynku. Powieki spuściły się na znużone oczy, głowa opadała coraz niżej na piersi, aż wreszcie siwa broda mężczyzny złączyła się ze złotymi kędziorami dziecka i oboje spali snem twarzym, kamiennym, bez marzeń.

Gdyby wędrowiec pozostał rozbudzony jeszcze przed pół godziny, oczom jego ukazałby się osobliwy widok. Na samym krańcu rozległej płaszczyzny solnej ukazał się małeńki obłoczek kurzu; bardzo lekki zrazu i zaledwie dostrzegalny w dali, wzrastał stopniowo, aż utworzył gęsty wielki tuman, który zbliżał się i rósł ciągle tak, że w końcu oczywistem stało się, iż wywołuje go liczna gromada stworzeń, żyjących w ruchu.

W okolicy żyźniejszej możnaby przypuścić, że to zbliża się jedno z wielkich stad żubrów, pasących się wśród preryi. Ale w tej pustce, wśród tej suchości, przypuszczenie takie było wprost niemożliwe. W miarę jak tuman kurzu zbliżał się do samotnej skały, na której spoczywali zbłąkani wędrowcy, zarysowały się coraz wyraźniej wozy z budami płóciennymi i postacie jeźdźców uzbrojonych. Była to tedy wędrująca na zachód karawana.

Ale, jakaż olbrzymia! Gdy początek znajdował się już u stóp gór, koniec nie ukazał się jeszcze na widnokręgu. Wędrujące szeregi rozproszyły się po całej bezbrzeżnej równinie, furgony i wózki, męż-

czyżni konno i pieszo zajęli ją od krańca do krańca. Kobiety szły chwiejnym krokiem, uginając się pod nadmiernymi ciężarami, dzieci dreptały obok wózków lub wychylały się z pod bud płóciennych. Nie była to niewątpliwie zwyczajna gromada przychodźców, lecz raczej jakiś naród koczujący, ziewolony siłą okoliczności do szukania nowej ojezyny. Z pośród tego olbrzymiego tłumu wznosiła się głucha wrzawa głosów ludzkich, zmieszana ze skrzypem kół i rżeniem koni. Jakkolwiek głośna była, nie zdołała jednak zbudzić ze snu znużonych wędrowców na skale.

Na czele pochodu jechało konno kilkunastu mężczyzn o twarzach poważnych i surowych; odziani byli w ubrania z ciemnego, grubego sukna i uzbrojeni w strzelby. Dotarłszy do stóp urwiska zatrzymali się i odbyli krótką naradę.

— Studnie są na prawo, bracia — rzekł jeden z nich z twarzą zupełnie wygoloną, wąskimi zaciśniętymi ustami i siwiejącymi włosami.

— Na prawo od Sierra Blanca... w takim razie dotrzemy do Rio Grande—odezwał się inny.

— Nie obawiajmy się braku wody — zawołał trzeci, — Ten, Który sprawił, iż woda wytrysła ze skały, nie opuści Swego wybranego narodu.

— Amen! Amen! — odpowiedzieli wszyscy chórem.

I zamierzali ruszyć w dalszą drogę, gdy jeden z najmłodszych, najbystrzejszym obdarzony wzrokiem, wydał okrzyk i wskazał głaz, wznoszący się nad nimi. Na szczycie powiewał kawałek materiału różowego, odcinając się ostrym, jaskrawym tonem od szarego tła skał. Na ten widok wszyscy powstrzymali konie i chwycili za broń, a inni jeźdźcy nadbiegli galopem, by wzmocnić awangardę. Wyrzaz „czerwonoskórzy” był na wszystkich ustach.

— Niepodobna, żeby znalazła się tu licniejsza gromada Indyan—rzekł starszy mężczyzna, któ-

ry był, jak się zdawało, wodzem. — Minęliśmy osady Pawnów i nie powinniśmy spotkać innych szczeptów aż po za łańcuchem wielkich gór.

— Czy mogę pójść zobaczyć, bracie Stanger-son?—spytał jeden z gromady.

— I ja też... I ja też... — odezwało się kilkanaście głosów.

— Pozostawcie konie wasze, będziemy tu na was czekali—odparł wódz.

W jednej chwili najmłodszy zeskoczył z siodeł, związał razem konie i zaczęli się wdrapywać na stromą pochyłość, wiodącą do przedmiotu, który wzbudził ich zaciekawienie. Szli szybko i bez hałasu, z wprawą i pewnością ludzi przywykłych do chodzenia na wywiady. Pozostali na dole ścigali wzrokiem skaczących ze skały na skałę, aż wreszcie postaci ich zarysowały się na błękitnem tle nieba. Szli teraz, a przodował ten, który pierwszy uderzył na alarm. Nagle towarzysze jego ujrzeli, że unosi ręce ruchem zdumienia, a zbliżywszy się do niego, osłupieli również na widok, jaki przedstawił się ich oczom.

Na malej płaszczyźnie, na szczycie skały, wznosił się głaz olbrzymi, a pod tym głazem leżał wyciągnięty mężczyzna wysoki, z długą brodą, barczysty, lecz wychudzony jak szkielet. Spokojna twarz jego i regularny oddech wskazywały, że śpi mocno.— Obok niego spoczywało dziecko, które zarzuciło na jego żyłastą ogorzałą szyję białe pulchne rączęta, a złotą główkę złożyło na piersi, okrytej wytartą aksamitną kurtką. W rozehylonych, różowych ustach dziewczynki jaśniały śnieżną białością drobne ząbki, radosny uśmiech opromieniał dziecienną twarzyczkę. Okrągłe łydki, zakończone stópkami w białych skarpetkach i pantofelkach ze świeącemi sprzączkami—wszystko to stanowiło szczególnie kontrast z wychudzoną postacią jej towarzysza.

Nad śpiącymi, na skraju skały, siedziały nie-

ruchomie trzy wielkie sepy, które na widok przybyszów zaczęły wydawać przeraźliwe wrzaski, jakby rozgniewane, że im żer wydzierają i zabrały się ociężałe do odlotu.

Krzyk ptaków obudził śpiących — zerwali się, przerażeni i rozglądali się z trwogą dokoła. Mężczyzna, po chwili, skoczył na równe nogi i patrzył na równinę, która była taka pusta, gdy sen zmorzył jego powieki, a teraz roiała się od ludzi i zwierząt. Na twarzy jego odbił się wyraz niedowierzania; przesunął kościstą dłoń po oczach.

— Zaczynają się już gorączkowe widzenia — szepnął do siebie.

Dziewczynka stała obok niego, uczepliła się rączką kurtki i nie mówiła, tylko zdumionym, pytającym wzrokiem dziecka rozglądała się dokoła.

Ludzie, przybyli tak niespodzianie na ratunek biednym zabłąkanym, przekonali ich niebawem, że nie byli bynajmniej widzeniem tylko. Jeden z nich wziął dziewczynkę i posadził ją sobie na ramieniu, dwaj inni ofiarowali swą pomoc jej wycieńzonemu towarzyszowi i poprowadzili go do wozów.

— Nazywam się Jan Ferrier, — objaśniał wędrowiec; — z dwudziestu dwóch wychodźców pozostaliśmy tylko ja i ona. Reszta umarła z głodu i pragnienia, tam, na południu.

— Czy to wasze dziecko? — spytał jeden z mężczyzn.

— Myślę, że nabyłem do tego prawo teraz — zawołał wędrowiec; — jest moja, bom ją uratował. Nikt nie zdoła mi jej odebrać, a nazwisko jej od dnia dzisiejszego Lucya Ferrier. A wy, kto taey? — dodał, spoglądając na swoich barczystych, ogorzałych wybawców; — jest was, jak widzę, moc wielka.

— Blisko dziesięć tysięcy — odezwał się jeden

z młodzieńców; — jesteśmy prześladowanymi dziećmi Boga... wybranymi anioła Merony...

— Nigdy o nim nie słyszałem — odparł wędrowiec. — Ale też wybrał was sobie gromadę niemałą!

— Nie żartujcie z tego, co święte — rzekł tamten surowo. — Jesteśmy z tych, którzy wierzą w owe pisma święte, skreślone zgłoskami egipskimi na płytach ze złota kutego, które przekazane zostały świętemu Józefowi Smithowi w Palmirze. Idziemy z Nauvoo, w Stanie Illinois, gdzie wznieśliśmy naszą świątynię. Szukamy schronienia przed człowiekiem niesprawiedliwym i bezbożnym, chociażbyśmy je znaleźć mieli dopiero w głębi pustyni.

Nazwa Nauvoo obudziła widocznie wspomnienia w umyśle Jana Ferriera.

— Wiem już — rzekł — jesteście Mormonami.

— Jesteśmy Mormonami — odpowiedzieli towarzysze jego chórem.

— A dokąd idziecie?

— Nie wiemy. Prowadzi nas ręka Boga, w osobie naszego Proroka. Musicie stanąć przed jego obliczem, a on powie co zwami uczynić należy.

W tejże chwili dotarli właśnie do stóp wzgórza i otoczył ich tłum pielgrzymów, — kobiety blade i przygnębione, dzieci czerstwe i roześmiane, mężczyźni o twarzach surowych i wyzywającym spojrzeniu. Ze wszystkich stron odezwały się okrzyki zdumienia i współczucia, na widok przybyłych, z których jedno było takie młode, a drugi taki wynędzniały. Ci, co ich przyprowadzili, nie pozwolili im wszakże zatrzymać się, lecz naglili do dalszej drogi i szli tak, otoczeni licznym tłumem Mormonów, dopóki nie stanęli przed wozem, który zwracał uwagę wielkością i bogactwem przyborów. Zaprzężony był w sześć koni, gdy inne tylko w dwa, lub co najwyżej w cztery. Obok woźnicy siedział mężczyzna, który nie mógł mieć więcej niż lat trzydzieści, lecz

głowa wyrazista i energia, malująca się we wzroku i na twarzy wykazywały, że był wodzem. Czytał książkę w brązowej okładce, lecz na widok zbliżającego się tłumu odłożył ją i wysłuchał uważnie opowieści przygody. Poczem zwrócił się do dwóch wędrowców.

— Jeśli was weźmiemy ze sobą — rzekł uroczystym głosem — to tylko jako dzielących naszą wiarę. Nie chcemy wilków w naszej ovezarni. — Lepiej, by kości wasze bielily się śród tej pustyni, niżbyście się mogli stać owym zaczątkiem zgnilizny, który z czasem niweczy cały owoc. Czy zechcecie pójść z nami na tych warunkach?

— Domyślcie się chyba, że wobec położenia, w jakim jestem, pójdę z wami, przyjmując wszelkie warunki — odparł Ferrier z taką skwapliwością, że nawet starsi, mimo swej powagi, nie mogli się powstrzymać od uśmiechu.

Tylko wódz zachował surowy, nieublagany wyraz twarzy.

— Weźcie go, bracie Stangersonie — rzekł — trzeba nakarmić i napoić i jego i dziecko. Waszem zadaniem będzie, bracie, uczyć go naszej świętej wiary. Przystanek trwa już za długo. Naprzód! W drogę do Syonu!

— W drogę do Syonu! — ryknął tłum Mormonów, a słowa te, powtarzane z ust do ust, przepływały przez karawanę, jak fala, której szum przycichał i skończył w oddali.

Rozległ się ponownie zgrzyt kół, trzask biczków, wielkie furgony i wózki potoczyły się dalej i karawana wiała się znów śród pustyni, niby pierścienie olbrzymiego meża. Starszy, którego pieczy powierzonych zostało dwoje wędrowców, zaprowadził ich do swego wózka, gdzie czekało już na nich jedzenie.

— Pozostaniecie tutaj — rzekł. — Za dni kilka wypoczniecie, a tymczasem pamiętajcie, że na wieki

wieków dzielić musicie nasze wierzenia. Tak powiedział Brigham Young, a przemówił on głosem Józefa Smitha, który jest głosem Boga.

---

## ROZDZIAŁ II.

### K w i a t U t a h u.

---

Nie tu miejsce na przypomnienie niewygód i cierpień, jakie znosili Mormoni podczas swojej wędrówki, zanim dotarli do celu. Od wybrzeży Missisipi do zachodnich stoków gór Skalistych walczyli z przeciwnościami, składając dowody wytrwałości, nieznaney niemal w dziejach narodów. Dzięki tej właściwości rasy anglo-saksońskiej pokonywali dzikich ludzi i dzikie zwierzęta, głód i pragnienie, zmęczenie i chorobę — wszelkie przeszkody, jakie natura mogła im stawiać na drodze.

Wszelako długa podróż i powtarzające się nieustannie niebezpieczeństwa wyczerpały odwagę serc najodważniejszych. To też wszyscy, jak jeden mąż, padli na kolana, w porywie gorącej modlitwy, gdy ujrzeli u stóp swoich rozległą, skąpaną w blasku słonecznym dolinę Utah, gdy wódz oznajmił im, że to jest ich ziemia obiecana, a jej dziewicza rola stanie się nazawsze ich własnością.

Young dowiódł niebawem, że jest równie wytrawnym administratorem, jak energicznym przywódcą. Polecił wygotować mapy i plany, na których nakreślono zarysy przyszłego miasta. Dokola wyznaczono miejsca na farmy i rozdzielono je w stosunku do stanowiska każdego osadnika. Kupcowi umożliwiono powrót do handlu, rękodzielnikowi do rzemiosła. W mieście ulice i place powstawały jakby pod wpływem zaklęcia. Na wsi wznoszono pło-



ty, orano i siano, tak, że następnego lata cały kraj zasłany był lanami złocistych kłosów.

Wszystko wiodło się pomyślnie w tej szczególnej osadzie. Lecz przedewszystkiem wielka świątynia, której fundamenty założyli w samym środku miasta, z każdym dniem wznosiła się wyżej i wyżej. Od pierwszej zorzy jutrzejki dopóki nie zagał ostatni blask dzienny odzywał się stuk młotka i zgrzyt piły dokoła pomnika, jaki przychodzący budowali ku czci Tego, Który ich wyprowadził bez szwanku z tyłu niebezpieczeństw.

Dwoje wędrowców, Jan Ferrier i mała dziewczynka, która dzieliła jego dołę i którą adoptował jako córkę, towarzyszyli Mormonom do końca ich wielkiej pielgrzymki. Mała Lucy jechała wygodnie na wozie starszego Stangersona wraz z trzema żonami Mormona i jego synem, śmiałym, rezolutnym chłopcem dwunastoletnim. Z właściwą dziecku podatnością Lucy odzyskała szybko swobodę po ciociu, spowodowaną śmiercią matki i stała się niebawem ulubienicą kobiet; to też pogodziła się najzupełniej z nowem życiem w ruchomym, pokrytym płótnem domu.

Ferrier ze swej strony, odzyskawszy siły, okazał się wkrótce pożytecznym przewodnikiem i niezmordowanym myśliwym. Zdobył szacunek swoich nowych towarzyszy tak prędko, że gdy stanęli u kresu wędrówki, przywódcy jednomyślnie postanowili, że Ferrier otrzyma równie obszerny i żyzny dział ziemi, jak każdy z osadników, z wyjątkiem Younga samego, Stangersona, Kemballa, Johnstona i Drebbera, czterech głównych „starszych”.

Na gruncie, w ten sposób otrzymanym, Jan Ferrier wznosił naprzód trwałe dom z drzewa, który z biegiem lat powiększał przybudówkami, tak, że w końcu zamienił go na obszerną willę. Był to człowiek praktyczny, śmiały i wytrwały w pracy i niezwykle sprawną ręką obdarzony. Żelazny orga-

nizm pozwalał mu pracować od rana do wieczora nad uprawą i użyźnianiem roli. Ztąd też na farmie jego wszystko rosło i rozwijało się bujnie. Po latach trzech wiodło mu się lepiej niż wszystkim sąsiadom, po sześciu był człowiekiem zamożnym, po dziewięciu bogatym, a po dwunastu w całym Salt Lake City zaledwie sześciu ludzi mogło się z nim równać. Od wielkiego jeziora wewnętrznego do odległych gór Wahsatch nie było nazwiska znanego zaszczytniej od nazwiska Jana Ferriera.

Pod jednym względem wszakże budził podejrzenie w swoich współwyznawcach. Żaden argument, żadne perswazyje nie zdołały go nakłonić do pojęcia kilku żon, na wzór towarzyszków. Nie przytaczał nigdy przyczyn tego postanowienia; zadawał się niewzruszoną, wytrwałą odmową.

Jedni oskarżali go o brak gorliwości religijnej, inni przypisywali to skąpstwu, obawie większych wydatków. Byli i tacy, którzy przebąkiwali o dawnej miłości, o jasnowłosej dziewczynie, która umarła z tęsknoty na wybrzeżach Atlantyku. Jakikolwiek był powód—Ferrier pędził życie w nieprzejednanym celibacie. Pod każdym względem stosował się ściśle do przepisów religijnych młodej kolonii i zyskał sławę człowieka stanowczego, prawego i pobożnego.

Lucy Ferrier rosła w chacie i dopomagała w pracy przybranemu ojcu. Ożywe powietrze górskie, balsamiczna woń sosen zastępowały dziewczęciu starania matki. Z każdym rokiem rosła i mężniała, lica jej zaokrąglały się i okrywały coraz świeższym rumieńcem, chód stawał się elastyczniejszy. Niejeden wędrowiec, przechodząc gościńcem, wiodącym mimo farmy Ferriera, czuł, że budzą się w duszy jego myśli dawno zapomniane na widok smukłej dziewczęcej postaci, przesuwającej się śród łąnów zbożowych lub dosiadającej na wół dzikiego, nieokiełzanego konia ojcowskiego i kierującej

nim z wdziękiem i swobodą prawdziwego dziecka zachodu. Tak to pączek rozwinał się na kwiat przedurzędny i w roku, w którym ojciec jej mógł już uważać się za najbogatszego farmera w okolicy, Lucy stała się najdoskonalszym typem urodziwej Amerykanki.

Nie ojciec wszakże pierwszy spostrzegł, że dziecko zamieniło się w dziewczę. Tak zresztą bywa zawsze. Tajemnicza ta zmiana jest zbyt subtelna i stopniowa, by można ją określić jakąś datą. Najmniej świadoma jej jest sama młoda dziewczyna, dopóki dźwięk cudzego głosu lub uścisk ręki nie przyspieszy bicia jej serca i nie objawi, że zbudzają się w niej wrażenia nowsze i silniejsze. Przemiana ta trwoży ją nieco, lecz zarazem przejmuje słodką dumą.

Niewiele kobiet nie pamięta dnia i drobnego zdarzenia, które im były zwiastunami jutrzeńki nowego życia. I w pamięci Lucy Ferrier wyryło się zdarzenie podobne, mniej poważne samo przez się, niż ze względu na skutki, jakie pociągnęło za sobą dla niej samej i wielu innych osób.

W ciepły poranek czerwcowy ci, którzy się przewali „świętymi dnia ostatniego”, pracowali równie gorliwie jak pszczoły, których ul, obrali sobie za godło. Na polach i na ulicach rozlegał się jednaki szmer, wywoływany pracą ludzką. Wzdłuż zakurzonych gościńców postępowały długie szeregi obładowanych mulów, wszystkie dążyły ku zachodowi, albowiem wybuchła złota gorączka w Kalifornii, a droga, która do niej wiodła, prowadziła przez miasto „wybranych”. Ukazywały się też kolejno na gościńcu to stada owiec i buhajów, powracające z odległych pastwisk, to znów gromady wychodźców, a ludzie i zwierzęta zarówno byli zmęczeni podróżą bez końca.

Śród tego różnorodnego tłumu i zamętu Lucy Ferrier, konno, torowała sobie drogę z wprawą

skończonej amazonki; lica jej były lekko zaróżowione od ruchu i wysiłku, a bujne, ciemno-blond włosy ze złocistym odcieniem spadały swobodnie na ramiona. Ojciec dał jej, jak to często bywało, zlecenie do miasta; jechała tedy i śpieszyła się z całą niefrasobliwością młodości, myśląc jedynie o zleceniu owem i o tem jak je załatwić. Znużeni podróżą awanturnicy spoglądali na nią ze zdumieniem a nawet obojętni Indyanie, okryci skórami, otrząsali się ze swej martwoty i podziwiali urodę dziewczyny o „bladej twarzy.”

Wjeżdżała właśnie na przedmieście, gdy nagle zagroziło jej drogę wielkie stado bydła, pędzone przez sześciu tęgich, ponurych pastuchów z równin. Zniecierpliwiona, usiłowała ominąć tę przeszkodę i skierowała konia na wolne, jak jej się zdawało, przejście. W jednej chwili wszakże bydło stłoczyło się i otoczyło ją dookoła, tak, że ta ruchoma fala buhajów o dzikim spojrzeniu i śpiezastych rogach niosła ją prawie.

Przyzwyczajona do bydła, nie przelekła się tego położenia, lecz korzystała z każdego wolniejszego miejsca, by skierować na nie konia, w nadziei, że zdola jednak wydostać się z pośród stada. Na nieszczęście, bądź przypadkiem, bądź umyślnie, jeden z buhajów ubódł konia rogami w bok; koń, wystraszony, zarżał z bólu i wściekłości, stanął dęba i zaczął się rzuceć tak gwałtownie, że trzeba całej umiejętności i pewności młodej dziewczyny, by nie wylecieć z siodła. Położenie stawało się coraz groźniejsze. Za każdym skokiem koń spotykał się z rogami jednego z buhajów; a te ciosy wprawiały go w szal coraz większy. Lucy całym wysiłkiem już teraz trzymała się w siodle i zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że, jeśli się zesunie, zginie straszną śmiercią pod kopytami stada rozwścieczonych zwierząt.

Nieprzywykła do takich zajęć niespodziewa-

nych zaczynała tracić przytomność a ręka jej puszczala cugle. Kurz i zaduch unoszący się z pośród zwierząt dławily ją, i zrozpaczona chciała już zaprzestać dalszej walki, gdy nagle odezwał się tuż przy niej głos łagodny, zwiastujący pomoc: w tej samej chwili żyłasta brunatna dłoń schwytała wylekłego konia za uzdę i wyprowadziła go z pośród stada.

— Mam nadzieję, że się pani nie złego nie stało—rzekł wybawca, tonem pełnym szacunku.

Lucy spojrzala na jego twarz ogorzala, energiczną i zaśmiała się.

— Przestraszyłam się okropnie—odparła z prostotą.—Ale, ktoby też pomyślał, że Poncho przeleknie się tak paru krów?

— Bóg łaskaw, że pani nie wyleciała z siodła—rzekł poważnie jej towarzysz, wysoki młodzieniec, o powierzchowności zdziczałej, siedzący na tegim dereszowatym koniu, ubrany w strój myśliwski z grubego sukna, z długą strzelbą, przewieszoną przez ramię.

— Domyślam się, że pani jest córką Jana Ferriera—zaczął znów po chwili; — widziałem, jak pani wyjeżdżała z jego domu. Po powrocie, niechaj go pani zapyta, czy pamięta Jeffersonów Hopeów z St. Louis. Jeśli to ten sam Ferrier, którego mam na myśli, w takim razie jest to wielki przyjaciel mego ojca.

— Czy nie wolalby pan przyjść sam i zapytać?—rzekła nieśmiało.

Młodzieniec był widocznie tą propozycją zachwycony, nagły blask rozgorzał w jego ciemnych oczach.

— Uczynię to z przyjemnością—odparł; — ale włóczymy się po górach od dwóch miesięcy i nie jesteśmy na wizyty przygotowani. Ferrier musi mnie przyjąć tak jak jestem.

— Winien panu niemało i ja również — rze-

kła;—on mnie bardzo kocha. Gdyby te krowy mnie stratomowały, nie pocieszyłby się nigdy.

— Ani ja — odezwał się młodzieniec.

— Pan! Nie widzę dlaczego miałoby to pa-na dotknąć. Wszak pan nie jest nawet naszym przyjacielem.

Ogorzała twarz młodego myśliwego tak spochmurniała na te słowa, że Lucy roześmiała się głośno.

— Ja wcale nie to chciałam powiedzieć—rzekła;— ma się rozumieć, że pan teraz jest naszym przyjacielem. Musi pan nas odwiedzić. Ale teraz ruszam dalej w drogę, bo inaczej ojciec nie powierzy mi już nigdy swoich interesów w mieście. Do widzenia!

— Do widzenia!—odparł, unosząc swój wielki *sombbrero*<sup>1)</sup> i pochylając głowę nad drobną dłonią, która się do niego wyciągnęła.

Lucy zwróciła konia, zacięła go szpicerutą i pędziła, jak strzała, gościńcem, pozostawiając za sobą obłok kurzu.

Młody Jefferson Hope jechał z towarzyszami ponury i milezący. Przebywali oni w górach Nevada, szukając srebra i przyjeżdżali teraz do Salt Lake City w nadziei znalezienia kapitału na eksploatacyę odkrytych żył. Dotąd Jefferson był równie gorliwie zajęty tą sprawą, jak jego towarzysze, ale niespodziewane zajście nadało myślom jego zupełnie inny kierunek. Widok młodej, urodziwej dziewczyny, świeżej i zdrowej, jak powiewy wiatru górskiego, poruszył do głębi jego namiętne, nieokielznane serece.

Gdy znikła mu z oczu, zrozumiał, że w życiu jego nastąpił przewrót i że odtąd ani kopalnie srebra, ani żadna inna sprawa nie zdoła współzawo-

<sup>1)</sup> Kapelus z wielkimi skrzydłami (*Przyp. tłum.*).

dnieżyć z tem nowem, pochłaniającem całą jego istotę uczuciem. Miłość, która zrodziła się w sercu jego, nie była nagle, zmiennem urojeniem chłopca, lecz raczej dziką gwałtowną namiętnością mężczyzny silnej woli despotycznego charakteru. Dotychczas wiodło mu się wszystko, co tylko zamierzył. To też poprzysiął sobie w duszy, że i tu nie dozna zawodu, o ile tylko powodzenie zależy będzie od wysiłku ludzkiego i ludzkiej wytrwałości.

Tego wieczora jeszcze odwiedził Jana Ferriera, a potem powracał często i stał się codziennym niemal gościem w farmie. Jan, uwieczony w dolinie, pochłonięty przez pracę, niewiele słyszał nowin ze świata przez ostatnich lat dwanaście. Jefferson Hope opowiadał mu tedy wszystko, co go zając mogło i to w taki sposób, że zarówno Lucy, jak i jej ojciec, słuchali go cheiwie. Był pionierem w Kalifornii i opowiedział niejedne dziwne dzieje majątków zdobytych i straconych w tych czasach gorączki. Był też kolejno poszukiwaczem srebra, hodowcą bydła, myśliwym i ścigał Indyan. Gdzie tylko zdarzyła się sposobność awanturniczej przygody, Jefferson Hope był jednym z pierwszych.

Niebawem stał się ulubieńcem starego farmera, który sławił z zapałem jego zalety. Lucy słuchała wówczas słów ojca w milezeniu, ale zarumienione lica i roziskrzzone wyrazem szczęścia oczy wykazywały jasno, że serce jej przestało już być jej wyłączną własnością. Poczciwy jej ojciec nie zauważył wprawdzie tych oznak, lecz natomiast rozumiał je dobrze ten, który duszę jej opanował.

Pewnego letniego wieczora pędził galopem po gościńcu i zatrzymał się przed farmą. Uwiązał konia u kraty i wszedł na ścieżkę, którą, spostrzegłszy go, dążyła Lucy na jego spotkanie.

— Odjeżdżam, Lucy — rzekł, biorąc jej ręce w swoje dłonie i tonąc tkliwym spojrzeniem w jej oczach. — Nie chcę cię prosić, żebyś jechała teraz

ze mną, ale, gdy wrócę, czy zechcesz zostać moją?  
 — A kiedy to będzie? — spytała, płonąć i uśmiechając się.

— Za dwa miesiące najdalej. Wrócę i upomnę się o ciebie, mój skarbie. Nikt nie może stać między nami.

— A ojciec? — zapytała.

— Zezwolił, pod warunkiem, że interesy kopalniane się powiodą. Ale nie mam w tym kierunku żadnych obaw.

— A więc, skoro ojciec i ty ułożyliście już wszystko, ja nie mam nic więcej do powiedzenia — szepnęła, opierając głowę na jego szerokiej piersi.

— Bogu chwała! — rzekł głosem wzruszonym, pochylił się i pocałował ją. — Zatem rzecz skończona. Im dłużej pozostanę, tem ciężej będzie mi odjeżdżać. Towarzysze czekają na mnie przy wąwozie. Bywaj zdrowa, ukochanie ty moje... bywaj zdrowa. Za dwa miesiące ujrzysz mnie znowu.

Wyrwał się z jej uścisku, wskoczył na konia i popędził galopem, nie odwracając się, jakgdyby w obawie, że, gdy spojrzy raz jeszcze na to, co zostawia za sobą, zachwieje się w powziętem postanowieniu.

A Lucy stała oparta o kratę i patrzyła za nim, dopóki nie znikł jej z oczu. Poczem wolnym krokiem weszła do domu. Była w tej chwili najszcześliwszem dziewczęciem w całym Utahu.

---

### ROZDZIAŁ III.

#### Prorok u Jana Ferriera.

---

Trzy tygodnie minęły od wyjazdu Jeffersona Hopea i jego towarzyszków z Salt Lake City. Serce Jana Ferriera ścisnęło się na myśl o powrocie



młodzieńca i o bliskiej utracie przybranej córki. Wszelako jej rozpromienione szczęściem oblicze, skuteczniej, niż wszelkie argumenty, sprawiało, iż godził się z danem przyrzeczeniem.

W głębi duszy poprzysiął sobie, iż nie zdoła zniewolić go do wydania córki za Mormona. Związku takiego nie uważał wcale za małżeństwo, lecz za hańbę i nieszczęście. Jakiegokolwiek były jego zapatrywania na zasady mormońskie, na tym jednym punkcie pozostał nieugięty. Wszelako nie mógł odezwać się z tem postanowieniem, gdyż w owych czasach wygłoszenie jakiegokolwiek myśli samodzielnej było rzeczą niebezpieczną w krainie świętych.

Tak, niebezpieczną i to tak dalece, że najpobożniejsi zaledwie odważyli się szeptem, z zapartym oddechem, wymieniać swoje pojęcia religijne, w obawie, by z ust ich nie wyszło coś, co zostałoby źle zrozumiane i ściągnęłoby na nich szybką karę. Ofiary prześladowania stały się teraz z kolei same prześladowcami okrutnymi, nieubłaganymi. Ani inkwizycya w Sewilli, ani osławione sądy tajemne, ani tajne stowarzyszenia włoskie, nie uruchomiły groźniejszych mahinacyi nad tę, która rzuciła ponury cień na Stan Utahu.

Grozę tej organizacyi podwajał fakt, iż była niewidzialna i tajemnicza. Wydawała się wszechwiedzącą i wszechmogącą, a jednakże nikt nigdy nie widział żadnego jej znaku, nie słyszał, by objawiła się czemkolwiek. Człowiek, który usiłował walczyć przeciw Kościołowi, znikał i nikt nie wiedział dokąd się udał, ani co się z nim stało. Żona i dzieci czekały nań w domu, lecz ojciec już nie powracał opowiedzieć, co zaszło między nim a jego potajemnymi sędziami. Niebaczne słowo, czyn nierozważny wywoływał unicestwienie, a nikt nigdy nie zdołał przeniknąć tajemnicy tej strasznej potęgi, jaka zawisła nad głowami wszystkich. Nie dziw-

nego zatem, że ci mężczyźni, zdjeci nieustanną trwogą, nie śmieli nawet w głębi pustyni zwierzać się sobie szeptem z wątpliwości, jakie ich pognębiały.

Początkowo ta władza, straszna i nieuchwytna, karała tylko opornych, którzy, przyjąwszy wiarę mormońską, chcieli ją następnie przekształcić lub porzucić. Niebawem wszakże rozszerzyła swój zakres. Liczba kobiet dorosłych zmniejszała się, a poligamia, wobec niewystarczającej ludności niewieściej, stawała się czezą doktryną. Wówczas zaczęły obiegać szczególne pogłoski — mówiono o zamordowanych przychodźcach i zrabowanych obozowiskach w okolicach, gdzie nigdy nie widziano Indian. Świeże kobiety ukazywały się w haremach starszyny — kobiety, tonące we łzach i rozpaczach, z wyrazem nieopisanego wstrętu na wynędzniałych twarzach.

Opóźnieni w górach podróżni opowiadali, iż spotykali ludzi uzbrojonych, zamaskowanych, którzy chykiem w milezeniu, przesuwali się śród ciemności. Opowieści te i pogłoski przybrały z czasem postać określoną: powtarzane nieustannie i potwierdzone doprowadziły nareszcie do tego, że zrozumiano powszechnie istotę rzeczy. Do dnia dzisiejszego w samotnych farmach na Zachodzie nazwa bandy Danitów lub Aniołów zemsty jest złowróżbną i wywołującą trwogę.

Gdy bliższe szczegóły tej organizacji, której działalność była taką straszną, stały się wiadome, trwoga, jaką szerzyła, powiększyła się jeszcze. Nikt nie wiedział kto należy do tego okrutnego stowarzyszenia. Nazwiska uczestników tych krwawych gwałtów, popełnianych w imię religii, otoczone były najgłębszą tajemnicą. Ten sam przyjaciel, któremu zwierzałeś się z wątpliwości swoich co do postępowania Proroka i jego posłannictwa, mógł być jednym z tych, co przychodzili nocą domagać się ogniem i mieczem strasznego zadośćuczynienia.

Ztąd każdy obawiał się sąsiada i nikt nie mówił o rzeczach najbliższej go obchodzących.

Pewnego pięknego poranku Jan Ferrier zabierał się do wyjścia w pole, gdy usłyszał zgrzyt klamki u kraty, a spojrzawszy przez okno, zobaczył idącego ścieżką barezystego mężczyznę w średnim wieku, o płowych włosach. Serce zakolało w piersi Ferriera, albowiem poznał w przybylszu wielkiego Brigham Younga we własnej osobie. Pełen niepokojem—gdyż wiedział dobrze, iż taka wizyta nie przynosi nic dobrego—Ferrier podbiegł ku drzwiom, by powitać wodza Mormonów. Brigham Young wszakże przyjął to powitanie oziębłe i nie rozjaśniając ponurego oblicza, wszedł za gospodarzem do bawialni.

— Bracie Ferrier—rzekł siadając i patrząc bystro z pod płowych rzęs na farmera—prawowierni okazali się, sądzę, dobrymi dla was. Zabraliśmy was z pustyni przymierającego głodem, dzieliliśmy z wami pożywienie, doprowadziliśmy was zdrowo i cało do Doliny Wybranej, daliśmy wam ziemię i pozwolili zbogacić się pod naszą opieką. Czy tak nie jest?

— Jest tak—odparł Jan Ferrier.

— W zamian za to wszystko domagaliśmy się spełnienia jednego tylko warunku! byście przyjęli prawdziwą wiarę i stosowali się pod każdym względem do jej przepisów. Przynakliście warunek ten spełnić, tymczasem, jeśli obiegające wieści głoszą prawdę nie dotrzymujecie przyrzeczenia.

— Jakto nie dotrzymujecie? — spytał Ferrier, wznosząc ręce ku niebu.—Czyż nie daję składki na fundusz wspólny? Czyż nie chodzę gorliwie do świątyni? Czy nie...

— Gdzież są żony wasze?—spytał Young, rozglądając się dokoła. — Wezwijcie je tutaj, bym je mógł powitać.

— Nie ożeniłem się, to prawda — odparł Ferrier. — Ale kobiet było wśród nas niewiele, a nieje-

den miał do nich większe odemnie prawa. Nie byłem sam, miałem córkę, która mi dopomagała w pracy.

— O tej córce właśnie chciałem z wami pomówić—rzekł wódz Mormonów. — Wyrosła na istny kwiat Utachu i znalazła łaskę w oczach niejednego z najpierwszych w kraju.

Jan Ferrier stłumił głuchy jęk.

— Obiegają o niej pogłoski, którym nie chciałbym dać wiary. To niechybnie plotki złośliwych języków. Jak brzmi 13-te przykazanie w kodeksie błogosławionego Józefa Smitha? „Każda dziewczina prawowierna winna zostać małżonką jednego z wybranych; albowiem gdyby wybrała poganina, popełniłaby grzech ciężki“. Tak chce jedno z naszych przykazań i niepodobieństwem jest, byście wy, którzy wyznajecie prawdziwą wiarę, pozwolili córce je pogwałcić.

Jan Ferrier milczał i nerwowym ruchem obracał w rękach szpicerę.

— Oto zatem nadarzyła się sposobność wystawienia na próbę gorliwości waszej wiary, tak postanowiła Święta Rada Czterech. Dziewczyna jest młoda i nie chcielibyśmy, aby poślubiła siwowłosego ani też zamierzamy pozbawić jej zupełnie prawa wyboru. My, starszyzna, posiadamy liczne stada jałówek <sup>1)</sup> ale i dzieci nasze muszą być zaopatrzone. Stangerson ma syna, ma syna i Drebbler, a każdy z nich powitałby chętnie córkę waszą w progach swego domu. Niechaj wybierze jednego z nich. Są młodzi, bogaci i prawowierni. I jakąż dacie mi na to odpowiedź?

Ferrier milczał jeszcze przez chwilę, z chmurą na czole.

— Musimy mieć czas do namysłu — odparł

---

<sup>1)</sup> Tak nazwał swoje 100 żon Heber C. Kamball w jednym z kazań swoich.

wreszcie.—Córka moja jest młoda, zaledwie wyszła z lat dzieciennych.

— Będzie miała miesiąc czasu do namysłu — rzekł Young, wstając.—Ale, gdy czas ten minie musi mi dać odpowiedź.

We drzwiach zatrzymał się i zwrócił ku Ferrierowi twarz zagniewaną i oczy, pałające złowrogim blaskiem.

— Janie Ferrierze, — przemówił piorunującym głosem — jeżeli zamierzacie, mimo waszej niemocy, stawiać opór rozkazom Czterech Świętych, lepiej byłoby dla was, gdyby wasz i jej szkielet bielili się teraz na stokach Sierra Blanca!

Słowom tym towarzyszył groźny ruch ręki, poczem Brigham Young wyszedł, i niebawem rozległ się na ścieżce zgrzyt żwiru pod jego ciężkimi krokami.

Jan Ferrier siedział z głową w rękach ukrytą i rozmyślał w jaki sposób oznajmi tę wieść złowrogą córce, gdy nagle miękka dłoń spoczęła na jego ramieniu; podniósł głowę i ujrzał przed sobą Lucy, a blada, wylękła jej twarz wykazywała, że słyszała wszystko.

— Nie podsłuchiwałam umyślnie, — rzekła, w odpowiedzi na pytające spojrzenie ojca. — Głos jego rozlegał się w całym domu. Och, ojcze, ojcze, co my pocniemy?

— Nie dręcz się — odparł, przyciągając ją do siebie i głaszcząc szeroką, szorstką ręką jej jedwabiste włosy. — Damy sobie radę w jakikolwiek sposób. Wszak twoje uczucie dla naszego chłopca nie zmniejsza się, co?

Łkanie i uściśnięcie jego dłoni był jedyną jej odpowiedzią.

— Nie, wiem o tem. Zresztą, nie chciałbym usłyszeć od ciebie, że jest inaczej. Chłopak to dzielny i dobry chrześcjanin, czem nie są bynajmniej ci ludzie tutejsi, mimo swych ciągłych modlitw i ka-

zań. Słuchaj, jutro wyrusza kompania do Nevady; postaram się przesłać mu wiadomości o tem, co tu zaszło. A musiałbym się bardzo pomylić w sądzie o nim, jeśli, na tę wieść, nie powróci do nas z szybkością, która zawstydzilaby iskrę telegraficzną.

Lucy uśmiechnęła się przez łzy na te słowa ojca.

— On nam najlepiej poradzi jak przyjedzie. Ale ja się o ciebie boję, ojcze kochany. Opowiadają... Opowiadają takie straszne historye o tych, którzy stawiają opór Prorokowi... zdarza im się zawsze jakieś okropne nieszczęście.

— Ale my nie stawialiśmy mu jeszcze oporu— odparł ojciec.—Czas będzie zapobiedz złemu, gdy to uczynimy; mamy miesiąc czasu przed sobą, a myślę, że gdy upłynie, najmądrzej zrobimy znikając z Utahu.

— Co, opuścić Utah?

— Taki mam zamiar.

— A farma.

— Postaramy się zebrać jaknajwięcej gotówki, a resztę zostawimy. Mówiąc szczerze, Lucy, nie pierwszy to raz myślę o tem. Nie lubię ulegać nikomu, jak oni tu wszyscy ulegają temu sztucznemu Prorokowi. Jestem synem wolnej Ameryki i to wszystko tutaj jest dla mnie nowe. Ja już za stary na naukę. A jeśli on tu jeszcze przyjdzie i będzie mi się wtrącał do moich spraw domowych, może się spotkać z dobrym ładunkiem śrutu na powitanie.

— Ale oni nie zechcą nas puścić—rzekła młoda dziewczyna.

— Poczekajmy na Jeffersona a potem już sobie poradzimy. Tymczasem zaś, nie martw się, nie dręcz, kochanie, i nie płacz, bo ci oczy obrzmieją, a ja będę musiał za to przed nim odpowiadać. Nie ma się czego bać i nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo.

Jan Ferrier pocieszał ją wprawdzie z wielką pewnością siebie, niemniej jednak Lucy zauważyła, że wieczorem z niezwykłą starannością zamykał drzwi na klucz i, oczyściwszy najpierw, nabił starą strzelbę, która wisiała na ścianie w jego sypialni.

## ROZDZIAŁ VI.

### U c i e c z k a.

Nazajutrz rano po rozmowie z Prorokiem Mormonów Jan Ferrier udał się do Salt Lake City, a odnalazszy znajomego, który wyruszył w góry Nevada powierzył mu list, przeznaczony dla Jeffersona Hopea. W liście tym opisywał, jakie straszne niebezpieczeństwo mu groziło i jak dalece powrót jego jest konieczny. Co uczyniwszy uczuł ulgę i ze swobodniejszym umysłem wracał do domu.

Zbliżając się do farmy, zdziwił się na widok dwóch koni, przywiązanych do kraty. A większe ogarnęło go zdumienie, gdy wszedł do bawialni i ujrzał dwóch młodych ludzi. Jeden, o długiej, bladej twarzy, leżał w bujaczku, oparłszy nogi na piecu. Drugi, z osadzoną na szerokim karku głową, o rysach pospolitych, zwierzęcych, stał w oknie, trzymając ręce w kieszeni i gwizdząc popularną pieśń. Obaj skinęli głową, gdy Ferrier wszedł, a ten, który leżał w bujaczku, rozpoczął rozmowę.

— Być może, że nas nie znacie—rzekl.—Oto jest syn starszego, Drebbera, a ja jestem Józef Stangerson, który podróżował z wami, gdy Pan wyciągnął dłoń Swoją i włączył was do Swej prawowiernej trzody.

Jan Ferrier uklonił się chłodno. Wiedział teraz co znaczyli ci goście.

— Przybyliśmy—ciągnął dalej Stangerson —

za radą ojców naszych, prosić was o rękę waszej córki, dla tego z nas, który wam i jej lepiej się spodoba. Ponieważ jednak ja mam cztery żony, a brat Drebbler siedem, przeto zdaje mi się, że moje oświadczenia powinny być lepiej przyjęte.

— Nie, nie, bracie Stangersonie—zawołał Drebbler;—nie chodzi o to ile żon mamy, ale ile możemy utrzymać. Otóż ojciec odstąpił mi swoje młyny i ja jestem teraz bogatszy.

— Ale moje widoki na przyszłość są lepsze—rzekł Stangerson.—Gdy pan powoła mojego ojca do swojej chwały, odziedziczę garbarnię i fabrykę skór. A potem, jestem od ciebie starszy i zajmuję w kościele wyższe stanowisko.

— Niechaj zatem panna zadecyduje—oświadczył młody Drebbler, przeglądając się z upodobaniem w zwierciadle.—Zastosujemy się do jej postanowienia.

Podczas tej rozmowy Jan Ferrier, palając gniewem i powstrzymując wybuch, stał w progu.

— Słuchajcie—rzekł w końcu, postępując ku nim—gdy moja córka was wezwie sama, pozwolę wam przyjść, ale, zanim to nastąpi, wara wam tu się pokazywać!

Młodzi Mormoni patrzyli na niego w osłupieniu. W ich mniemaniu, to współzawodnictwo w domaganiu się ręki dziewczyny było najwyższym zaszczytem, zarówno dla niej jak i dla jej ojca.

— Macie ztąd dwie drogi wyjścia—krzyknął Ferrier;—tu są drzwi, a tam okno. Którą wybieracie?

Ciemna twarz jego przybrała taki dziki wyraz, a jego żylaste ręce były takie groźne, że goście zerwali się na równe nogi i zabrali się szybko do odwrotu. Stary farmer odprowadził ich do drzwi.

— A dajcie mi znać jak się pogodzicie i postanowicie, który z was ma być moim zięciem—rzekł drwiąco.



— Zapłacisz ty nam za to! — wrzasnął Stanger-son, błądzący z wściekłości. — Wyzwałeś Proroka i Radę Czterech. Będziesz żałował tego do końca życia.

— Ręka pana dotknie cię ciężko! — zawołał Drebber. — Pan powstanie i spuści na ciebie srogą karę!

— A więc to ja zacznę karanie! — zawołał Ferrier, nie posiadając się z gniewu i zawrócił po strzelbę, ale w tej chwili Lucy schwytała go za ramię i powstrzymała.

Zanim się wyrwał z jej rąk, odgłos kopyt końskich dowiódł mu, że obaj Mormoni umknęli.

— A to nieszczęsne lotry! — zawołał, ocierając pot z czoła; — wolałbym cię raczej widzieć na marach, dziecko drogie, niż żoną jednego z nich.

— I ja również, mój ojciec — odparła; — ale Jefferson przybędzie niezadługo.

— Tak. Wkrótce go zobaczymy. Im wcześniej tem lepiej, bo nie wiemy, co nas może teraz z ich strony spotkać.

W istocie czas był wielki, aby człowiek rozważny przyszedł z pomocą staremu farmerowi i jego przybranej córce. W dziejach osady nie było bowiem jeszcze wypadku takiego jawnego nieposłuszeństwa i lekceważenia powagi starszyny. Jeśli drobne przewinienia były surowo karane, jakąż karą mogła czekać za taki śmiały bunt?

Ferrier wiedział, że ani jego majątek, ani stanowisko na nie mu się w tym wypadku nie przydadzą. Niejeden już, równie jak on, bogaty i znany, znikł bez śladu, a mienie jego przeszło na własność kościoła. Pomimo całej swej odwagi, Ferrier drżał z trwogi, na myśl o nieznanym, tajemniczym niebezpieczeństwach, jakie nad nim zawisły. Każdemu niebezpieczeństwu wiadomemu umiał stawić czoło mężnie, ale niepewność przyprowadzała go do rozpaczki. Przed córką ukrywał dręczące go oba-

wy i udawał, że nie przywiązuje do całej tej sprawy najlżejszej wagi. Niemniej Lucy, zaostrzonym miłością dziecięcą wzrokiem, widziała jasno, że gnębił go niepokój.

Ferrier oczekiwał poselstwa jakiego lub nagany ustnej od Younga za swoje postępowanie i—nie omylił się, jakkolwiek otrzymał wieść drogą niespodziewaną. Następnego ranka, obudziwszy się, ujrzał ze zdumieniem przypiętą do swej koldry, na piersi kartkę, a na niej dużemi literami wydrukowane wyrazy:

„Masz jeszcze 29 dni do namysłu, a potem“...

Takie ostrzeżenie było bardziej zatrważające niż wszystkie groźby. W jaki sposób dostało się do jego pokoju, Jan Ferrier nie mógł pojąć i to go najwięcej na razie niepokoiło; służba spała w osobnym pawilonie, a drzwi i okna były dobrze pozamykane. Ferrier podarł kartkę w kawalki i córce nie powiedział słowa, lecz wypadek ten powiększył jeszcze trwogę jego.

Owe 29 dni były resztą miesiąca zwłoki, udzielonej przez Younga. Jakaż siła, jaka odwaga mogła zrównoważyć wroga, uzbrojonego w taką tajemniczą potęgę? Ręka, która przymocowała ową szpilkę, mogła mu wymierzyć cios w samo serce, a on nie wiedziałby nigdy do kogo należała.

Nazajutrz rano doznał silniejszego jeszcze wstrząśnienia. Gdy zasiadł z córką do śniadania, Lucy, z okrzykiem zdumienia, wskazała na sufit. Na samym środku widniała nakreślona, widocznie węglem, cyfra 28. Dla Lucy cyfra ta pozostała niezrozumiałą, a ojciec jej nie objaśnił. Tej nocy nie położył się, przesiedział ze strzelbą w rękę, czuwał i nasłuchiwał. Ale nie nie dostrzegł, ani usłyszał, a jednakże następnego ranka wielkie „27“ zarysowało się na drzwiach od dworu.

I tak samo działo się dzień za dniem, każdego ranka Ferrier przekonywał się, że ukryci wrogowie je-

go prowadzili ścisły rachunek i zaznaczali w jakimkolwiek miejscu ile dni jeszcze pozostaje mu z owego miesiąca łaski. Niekiedy fatalne cyfry ukazywały się na ścianach, innym razem na podłodze to znów na małych plakatach, przytwierdzonych do kraty ogrodowej.

Pomimo całej czujności, Jan Ferrier nie mógł wykryć z kąd pochodziły te codzienne ostrzeżenia. Zabobonna niemal trwoga ogarniała go na widok cyfr. Schudł, wynędzniał, był nieustannie rozdrażniony, a oczy jego przybrały wyraz bolesny ślepiów ściganej zwierzyny. Jedna tylko pozostała mu nadzieja—przyjazd młodego myśliwego z Nevady.

Dwadzieścia dni zamieniło się na piętnaście, piętnaście na dziesięć, a wiadomości od nieobecnego nie było. Cyfra zmniejszała się stopniowo, a Jefferson wciąż nie dawał znaku życia. Skoro tylko odezwał się tentent kopyt końskich na drodze lub woźnica popędzał, nawołując konie swoje, stary farmer biegł do kraty, ludząc się, że nadeszła nareszcie upragniona pomoc. W końcu, gdy ujrzał, że piątka ustąpiła miejsca czwórce, a ta znów trójce, opuściła go odwaga, stracił wszelką nadzieję ratunku. Sam, nieznający okolicy górzystej dokoła kolonii, był zupełnie bezsilny i zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Drogi najbardziej uczęszczane, były pilnie strzeżone, nikt nie mógł ich przebyć bez pozwolenia Rady Czterech. Gdziekolwiek się zwrócił myślą, Ferrier nie widział sposobu uniknięcia katastrofy, która mu groziła. Niemniej ani chwilę jedną nie zachwiał się w powziętem postanowieniu, — raczej śmierć, niż zezwolić na to, co uważał za hańbę córki.

Pewnego wieczoru siedział pogrążony w myślach, szukając napróżno sposobu wydostania się ze straszego położenia, w jakim się znajdował. Zrana cyfra 2 ukazała się na ścianie jego domu, następnego dnia zatem będzie ostatnim z udzie-

lonej zwłoki. A co stanie się potem? Najrozmaitsze straszne przypuszczenia powstały w jego głowie. Jaki los spotka Lucy, gdy jego już nie stanie. Nie było sposobu ucieczki z niewidzialnej sieci, jaka ich osnuła. Uprzytomniwszy sobie tę niemoc swoją, Ferrier opuścił głowę na piersi i zalkał rozpaczliwie.

Nagle rozległ się szmer jakiś—ciche, lecz wyraźne drapanie zakłócało spokój nocy. Dochodziło od drzwi. Ferrier wysunął się do przedpokoju i nasłuchiwał. Odgłos ucichł na chwilę, poczem odezwał się ponownie. Ktoś widocznie stukał bardzo lekko w jedną z desek drzwi. Byłże to morderca, przybyły o północy, by wykonać krwawy rozkaz tajnego sądu? Lub też wysłaniec, znaczący cyfrą, że nadśmierd ostatni dzień łaski? Jan Ferrier czuł, że śmierć natychmiastowa znośniejsza będzie od niepewności, jaka szarpała jego nerwy i lodem ścinała krew w żyłach. Poskoczył naprzód, odsunął rygiel i otworzył drzwi.

Na dworze panowała cisza i spokój. Noc była pogodna, niebo iskrzyło się gwiazdami. Przed wzrokiem farmera ciągnął się ogródek, okolony płotem i kratą, ale ani wewnątrz tego ogródka, ani też na drodze nie było widać żywej duszy. Odetchnąwszy swobodniej, Ferrier rozglądał się prawo i lewo, aż wreszcie, spojrzawszy na dół przed siebie, oshupiał: u stóp jego leżał wyciągnięty mężczyzna, twarzą ku ziemi.

Widok ten tak przeraził Ferriera, że stary farmer oparł się o ścianę i chwycił za gardło, by stłumić krzyk, który się z niego wydobywał. Na razie myślał, że to jakiś człowiek zraniony lub konający, lecz wnet ujrzał, że postać leżąca zaczęła pełzać po ziemi i z cicha, ze zwinnością węża, wsunęła się do przedpokoju. Tu mężczyzna skoczył na równe nogi, zamknął drzwi, a zdumiony farmer uj-

rzal przed sobą dumne i energiczne oblicze Jeffersona Hepe'a.

— Boże wielki!—wyjąkał Ferrier. — Jakżeś ty mnie przeraził! Ale dlaczego wchodzisz do nas w ten sposób?

— Dajcie mi jeść, — odparł Hope ochryplym głosem.—Przez czterdzieści osiem godzin nie miałem nic w ustach.—Rzucił się na resztki wieszczy, pozostałe na stole i z chęciwością pożerał chleb i zimne mięso.—Co robi Lucy, czy spokojna, zdrowa?— spytał, zaspokoivszy głód.

— Tak, nie wie jakie niebezpieczeństwo nam grozi,—odparł jej ojciec.

— To dobrze. Dom wasz jest strzeżony ze wszystkich stron: dlatego to zakradłem się tu na czworakach. Mogą oni być bardzo przebiegli, ale nie tak dalece, żeby mnie\*podejść.

Jan Ferrier nabral otuchy, z chwilą przybycia tego wiernego sprzymierzeńca. Pochwyił twardą dłoń młodzieńca i uściskał ją serdecznie.

— Można być z ciebie dumnym, — rzekł. — Niewielu ludzi zdecydowałoby się tak powrócić i dzielić cudze troski i niebezpieczeństwa.

— Prawdę mówisz, ojeze,—odparł Jefferson.— Szanuję cię bardzo, ale, gdybyś był sam przyznam, że namyślałbym się dobrze, czy wejść w to gniazdo os. Powróciłem dla Lucy, a zanim jej włos z głowy spadnie, myślę, że będzie jednego Hope'a mniej w Utahu.

— Co pocniemy?

— Jutro upływa ostatni dzień, a jeśli nie przedsięwziemy nic tej nocy, wszystko stracone. Mam mulara i dwa konie, które czekają na nas w Orlim Wąwozie. Ile macie pieniędzy?

— Dwa tysiące dolarów w zlocie, a pięć w banknotach.

— To starczy. Ja mam drugie tyle. Musimy się dostać do Carson City przez góry. Trzeba obu-

dzie Lucy. Dobrze się składa, że służba nie spi w domu.

Ferrier poszedł uprzedzić córkę o podróży, w którą mieli wyruszyć, a Jefferson tymczasem zebrał wszystkie zapasy żywności jakie mógł znaleźć, zrobił z nich paczkę, a następnie nappełnił wodą dzban kamienny; wiedział bowiem z doświadczenia, że źródeł w górach było niewiele, i jedne od drugich bardzo oddalone. Zaledwie zdążył skończyć te przygotowania, wszedł farmer z córką ubraną, gotową do drogi. Powitanie narzeczonych było ezule, lecz krótkie, bo czas naglił, a roboty pozostało niemało.

— Musimy ruszyć w drogę niezwłocznie — rzekł Jefferson głosem cichym, lecz stanowczym jak człowiek, który zdaje sobie sprawę z całej grozy niebezpieczeństwa, lecz opancerzył z góry swe serce.— Wejścia frontowe i tylne są strzeżone, ale przy wielkiej ostrożności, będziemy się mogli wydostać oknem bocznem i uciekać przez pola. Skoro staniemy raz na gościńcu, będziemy mieli dwie tylko mile do wąwozu, gdzie czekają konie, i myślę, że do świtu przebedziemy połowę drogi w górach.

— A jeśli nas pochwyca?— spytał Freuriar.

Hope uderzył dłonią w rękojeść rewolweru za pasem.

— Jeśli ich będzie za dużo na nas dwóch, ze trzech weźmiemy ze sobą napewno na tamten świat, — odparł z ponurym uśmiechem.

Pogasili wszystkie światła w domu, poczem Ferrier patrzył przez chwilę oknem na pola, które były jego własnością, a które teraz miał porzucić nazawsze. Sposobił się jednak oddawna do tej ofiary, a myśl o uratowaniu ezi i szczęścia córki przeciwważyła wszelki żal nad straconem mieniem. Wszystko dokoła tehnęło takim błogim spokojem, począwszy od drzew szemrzących z cicha do rozległych łąków zboża, że trudno było uprzytomnić

sobie, iż śród tego otoczenia czyhał duch zbrodni. Bładość oblicza młodego myśliwca, zasępione czoło jego świadczyły wszelako, że widział po drodze dosyć, by wiedzieć czego się trzymać.

Ferrier niósł worek ze złotem i banknotami, Jefferson Hope prowianty i wodę, a Lucy małą paczkę, zawierającą to, co posiadała cenniejszego. Otworzywszy powoli i z wielką ostrożnością okno, czekali dopóki wielka chmura nie zaciemniła nieba i wówczas, jedno po drugim, wyszli do ogrodu. Z zapartym oddechem, czołgając się i potykając, dotarli do płotu i pod jego osłoną dążyli dalej do otworu, wychodzącego na pole. Byli już prawie u celu, gdy Jefferson schwycił gwałtownie obu towarzyszków i cofnął ich w cień, na ziemię, gdzie legli drżący bez ruchu.

Wychowany w preryi, Jefferson Hope zawdzięczał koczącemu życiu, jakie prowadził, słuch niesłychanie zaostrzony. Zaledwie położył się wraz z towarzyszami pod płotem, gdy odezwał się przeraźliwy krzyk puszczyka, na który odpowiedział niezwłocznie, z niedalekiej odległości taki sam odgłos. W tej samej chwili ukazała się w otworze, do którego dążyli ciemna postać i powtórzył ów krzyk jęikliwy, poczem wysunął się z cieniów nocy drugi mężczyzna.

— Jutro o północy,—rzekł pierwszy, wódz, jak się zdawało, — gdy puszczyk odezwie się trzykrotnie.

— Dobrze,—odparł tamten.—Czy mam uprzedzić brata Drebbera?

— Uprzedź go, i innych również. Dziewięć do siedmiu.

— Siedem do pięciu!—i obie postacie odeszły w przeciwnych kierunkach.

Ostatnie wyrazy były widocznie ich hasłem. Skoro tylko odgłos ich kroków ucichł w oddaleniu Jefferson Hope zerwał się na równe nogi, dopo-

mógł towarzyszom do przejścia przez otwór i wyprowadził ich w pole, nagłąc do pośpiechu, podtrzymując nawpół omdlałą dziewczynę, gdyż upadała na siłach.

— Prędej! prędej! — szeptał od czasu do czasu.— Jesteśmy na linii warty. Wszystko zależy od pośpiechu. Prędej!

Skoro wydostali się na gościniec, droga była łatwiejsza, więc szli szybciej. Raz jeden tylko spotkali jakiegoś człowieka, lecz zdążyli zejść w bok i ukryć się w polu zanim zostali poznani. Pod miastem, Jefferson skręcił i wszedł na wąską, urwistą ścieżkę, wiodącą w góry. Dwa czarne zębate szczyty zarysowały się wśród ciemności, a między nimi ciągnął się ów Orli Wąwóz w którym czekały konie. Wiedziony nieomylnym instynktem, Jefferson Hope odnajdywał ścieżkę wśród głazów i wzdłuż wyschniętego koryta potoku, aż wreszcie dotarł do ukrytego zakątka, gdzie, pod osłoną wielkiej skały, stały, przywiązane, wierne zwierzęta. Lucy dosiadła muła, stary Ferrier z workiem pieniędzy wsiadł na jednego konia, Jefferson Hope zaś prowadził drugiego niebezpieczną ścieżką nad brzegiem przepaści.

Dokoła roztaczał się krajobraz przerażający dla każdego, kto nie był przyzwyczajany widywać przyrody w tej dzikiej, pełnej grozy szacie, w jaką przyobleka się niekiedy. Z jednej strony olbrzymia skała, czarna, ponura, groźna, wznosząca się na przeszło tysiąc stóp wysokości, o powierzchni, poprzecinanej długimi słupami bazaltowemi, które nadawały jej pozór jakiegoś skamieniałego potwora, z wystającymi zębami. Z drugiej strony stopy odłamków skał i głazów zaścielały wąwóz, a w pośrodku wila się ścieżka miejscami taka wąska, żejechać nią mogła zaledwie jedna osoba, a taka urwista, że tylko doświadczony jeździec mógł się na przebycie jej odważyć.



Wszelako, mimo niebezpieczeństw i przeszkód, podróżni czuli ulgę w sercu, gdyż każdy krok powiększał odległość między nimi a strasliwym despotyzmem, przed którym uciekali.

Niebawem wszakże przekonali się, że byli jeszcze w obrębie władzy Świętych. Wjechali właśnie w najdzikszą i najtrudniejszą do przebycia część wąwozu, gdy Lucy wydała okrzyk przerażenia i wskazała ręką w górę. Na skale, która wznosiła się nad ścieżką i odcinała ostro na tle nieba, stał samotny człowiek, sprawujący wartę. On dostrzegł ich również i wojskowe wezwanie:—„Kto idzie?”—przerwało ciszę, panującą w wąwozie.

— Podróźni, dążący do Newady—odparł Jefferson Hope i przyłożył rękę do strzelby, zawieszanej u siodła.

Dostrzegli, że tamten odwiódł kurek od karabinu i spojrzął w dół, jakgdyby niezadowolony z odpowiedzi.

— Za czyjem pozwoleniem?—spytał:

— Czterech Świętych—odparł Ferrier.

Znał o tyle zwyczaje Mormonów, iż wiedział, że jest to najwyższa władza, na jaką mógł się powołać.

— Dziewięć do siedmiu—krzyknęła warta.

— Siedem do pięciu — odparł Jefferson Hope śpiesznie, przypominając sobie hasło, zasłyszane w ogrodzie.

— Przejdźcie i niechaj Pan czuwa nad wami—odparł głos z góry.

Odtąd już droga była szersza, tak, że konie mogły iść klusem. Odwróciwszy się, Jefferson i Ferrier ujrzeli, że samotny człowiek stał oparty o strzelbę, a postać ta wskazywała im, iż minęli granicę siedziby narodu wybranego, i zaświtała przed nimi jutrzeńka.

## ROZDZIAŁ V.

## Aniołowie mściciele.

Przez całą noc dążyli wśród spadzistych wąwozów, po ścieżkach zasłanych odłamkami skał. Niejednokrotnie zmylili drogę, lecz dokładna znajomość gór Hope'a pozwoliła mu zawsze odnaleźć znów szlak właściwy.

O świcie ukazał się ich oczom krajobraz niebywale wspaniały w swej grozie. Ze wszystkich stron dokoła wznosiły się amfiteatralnie pokryte śniegiem szczyty. Po obu stronach drogi zalegały skały, takie strome i śpiczaste, iż zdawało się, że sosny i modrzewie na ich szczytach wyrosłe, są tylko zawieszzone i za lada silniejszym powiewem wiatru runą na głowy wędrowców. Obawa ta zresztą nie była zupełnie bezzasadna, gdyż kotlinę zasłaniały drzewa i odłamy skał, które stopniowo spadały z góry. Nawet w chwili, gdy przejeżdżali, wielki głaz runął z wysokości z głuchym łoskotem, który rozległ się grzmieciem echem wśród ciszy wąwozów i tak przeraził konie, że, mimo wyczerpania, puściły się galopem.

Gdy słońce zaczęło się ukazywać, na zachodnim widnokregu szczyty olbrzymich gór zapalały się jeden po drugim, niby światła na jakiejś uroczystości, aż wreszcie zapłonęły wszystkie purpurowym blaskiem. Przepyszny, nieporównany widok dodał otuchy trojgu zbiegom i nową energią zasilił ich dusze. Nad brzegiem wartkiego potoku, który wypływał z wąskiej szczeliny w skałach, zatrzymali się, napoili konie i sami pokrzepili się, zjadłszy śpiesznie śniadanie. Lucy i jej ojciec byłiby odpoczywali nieco dłużej, lecz Jefferson Hope był nieublagany.

— Ścigają nas już pewnie w tej chwili—rzekł.—

Wszystko zależy od naszego pośpiechu. Skoro tylko dostaniemy się raz do Carsonu, możemy odpocząć przez resztę życia.

Przez cały dzień jechali uciążliwą drogą wśród skał i wąwozów, a nad wieczorem obliczyli, że byli o jakie trzydzieści mil oddaleni od swoich wrogów. Gdy noc zapadła, odszukali zagłębienia między skałami, gdzie jako tako zabezpieczeni, od przejmującego chłodem wiatru, przytuleni jedno do drugiego, przesпали kilka godzin. Przed świtem wszakże byli na nogach i ruszyli w dalszą drogę.

Dotychczas prześladowcy ich nie dawali znaku życia i Jefferson Hope zaczął przypuszczać, że znajdują się nareszcie po za obrębem władzy straszego związku, którego gniew ściągnęli na siebie. Nie wiedział jeszcze, jak daleko sięgały żelazne szpony związku tego, jak mogły niebawem pochwycić ich i zmiążdżyć.

Okolo południa drugiego dnia ich ucieczki, szczupłe zapasy żywności zaczęły się wyczerpywać. Hope nie zaniepokoił się tem wszelako, gdyż wiedział, że w górach jest zwierzyna, a niejednokrotnie już w życiu liczył jedynie na strzelbę swoją, by się wyżywić. Wybrawszy osłonięty zakątek, przyniósł trochę suchych gałęzi i rozpałił ogień, przy którym towarzysze jego mogliby się ogrzewać, byli bowiem blisko pięć tysięcy stóp nad poziomem morza, a ostre, lodowate powietrze dokuczalo dotkliwie. Związawszy konie i zarzuciwszy strzelbę na ramię, Jefferson pożegnał Lucy i wyruszył na poszukiwanie zwierzyny. Po chwili obejrzał się i widział, jak starzec i młoda dziewczyna siedzą skuleni przy płonącym ogniu, a troje zwierząt stoi, bez ruchu, za nimi. Niebawem wszelako wystająca skała ukryła ich przed jego wzrokiem.

Przez jakie dwie mile szedł z wąwozu do wąwozu, nie spotykając żadnej zwierzyny, jakkolwiek ze znaków na korze drzew, oraz ze śladów, jakie

dostrzegał na ziemi, wnosił, że niedźwiedzie były liczne w tych stronach. Nareszcie, po trzygodzinnym daremnym szukaniu, zamierzał już zrozpaczony wrócić z niczem, gdy nagle, spojrzawszy w górę, zadrzał z radości.

Na krawędzi wystającej skały, o kilkaset stóp po nad nim, stało zwierzę z olbrzymimi rogami. Ten mufion (gatunek barana) był prawdopodobnie stróżem trzody, niewidzialnej jeszcze dla oczu myśliwego; na szczęście zwrócił lew w przeciwną stronę i nie dostrzegł go. Położywszy się na ziemi, Jefferson Hope oparł kolbę strzelby o głaz i celował dobrze i długo, zanim spuścił kurek. Zwierzę rzuciło się w górę rozpaczliwym skokiem, zatoczyło się na krawędzi skały i runęło całym swym ciężarem w głąb doliny.

Zwierzyna była taka wielka, że zabrać jej całej nie mógł! zadowolił się przeto odcięciem jednego uda i części boku, a, zarzućwszy zdobyć na ramię zabrał się śpiesznie do odwrotu, gdyż wieczór zaczął zapadać. Zaledwie wszakże ruszył w drogę, przekonał się, że czekała go nowa a niespodziewana trudność do zwalczania. W pogoni za zwierzyną minął znaną sobie część tej okolicy, a nie łatwą rzeczą było odnaleźć ścieżkę, którą przyszedł.

Dolina, w której się znajdował, poprzecinana była w rozmaitych kierunkach licznymi wąwozami, tak do siebie podobnymi, że niepodobna było ich odróżnić. Jefferson zagłębił się tedy w jeden z nich a gdy uszedł z milę lub więcej, napotkał potok górski, którego z pewnością poprzednio nie widział. Przekonawszy się, że zmylił drogę, wszedł w inny wąwóz, lecz z tym samym skutkiem. Noc zapadła szybko i było już zupełnie ciemno, gdy nareszcie znalazł się w wąwozie, który mu się wydał znanym.

Ale i wówczas nawet nie łatwo było utrzymać się na właściwej drodze, albowiem księżyc jeszcze nie wzeszedł, a wysokie skały po obu stronach po-

większały panującą dokoła ciemność. Uginając się pod ciężarem, który dźwigał, wyczerpany zmęczeniem, Jefferson potykał się za każdym niemal krokiem: podtrzymywał w sereu otuchę jedynie myślą, że każdy krok taki zbliżał go do Lucy i że niósł ze sobą zapas żywności, który mu starczy do końca podróży.

Nareszcie stanął u wejścia do wąwozu, gdzie ich pozostawił. Nawet wśród ciemności poznawał wyraźnie zarysy skał, które go otaczały. Ferrier i Lucy czekają niezawodnie z niepokojem na niego—myślał—albowiem nieobecność jego trwała prawie pięć godzin. Spodziewając się bliskiego spotkania, przyłożył dłonie do ust i huknął z całych sił radosne nawoływanie, jako sygnał, że nadechodzi. Gdy umilkł, czekał przez chwilę na odpowiedź. Nie jednak nie przerywało panującej dokoła ciszy, prócz jego własnego krzyku, który zatoczył się nieskończonym echem po samotnych wąwozach. Więć huknął raz drugi, silniej jeszcze i znów wiatr nie przyniósł mu żadnej odpowiedzi od przyjaciół, których opuścił przed kilku godzinami. Zdjął go lęk straszny, nieokreślony; popędził naprzód, jak szalony, gubiąc po drodze cenną żywność.

Gdy minął zakręt skały ujrzał przed sobą miejsce, gdzie był rozpałił ogień. Stos popiołu tlił się jeszcze, lecz widocznie od chwili odejścia Jeffersona nikt ognia nie podtrzymywał.

Grobowa cisza panowała dokoła. Obawy Jeffersona zmieniły się w pewność — poskoczył naprzód. W pobliżu dogasającego ogniska nie było żywej istoty: mężczyzna, dziewczyna, zwierzęta wszyscy znikli. Teraz już stało mu się oczywiste, że jakaś straszna i nagła katastrofa zdarzyła się podczas jego nieobecności — katastrofa, która ich pochłonęła i nie zostawiła żadnego śladu.

Oszołomiony tym nagłym ciosem, Jefferson czuł zawrót głowy i musiał się oprzeć na strzel-

bie, by nie upaść. Wszelako był on przedewszystkiem człowiekiem czynu i wnet odzyskał przytomność umysłu. Schwyciwszy tłącą się jeszcze gałęź, rozdmuchał ogień tak, że zajaśniała płomieniem i przy tem świetle rozglądał się bacznie dokoła. Ziemia była stratowana kopytami końskimi, co dowodziło, że liczny oddział jeźdźców dogonił zbiegów, a kierunek końskich śladów wskazywał, że następnie powrócili do Salt Lake City.

Czy zabrali ze sobą jego towarzyszków? Jefferson Hope zaczął już przypuszczać, że tak się stało, gdy nagle wzrok jego padł na przedmiot, na którego widok poczał drżeć na całym ciele. Nieopodal w bok wznosił się niewielki nasyp czerwonej ziemi, którego poprzednio tam nie widział. Pomyłka była tu niemożliwa—to świeżo wykopany grób.

Zbliżywszy się, Jefferson ujrzał kawałek papieru w szczelinie zatkniętego w ziemię kija, a na tym papierze napis krótki, ale, niestety, nazbyt wymowny:

JAN FERRIER.

Obywatel Salt Lake City.

Zmarł d. 4 sierpnia 1860.

Czerstwy starzec, którego opuścił przed kilku godzinami zaledwie, przestał istnieć i pozostał po nim jedynie ten napis grobowy. Jefferson Hope spojrział dokoła błędnym wzrokiem, szukając drugiego grobu, lecz go nie znalazł. Lucy została zatem zabrana przez swych strasznych prześladowców, aby spełnić przeznaczenie początkowe i powiększyć harem syna jednego ze Starszych. Gdy Jefferson uprzytomnił sobie całą groźbę losu ukochanej i własną wobec tego bezsilność, zaczął gorzko żałować, że nie dzieli ze starym farmerem cichego miejsca wiecznego spoczynku.

Niebawem jednak, pod wpływem wrodzonej energii, otrząsnął się ponownie z pognębnienia, wywołanego rozpaczą. Jeśli wszystko utracił, miał

przynajmniej możność poświęcenia życia swego zemście. Z niesłychaną cierpliwością, z wytrwałością nieporównaną, łączył Jefferson Hope uczucie nienawiści i mściwości takie potężne, że nie powstydziliby go się Indianie, wśród których żył tak długo. Stojąc nad opuszczonym ogniskiem, uczył, że jedyną rzeczą mogła ból jego złagodzić: odwet, straszliwy, krwawy odwet na wrogach. Poprzysiągł sobie, że odtąd ten jeden cel będzie miał w życiu i jemu poświęci całą siłę woli, całą niewyczerpaną energię swoją. Błady śmiertelnie, z wyrazem zaciętego bólu na twarzy, powrócił tam, gdzie upuścił swą zdobycz i, roznieciwszy znów ogień, upiekł tyle mięsa, żeby mu starczyło na kilka dni. Poczem zawinął je i nie bacząc na znużenie, wyruszył w powrotną drogę wśród gór, idąc śladami tych, którzy nadali sobie nazwę aniołów mścicieli.

Pięć dni włókł się, wyczerpany, z pokrwawionymi stopami, przez wąwozy, które już poprzednio przebył konno. Nocą padał gdziekolwiek, pod skałą i spał przez kilka godzin, lecz o świcie był już zawsze na nogach. Szóstego dnia dotarł do Orlego Wąwozu, który był pierwszą stacją ich ucieczki, tak strasznie zakończonej i ztamtąd mógł już widzieć siedzibę Świętych:

Spojrząwszy uważniej w tę stronę zauważył, że na niektórych główniejszych ulicach powiewały flagi, odróżnił też inne oznaki uroczystości. Zapytywał siebie w duchu, co by to miało znaczyć, gdy naraz usłyszał odgłos kopyt końskich i ujrzał zbliżającego się ku niemu jeźdźca. Niebawem poznał w nim Mormona, nazwiskiem Cowper, któremu niejednokrotnie oddawał różne przysługi. Zaczepił go tedy, gdy podjechał, chciał bowiem przedewszystkiem dowiedzieć się, jaki los spotkał Lucy Ferrier.

— Jestem Jefferson Hope—rzekł.—Pamiętacie mnie, co?

Mormon przyglądał mu się z nieukrywanem

zdumieniem — istotnie, trudno było w odzianym w lachmany wędrowcu, z rozwiechrzonym włosiem, śmiertelnie bladą twarzą i dzikim wyrazem roziskrzonych oczu, poznać dawnego eleganckiego myśliwego. Gdy jednak poznał go w końcu, zdumienie Mormona zamieniło się w osłupienie.

— Jak możecie pokazywać się tutaj? Czyście oszaleli?—zawołał. — Niech mnie zobaczą rozmawiającego z wami, a mogę to opłacić życiem. Wszak Czterej Święci wydali na was wyrok za dopomaganie do ucieczki Ferrierom.

— Nie obawiam się ani ich, ani ich wyroku—odparł Hope poważnie.—Słuchajcie, Cowper, musicie wiedzieć co się tu stało. Zaklinam was na wszystko, co wam jest drogie, odpowiedźcie mi na kilka pytań. Wszak byliśmy zawsze przyjaciółmi. Na miłość Boską, nie odmawiajcie mi odpowiedzi!

— Cóż chcecie wiedzieć?—spytał Mormon zaniepokojony. — Śpieszcie się. Nawet skały mają uszy, a drzewa oczy.

— Co się stało z Lucy Ferrier?

— Wczoraj zaślubiona została młodemu Dreberowi... No, odwagi, odwagi, człowieku; zdawałoby się, że życie z was ucieka!

— Mniejsza o to—odparł Hope słabym głosem.

Pobladł jak chusta, zachwiał się na nogach i upadł na głaz, o który się opierał.

— Mówicie, że już poszła za mąż?

— Tak, wczoraj... z tego to powodu właśnie powiewają te flagi na gmachu ratuszowym. Między młodym Dreberem a młodą Stangersonem zaszła kłótnia o to, który ma ją dostać. Obaj należeli do oddziału, który ich ścigał, a Stangerson zabił ojca, co, jak mniemał, nada mu większe prawa; ale gdy sprawa przyszała pod rozprawę wielkiej rady, większość oświadczyła się za Dreberem i Prorok jemu dał dziewczynę. Nikt wszakże nie będzie jej miał długo, bo widziałem wczoraj piętno śmierci na jej



twarży. Podobna jest raczej do widma, niż do kobiety. No, a teraz pójdziecie ztąd?

— Tak, pójdę—odparł Jefferson Hope, wstając.

Twarz miał surową, nieruchomą, jak wykutą z marmuru, oczy świeciły w niej złowrogim blaskiem.

— Dokąd idziecie?

— Mniejsza o to—odpowiedział i zarzuciwszy broń na ramię, zeszedł ze stoku i zniknął wśród gór, w głębokich wąwozach, gdzie tylko dzikie zwierzęta miały swe legowiska. A w danej chwili żadne z nich nie było okrutniejsze i niebezpieczniejsze od niego samego.

Przepowiednia Mormona spełniła się nazbyt szybko. Złamana okropną śmiercią ojca, czy też skutkami nienawistnego małżeństwa, biedna Lucy nikała w oczach i w miesiąc później umarła. Mąż, który poślubił ją dla majątku Ferriera, nie okazywał bynajmniej żalu po jej utracie; lecz inne żony jego opłakiwały ją szczerze i stosownie do zwyczaju mormońskiego, czuwały przy niej przez noc całą w wigilię pogrzebu.

Siedziały wszystkie dokoła jej trumny, gdy nagle, o świcie, ku niewypowiedzianemu ich zdumieniu i przerażeniu, drzwi otworzyły się z trzaskiem a do pokoju wpadł mężczyzna o dzikim wyrazie twarzy, wynędzniały, w zakurzonem, podartem ubraniu. Nie spojrzawszy na wylekłe kobiety, ani przemówiwszy do nich słowa, podszedł do białej, martwej postaci, z której uleciała czysta dusza Lucy Ferrier. Pochylił się nad nią, przycisnął ze złości usta do jej zimnego czoła, poczem, pochwyciwszy jej dłoń, ściągnął z palca obrączkę.

— Nie zabierze tego przynajmniej do grobu!— ryknął wściekłym głosem i, zanim kobiety zdążyły zawołać o pomoc, zbiegł ze schodów i zniknął.

Wszystko to stało się tak szybko, w sposób taki nieprawdopodobny, że świadkowie zajścia mo-

gliby je uważać za wytwór wyobraźni, gdyby nie brak złotej obrączki na palcu zmarłej.

Przez kilka miesięcy Jerzy Jefferson Hope tułał się wśród gór, prowadząc życie dzikiego człowieka i żywiąc w sercu namiętne pragnienie zemsty, które go pochłonęło całkowicie. W miesiące zaczęły obiegać niebawem szczególne pogłoski o postaci, która, jak duch, ukazywała się na przedmieściach, to znów błąkała się w samotnych wąwozach górskich. Pewnego dnia kula wpadła przez okno do Stangersona, świsnęła mu koło ucha i spłoszyła się, uderzając w ścianę, o kilka kroków od niego. Innym znów razem, gdy Drebbler przechodził pod skałą, wielki głaz oderwał się i stoczył w przepaść; byłby go położył trupem, gdyby nie to, że młody Mormon miał tyle przytomności umysłu, iż skoczył w bok i padł na plackiem na ziemię.

Zarówno Stangerson jak i Drebbler wykryli niebawem przyczynę i sprawcę zamachów na ich życie i urządzili kilka wypraw w góry, w nadziei, że schwycą lub zabiją tego wroga, lecz usiłowania ich były daremne. Wówczas postanowili nie wychodzić nigdy bez towarzysza lub po zachodzie słońca i otoczyli strażą swe domy. Po pewnym czasie nie przestęgaliby już tak pilnie tych środków ostrożności, albowiem nieprzyjacieli ich nie dawał znaku życia; spodziewali się zatem, że czas ukołił jego pragnienie zemsty.

Tymczasem, wprost przeciwnie, trawiąca Hope'a żądza wzmogła się jeszcze. Miał on naturę twardą, nieugiętą, a górująca nad wszystkim chęć zemsty tak dalece nim oświadczyła, że zagłuszała wszelkie inne uczucia. Wszelako był on też obdarzony niepospolitą mądrością praktyczną. Niebawem tedy uświadomił sobie, że nawet jego żelazny organizm nie wytrzyma długo nieustających wysiłków, na jakie ją narażał. To życie pełne niebezpieczeństw, brak pożywnej strawy wyczerpywały jego siły. Je-

śli umrze, jak pies, wśród gór, co się stanie z zamierzoną zemstą? A jednak tylko taki czekał go koniec przy tym trybie życia. Zrozumiał, że działając w ten sposób na korzyść swoich wrogów i niechętnie wprawdzie, powrócił do kopalni w Newadzie, celem odzyskania zdrowia i zebrania takiego funduszu, któryby mu pozwolił dążyć do celu, bez wystawiania się na takie trudy i niewygody.

Zamierzał przebyć w kopalniach rok najwyżej, lecz nieprzewidziane okoliczności tak się złożyły, że musiał pozostać przez lat blisko pięć. Pomimo jednak tak długiego czasu odczuwał swe krzywdy i łaknął zemsty z taką samą siłą, jak owej pamiętnej nocy, kiedy stał nad grobem Jana Ferriera.

Przebrany, pod zmienionem nazwiskiem, powrócił do Salt Lake City, nie dbając, że naraża życie, byleby tylko zdołał wymierzyć sprawiedliwość. W mieście czekały nań złe nowiny. Kilka miesięcy temu powstała schyzma wśród wybranego narodu, kilku młodszych członków kościoła zbuntowało się przeciw władzy starszyny, skutkiem czego nastąpiło oderwanie się grona niezadowolonych, którzy opuścili Utah i wyparli się wiary Mormonów. Między nimi byli też Drebber i Stangerson, a nikt nie wiedział, dokąd się udali. Obiegały wieści, że Drebber zdołał spieniężyć znaczną część swego majątku i wyjechał jako człowiek zamożny, gdy natomiast towarzysz jego, Stangerson, był stosunkowo ubogi. Nikt wszakże nie posiadał najłżejszej wskazówki, gdzie przebywali.

Niejeden człowiek, pomimo żądzy zemsty, byłby wobec takich trudności porzucił myśl odwetu. Jefferson Hope wszelako nie zachwiał się ani na chwilę w powziętem postanowieniu. Z niewielkim funduszem, jaki posiadał, wędrował z miasta do miasta po Stanach Zjednoczonych, szukając śladu swoich wrogów, zasilając materialne środki swoje pracą, gdzie tylko ją mógł znaleźć. Mijał rok za ro-

kiem, kručze włosy Hope'a przyprószyła siwizna, a on ciągle jeszcze wędrował i tropił, jak zażarty pies gończy, wyczerpując wszystkie wysiłki woli dla osiągnięcia celu, któremu poświęcił życie.

W końcu wytrwałość jego została wynagrodzona. Pewnego dnia spostrzegł zarysy twarzy na szybie, a to jedno spojrzenie przekonało go, że ci, których ściagał, znajdują się w Clevelandzie w Ohio. Powrócił do swej nędznej izby, mając plan zemsty gotowy. Zdarzyło się wszakże, iż Drebbler, wyglądając przez okno, poznał również włóczkę ulicznego, a w jego oczach wyczytał wyrok śmierci. Udał się tedy do sędziego pokoju, w towarzystwie Stangerona, który został jego sekretarzem prywatnym i oznajmił, że życiu ich grozi niebezpieczeństwo, skutkiem zazdrości i nienawiści dawnego rywala.

Tego wieczora osadzono Jeffersona Hope'a w areszcie, a ponieważ nie mógł znaleźć żadnego poręczyciela, siedział przez kilka tygodni. Gdy go nareszcie wypuszczono, przekonał się, że dom Drebblera był pusty, a on sam, wraz z sekretarzem, wyjechali do Europy.

Mściciel ponownie doznał porażki, lecz moc jego nienawiści była zbyt silna, by miał zaniechać pościgu. Fundusze jego wszakże wyczerpały się, zabrał się zatem znów do pracy i oszczędzał każdego dolara na zamierzoną podróż. Zebrawszy wreszcie tyle, żeby nie umrzeć z głodu, wyruszył do Europy i ściagał swych wrogów z miasta do miasta, zarabiając w najrozmaitszy sposób na utrzymanie, lecz nie mogąc ich nigdzie schwytać.

Gdy przybył do Petersburga, oni wyjechali do Paryża, a gdy tam udał się za nimi, dowiedział się, że tylko co wyruszyli do Kopenhagi. Do stolicy Danii przybył znów o parę dni zapóźno, gdyż odpłynęli do Londynu, gdzie nareszcie zdołał zemstę swą wykonać. Jak się to zaś stało, dowiemy się najlepiej z opowieści starego myśliwego, spisanej

w dzienniku d-ra Watsona, któremu już tyle zawdzięczamy.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### Ciąg dalszy wspomnień doktora Jana Watsona Majora.

---

Rozpaczliwy opór naszego jeńca nie był bynajmniej objawem wrogiego usposobienia dla nas, gdyż skoro został nareszcie obezwładniony, uśmiechnął się najuprzejmiej w świecie i wyraził nadzieję, że w walce, jaką z nim stoczyliśmy, nie zrobił żadnemu z nas krzywdy.

— Domyślam się, że pan zamierza zawieźć mnie do biura policyjnego—zwrócił się do Sherlocka Holmesa.— Dorożka moja stoi przed bramą. Jeśli pan rozwiąże mi trochę nogi, zejść sam; bo nieś mnie będzie trudno, nie jestem już taki lekki, jak za młodych lat.

Gregson i Lestrade zamienili spojrzenia, jak gdyby chcąc zaznaczyć zdumienie swoje nad taką zuchwałą propozycją. Holmes wszelako, biorąc jeńca naszego za słowo, rozwiązał ręcznik, którym związaliśmy mu stopy. Jefferson Hope wstał i wyciągnął nogi, jak gdyby chciał się upewnić, że nie są już spętane. Pamiętam, iż przyglądając mu się, pomyślałem sobie, że mało widziałem ludzi równie silnie, jak on, zbudowanych; a na jego ciemnej, ogorzalej twarzy malował się wyraz stanowczości i energii, która potęgą swoją imponowała niemniej od jego siły osobistej.

— Jeśli miejsce naczelnika policyi jest wolne— rzekł, patrząc na Holmesa z nieukrywanym podziwem — pan powinien je otrzymać bezwarunkowo.—

Sposób, w jaki pan mnie śledził, jest najlepszym świadectwem pańskich zdolności.

— Pójdziecie ze mną, sądzę—rzekł Holmes do obu policyantów.

— Mogę panów zawieźć—rzekł Lestrade.

— Dobrze! A Gregson wsiądzie razem ze mną. I ty, doktorze, także. Skoro brałeś taki żywy udział w tej sprawie, nie opuścisz nas teraz, sądzę.

Przystąpiłem na to chętnie i zeszliśmy wszyscy razem. Więzień nasz ani myślał o ucieczce, wsiadł spokojnie do dorożki, która była jego własnością, a my za nim. Lestrade wsiadł na kozioł, zaciął konia i niebawem stanęliśmy u celu. Wprowadzono nas do małego pokoju, gdzie inspektor policyi zapisał naszego więźnia i tych, o których zamordowanie był oskarżony. Urzędnik, czlowiek o bladej nieruchomej twarzy, spełniał obowiązki swoje objętnie, machinalnie.

— Zaaręsztowany stanie przed sądem w ciągu tego tygodnia—rzekł;—a tymczasem czy ma pan co do powiedzenia, panie Jefferson Hope? Winicnem pana ostrzedz, że słowa pańskie będą spisane i że następnie mogą być zużytkowane przeciw panu.

— Mam bardzo dużo do powiedzenia — odparł Hope wolno. — Chciałbym panu opowiedzieć wszystko.

— Czy nie lepiej zachować to, jak pan stanie przed sądem?— spytał inspektor.

— Kto wie, czy ja tam kiedy przed sądem stanę—odparł Hope.—Niech się panowie nie niepokoją. Nie myślę bynajmniej o samobójstwie. Czy pan jest doktorem?—dodał, zwracając na mnie ciemne, przenikliwe oczy.

— Tak jest—odparłem.

— No, to niech pan przyłoży rękę tutaj;— rzekł, uśmiechając się i podnosząc skutą dłoń do piersi.

Uczynilem jak chcia! i wnet odczu!em gwałtowne bicie serca i zaburzenia wewnętrzne. Zdawa!o się, że ca!a klatka piersiowa drży i chwieje się, jak wą!y budynek, w którego wnętrzu porusza się potężna machina. Śród ciszy, panującej w pokoju, mog!em dosłyszeć głuchy szmer i świst, pochodzący z tego samego źród!a.

— Ależ — zawo!a!em — pan masz aneuryzm aorty!

— Tak mi to nazwali—odpar! obojętnie. By!em u doktora w zesz!ym tygodniu, żeby się poradzi! i powiedzia! mi, że aorta pęknie lada dzień.— Przez tyle lat z ka!dym rokiem jest gorzej. To skutek nadmiernego znużenia i marnego odżywiania się w górach S!onego Jeziora. Ale teraz, skoro spełni!em swoje zadanie, wszystko mi jedno kiedy umrę. Chcia!bym tylko opowiedzieć swoj! historię, bo mi zależy na tem, żeby nie pozostawiać wspomnienia popolitego mordercy.

Inspektor i dwaj policyancyi odbyli śpieszn! naradę nad tem, czy należy zadośćuczynić żądaniu areштanta.

— Jak doktor uważa, czy temu człowiekowi grozi niebezpieczeństwo bezpośrednie? — spyta! inspektor.

— Niewątpliwie — odpar!em.

— W takim razie obowiązkiem naszym jest, w interesie sprawiedliwości, wys!uchać jego zeznania—rzek! inspektor. —Proszę, niech pan mówi, ale ostrzegam pana ponownie, że ka!de słowo pańskie będzie zapisane.

— Usiadę, jeśli pan pozwoli—rzek! areштant, zamieniając słowa w czyn.—Męcę się prędko skutkiem tego aneuryzmu, a walka, jak! z panami stoczy!em przed godzin!!, nie poprawi!a bynajmniej mego stanu. Stoję nad grobem, więc możecie panowie być pewni, że k!amać nie będę. Ka!de słowo, które powiem, będzie szczer! prawd!, a jaki pa-

nowie zrobią z tego użytek, to mi już wszystko jedno.

To mówiąc, Jefferson Hope oparł się o poręcz krzesła i zaczął następujące opowiadanie. Mówił tonem spokojnym, obojętnym, jakgdyby niezwykle przygody były najpospolitszemi w świecie. Mogę zaręczyć za dokładność poniższego sprawozdania, gdyż zaczerpnałem szczegóły z notatnika Lestrada, który skrzętnie notował słowa areszta.

„Przyczyny mojej nienawiści dla tych dwóch ludzi mało panów obchodzą” — zaczął; — „powiem tylko, że spowodowali zgon dwojga ludzi — ojca i córki — i że skutkiem tego sami na śmierć zasłużyli. Tyle czasu wszakże upłynęło od chwili ich zbrodni, że niepodobna mi było szukać w jakimkolwiek sądzie wymiaru sprawiedliwości na nich. Ponieważ zaś dla mnie wina ich nie ulegała wątpliwości, przeto postanowiłem, że sam będę ich sędzią i katem. Panowie uczynilibyście tak samo, gdybyście byli na mojem miejscu.

„Młoda dziewczyna o której wspominałem, miała wyjść za mnie przed laty dwudziestu. Zmuszona do zaślubienia tego właśnie Drebbbera, umarła z żalu i rozpacz. Z martwego jej palca zdjąłem obrączkę ślubną i poprzysięgłem, że dogasające oczy Drebbbera spocznią na niej, a ostatnią myślą jego będą zbrodnia, za którą został ukarany. Nie rozstawałem się z obrączką i ściagałem jego wraz z jego towarzyszem na obu półkulach, dopóki ich nie schwytałem. Myśleli, że mnie znużą i zniechęcą, ale omylili się. Jeśli umrę jutro, co jest bardzo możliwe, to przynajmniej zejść z tego świata z przeświadczeniem, że spełniłem swoje zadanie i spełniłem dobrze. Zginęli obaj i to z mojej ręki. Teraz już niczego nie pragnę, niczego się nie spodziewam.

„Oni byli bogaci, a ja byłem ubogi, tak, że ściganie ich nie łatwo mi przyszło. Gdy przyjecha-



łem do Londynu, kasa moja była prawie pusta, tak, że musiałem poszukać sobie jakiego zajęcia, żeby mieć z czego żyć. Powozić, jeździć konno było dla mnie rzeczą taką naturalną, jak chodzić; zgłosiłem się tedy do biura pewnego właściciela dorożek i niebawem dostałem u niego miejsce. Miałem obowiązek przynosić co tydzień pryncypałowi pewną sumę, a to, co zarobiłem więcej, mogłem zachować dla siebie. Rzadko kiedy wszakże zdarzyło się, żebym miał przewyżkę, ale jakoś radziłem sobie. Najtrudniejszym zadaniem dla mnie było orientowanie się w mieście, bo ze wszystkich labiryntów na świecie Londyn jest chyba najzawilszy. Miałem wszakże zawsze przy sobie plan ulic, a skoro tylko zapamiętałem położenie głównych hoteli i dworców, już sobie jakoś dawałem radę.

„Upłynął czas jakiś, zanim odszukałem mieszkanie moich dwóch panów; ale pytałem się i dowadywałem, dopóki w końcu ich nie odnalazłem. Mieszkali w pensjonacie w Camberwell, z tamtej strony rzeki. Z chwilą, gdy wiedziałem, gdzie ich mogę schwytać, byli na mojej łasce. Zapuściłem brodę, tak, że poznaćby mnie nie mogli. Postanowiłem śledzić ich i szpiegować i czekać na odpowiednią sposobność. Poprzysiągłem sobie, że tym razem już mi nie ujdą.

„A jednak, pomimo to wszystko, o mało co mi się nie wymknęli. Gdziekolwiek się ruszyli, dążyłem za nimi. Niekiedy ścigałem ich dorożką, niekiedy pieszo, ale pierwszy system był lepszy, bo wówczas miałem pewność, że ich nie stracę z oczu. Weczesnym rankiem tylko, lub późnym wieczorem mogłem zarobić cośkolwiek, tak, że stopniowo zadłużyłem się u swego pryncypała. Nie troszczyłem się wszakże o to, skoro tym kosztem mogłem być ciągle na tropie swoich wrogów.

„Byli oni wszakże przebiegli. Musieli widocznie podejrzewać, że mogą być ścigani, gdyż wycho-

dzili tylko we dnie i nigdy jeden bez drugiego. Przez dwa tygodnie jeździłem za nimi codziennie i nigdy nie widziałem ich osobno. Drebber był w większej części pijany, ale Stangersona nie widziałem nietrzeźwego. Sledziłem ich rano i pod wieczór—daremnie, ani cienia jakiej pomyslniej sposobności. Obawiałem się jedynie, żeby mi to tam wewnątrz nie pękło zawczasie, zanim zdążę spełnić, co zamierzyłem.

„Nareszcie pewnego wieczora, jeżdżąc tam i napowrót po ulicy Torquay Terrace, na której mieszkali, spostrzegłem, że przed ich dom zajezdza dorożka. Po chwili wyniesiono pakunki, poczem wyszedł Drebber, za nim Stangerson, wsiedli do dorożki i odjechali. Zaciąłem konia i pojechałem również, nie tracąc ich ani chwili z oczu, wielce zaniepokojony, obawiałem się bowiem, że zamierzają opuścić Londyn. Przed dworcem stacyi Euston wysiedli, a ja, poleciwszy chłopcu jakiemuś pilnować mego konia, udałem się za nimi na peron. Słyszałem jak dopytywali o pociąg do Liverpoolu i jak szwajcar odpowiedział im, że jeden tylko co odszedł, a następny nadejdzie dopiero za kilka godzin. Stangerson był tem widocznie zirytowany, lecz Drebberowi zwłoka ta była jakoś na rękę. Podszedłem do nich tak blisko, śród tłumu, jaki się na peronie przewijał, że słyszałem każde słowo ich rozmowy.

„Drebber powiedział jeszcze, że ma jakiś interes osobisty do załatwienia, że niedługo powróci i zażądał, żeby Stangerson zaczekał na niego. Ten ostatni nie chciał na to przystać i przypomniał mu, że postanowili nie rozłączać się nigdy. Na to znów Drebber odparł, że sprawa jest natury bardzo delikatnej, i że musi iść sam. Nie mogłem tym razem dosłyszeć odpowiedzi Stangersona, ale tamten wybuchnął, zaczął mu wymyślać i kłać i powiedział mu, że jest tylko jego płatnym sługą, że zatem nie ma najmniejszego prawa mu rozkazywać. Wobec

tego sekretarz zaprzestał dalszych perswazyi i zażądał tylko, aby, jeśli Drebber nie zdąży na pociąg spotkali się w hotelu Hallidaya, na co znów Drebber odparł, że powróci na peron przed jedenastą, poczem oddał się.

„Chwila, na którą czekałem tak długo, nadeszła wreszcie. Miałem znenawidzonych wrogów w swej mocy. Gdy byli razem, mogli się bronić wzajemnie, ale rozłączeni byli na mojej łasce. Nie działałem wszakże z nierozważnym pośpiechem. Plan miałem oddawna ułożony. Zemsta przynosi zadowolenie zupełne tylko wtedy, gdy krzywdziciel ma czas uprzytomnić sobie czyja ręka cios mu wymierza i z jakiego powodu spotyka go kara. Plan mój obmyślony był właśnie w ten sposób, żeby sprawca moich katuszy widział jasno, iż dawna zbrodnia jego została wykryta.

„Zdarzyło się, że na kilka dni przed tem, pan jakiś, który miał nadzór nad kilku domami na Brixton Road, zostawił klucz od jednego z nich w mojej dorozce. Tego samego wieczora zgłoszono się po ów klucz i został oddany. Ja wszakże miałem czas zrobić z niego odeisk i następnie sfabrykowałem taki sam. Tym sposobem zyskałem możność wejścia do jednego przynajmniej schronienia w tej olbrzymiej stolicy, gdzie mogłem być pewien, że mi nikt nie przeszkodzi. Teraz pozostało mi jednak zadanie najtrudniejsze,—wciągnięcie Drebbera do tego pustego domu.

„Drebber szedł pieszo i po drodze wstępował do kilku szynków. W ostatnim pozostał przez pół godziny prawie, a gdy wyszedł, chwiał się na nogach i był widocznie dobrze podchmielony. Tuż przedemną stała dorozka, do której wsiadł. Jechałem za nią tak blisko, że pysk mego konia był za ledwie o łokieć od niej oddalony. Minęliśmy most Waterloo i mnóstwo ulic, aż wreszcie, ku memu wielkiemu zdziwieniu, znaleźliśmy się znów przed

domem, w którym Drebber dotąd mieszkał. Nie mogłem pojąć, co miał znaczyć ten powrót, co Drebber zamierzał. Ujechałem jeszcze kawałek drogi i zatrzymałem się nieopodal domu. Gdy Drebber wysiadł, dorożka odjechała... Proszę, niech mi pan da szklankę wody. Zasycha mi w gardle, gdy długo mówię“.

Podąłem mu szklankę, którą wypił duszkiem. „A... teraz mi lepiej“—rzekł. — Otóż, czekałem z jaki kwadrans, gdy nagle rozległ się w domu hałas, jakgdyby rozpoczęła się bijatyka. W następnej chwili drzwi otwarły się z trzaskiem i ukazali się dwaj mężczyźni; jednym z nich był Drebber, a drugim młody chłopak, którego jeszcze nigdy nie widziałem. Chłopak ten trzymał Drebbera za kołnierz, a gdy stanęli na schodkach przed domem, pehnał go i kopnął nogą tak silnie, że tamten potoczył się na środek ulicy. „Ty psie jakiś!“—krzyczał, grożąc mu kijem—ja cię nauczę lżyć ucziwą dziewczynę!“ Był taki wzburzony, że myślałem, iż zacznie okładać kijem Drebbera, ale ten, zataczając się, uciekał, co mu sił starczyło, i ujrawszy na rogu moją dorożkę, wskoczył do niej i krzyknął: „Wież mnie do hotelu Hallidaya!“

Świadomość, że mam go nareszcie, w swojej mocy, przejęła mnie taką radością, serce moje zakolatało tak silnie, że obawiałem się, iż aneuryzm mój spleta mi figła w ostatniej chwili. Jechałem wolno, rozważając, jak najlepiej postąpić. Byłem już prawie zdecydowany wywieźć go za miasto i tam, w jakimś samotnym ustroniu, gdziekolwiek w polu, rozmówić się z nim po raz ostatni, gdy on sam nastreczył mi sposób rozstrzygnięcia sprawy. Ogarnęła go ponownie żądza wódki i kazał mi stanąć przed szynkiem. Wysiadł, polecił mi czekać i wszedł do sklepu, gdzie pozostał, dopóki go nie zamknęli, a gdy się znów zjawił, był w takim stanie, że miałem go już całkowicie, w swoich rękach.

„Niech sobie panowie nie wyobrażają, że zamierzałem go zabić z zimną krwią, jakkolwiek byłoby to tylko wymierzeniem sprawiedliwości; nie mogłem jednak się przezwyceżyć. Oddawna postanowiłem, że dam mu sposobność ocalenia życia, jeśli zechce z niej korzystać.

„Pośród licznych zajęć, jakie wykonywałem w ciągu tułaczego życia w Ameryce, byłem też przez czas jakiś posługaczem i preparatorem laboratoryum w York College. Pewnego dnia profesor miał wykład o truciznach i pokazywał studentom jakiś alkaloid, jak go nazwał, który otrzymał z jadu, używanego przez mieszkańców Ameryki południowej do zatruwania strzał. Profesor zapewniał, że najmniejsze ziarnko tej trucizny powoduje śmierć natychmiastową. Naznaczyłem flaszczykę, zawierającą tę substancję, a gdy wszyscy wyszli, wziąłem jej niewielką ilość.

„Stałem się, skutkiem wprawy, niezłym preparatorem, z łatwością zatem zrobiłem z owego alkaloidu małe, rozpuszczalne w płynie, pigułki, poczem wziąłem pudełeczka i do każdego z nich włożyłem po dwie jednakowe pigułki, jedną zabójczą, a drugą nieszkodliwą. Wówczas to postanowiłem, że gdy nareszcie nadejdzie odpowiednia sposobność, zaproponuję każdemu z moich wrogów, aby wybrali po jednej pigułce, gdy ją połknę tę, która pozostanie. Było to równie śmiertelne, a o wiele mniej hałaśliwe, niż strzelanie z rewolweru przez chustkę do nosa. Od owego dnia nie rozłączałem się z pigułkami i oto właśnie nadszedł czas skorzystania z nich.

„Dochodziła już pierwsza po północy, noc była ciemna, wieher dał przeraźliwie, deszcz lał, jak z cebra. Pomimo, że świat był taki ponury, w sercu mojem panowała radość, — tak wielka, że mógłbym krzyczeć głośno z uciechy. Jeśli który z panów pragnął kiedy czegoś ze wszystkich sił duszy,

jeśli łaknął tego przez lat dwadzieścia i naraz wszystkie jego nadzieje się spełniły, ten mnie zrozumie.

„Zapaliłem cygaro dla uspokojenia nerwów, ale ręce mi drżały i czułem bicie przyspieszonego tętna w skroniach. Jadąc widziałem przed sobą twarz starego Jana Ferriera i słodkie oblicze Lucy, którzy wśród ciemności patrzyli na mnie z uśmiechem; a widziałem tak wyraźnie, jak widzę tu panów wszystkich w pokoju. Przez cały czas towarzyszyli mi z obu stron konia, dopóki nie stanąłem przed domem na Brixton Road.

„Dokoła nie było widać żywej duszy, nie odzywał się najlżejszy dźwięk, oprócz plusku deszczu. Gdy zajrzałem przez szybę do karetki, spostrzegłem Drebbera nawpół leżącego, pogrążonego, w głębokim śnie pijaka. Potrzęsiałem nim mocno, mówiąc: „Czas wstać”.

„—Bardzo dobrze, mój przyjacielu—odparł.

„Przypuszczał widocznie, że zajechaliśmy przed hotel, o którym mówił, bo wyszedł, nie mówiąc już słowa i poszedł ze mną przez ogród. Musiałem iść tuż obok niego, by go podtrzymać, bo jeszcze z trudnością trzymał się na nogach. Gdyśmy doszli do drzwi, otworzyłem i wprowadziłem go do frontowego pokoju. Daję panu słowo, że przez całą drogę ojciec i córka szli przed nami.

„—Piekielnie tu ciemno—odezwał się Drebber, tupiąc nogą.

„—Zaraz będziemy mieli światło—rzekłem, pocierając zapałkę i przytykając ją do świecy woskowej, którą przyniosłem z sobą. — A teraz, Enochu Drebberze—ciągnąłem dalej, zwracając się do niego i oświetlając twarz własną — przyjrzyj mi się, poznajesz mnie?

„Patrzył na mnie przez chwilę mętnymi oczyma pijaka, poczem ujrzałem w nich nagle zgrozę, która wykrzywiła straszny skureczem twarz jego i wykazała mi, że mnie poznał. Pobladł śmiertel-

nie, zachwiał się, zatoczył w tył, widziałem, jak pot kroplisty występował mu na czoło, słyszałem jak szczękały mu zęby. Na ten widok oparłem się plecami o drzwi i roześmiałem się na całe gardło. Myślałem zawsze, że zemsta musi być słodka, ale nigdy, w najśmielszych warunkach, nie spodziewałem się doznać takiego uczucia rozkoszy, jakie teraz przepełniało moją duszę.

„—Ty psie!—rzekłem w końcu; ścigałem cię od Salt Lake City do Petersburga, a zawsze mi się wymykałeś. Teraz nareszcie skończyły się twoje wędrówki, bo albo ty, albo ja nie ujrzymy słońca jutrzejszego.

„W miarę jak mówiłem, Drebbler cofał się coraz dalej i wyczytałem z wyrazu jego twarzy, że przypuszczał, iż oszalałem. Narazie istotnie byłem w szale. Tętna biły mi w skroniach coraz silniej i zdaje mi się, że byłbym dostał jakiego ataku, gdyby krew nie była puściła mi się nosem, co mi przyniosło ulgę.

„—Przypominasz ty sobie teraz Lucy Ferrier?—zawołałem, zamknawszy drzwi na klucz, którym wymachiwałem mu przed nosem.—Kara kazała czekać na siebie długo, prawda, ale dzień zemsty nadszedł nareszcie.

„Nędznik drżał na całym ciele, słuchając tych słów. Byłby mnie niewątpliwie błagał, żebym mu darował życie, lecz widział dobrze, iż mu się to na nie nie zda.

„—Chcesz mnie zamordować?—wyjąkał.

„—To nie będzie morderstwo—odparłem.— Czy zabicie wściekłego psa można nazwać morderstwem? A ty miałeś litość nad moją ukochaną dziewczyną, gdyś ją oderwał od zwłok ojca i zabrał do swego przeklętego, hańbiącego haremu?

„—To nie ja zabiłem jej ojca!—zawołał.

„—Ale ty zламаłeś jej młode życie!—krzyknąłem, wyjmując pudełko z kieszeni.—Niech Bóg

Najwyższy będzie naszym sędzią. Wybierz jedną z tych dwóch pigulek i połknij. Ja wezmę tę, którą ty pozostawisz. Zobaczymy, czy jest sprawiedliwość na ziemi, czy też rządzi nami tylko przypadek.

„Padł na kolana, krzycząc i błagając litości, ale wydobyłem nóż i trzymałem mu go na gardle, dopóki mnie nie usłuchał. Potem połknąłem drugą pigulkę i staliśmy naprzeciw siebie w milczeniu przez jaką minutę mniej więcej. Który z nas umrze, a który żyć będzie?

„Zdaje mi się, że nie zapomnę nigdy wyrazu jego twarzy, gdy pierwsze bóle ostrzegły go, że on to połknął truciznę. Roześmiałem się na ten widok i podsunąłem mu przed oczy obrączkę ślubną Lucy. Trwało to jednak krótką chwilę, bo trucizna działała piorunująco. Skurez strasznego bólu wykrzywił mu twarz całą, wyciągnął ręce przed siebie, zatoczył się i, wydając krzyk ochryply, runął na ziemię. Odwróciłem go wówczas nogą i przyłożyłem mu dłoń do serca. Nie wyczulem najlżejszego ruchu. Nie żył!

„Krew mi szła ciągle z nosa, ale nie zwracałem na to uwagi. Nie wiem co mi wpadło do głowy, żeby napisać coś krwią na ścianie. Może kierowała mną złośliwa chęć wprowadzenia policyi na trop fałszywy—tak mi było błogo i wesoło w owej chwili!

„Przypomniałem sobie, że w Nowym-Yorku znaleziono zamordowanego Niemca, nad którym wypisany był wyraz RACHE. Dzienniki dowodziły wówczas, że zbrodnia musiała być popełniona przez jedno z tajnych towarzystw. Pomyślałem sobie, że to, co zdziwiło i zaintrygowało Nowojorczyków w niemniejsze wprawi zdumienie i Londyńczyków; umoczyłem tedy palec we własnej krwi i wypisałem ten sam wyraz drukowanymi literami w odpowiednim miejscu. Następnie zeszedłem i powróci-



łem do dorożki. Czas był w dalszym ciągu okropny, a dokoła panowała zupełna pustka.

„Gdy ujechałem kawalek drogi, wsunąłem rękę do kieszeni, gdzie chowałem zawsze pierścionek Lucy i przekonałem się, że go niema. Odkrycie to przeraziło mnie niesłychanie, była to bowiem jedyna pamiątka, jaką po niej miałem. Przypuszczając, że opuścił obrączkę, gdy się schylałem nad zwłokami Drebbbera, zawróciłem i, zostawiwszy dorożkę na bocznej ulicy poszedłem śmiało do domu — byłem bowiem zdecydowany raczej odważyć się na wszystko, niż stracić ten pierścionek. Ale, gdy wchodziłem, wpadłem na policyanta, który wychodził i zdołałem rozproszyć jego podejrzenia jedynie udając pijanego.

„Tak tedy umarł Enoch Drebbber. Pozostało mi jeszcze załatwić się tak samo ze Stangersonem i spłacić w ten sposób dług Jana Ferriera. Wiedziałem, że mieszkał w hotelu Hallidaya i czatowałem tam przez cały dzień, ale się nie pokazał. Zdaje mi się, że coś podejrzewał, gdy Drebbber nie wrócił. Ten Stangerson był bardzo przebiegły i miał się zawsze na baczności. Jeśli wszakże myślał, że ujdzie mojej zemście, siedząc w domu, mylił się bardzo.

„Z łatwością odnalazłem okno jego sypialni i nazajutrz, wczesnym rankiem, skorzystałem z drabiny, która leżała na uliczce za hotelem, i o szarym świcie dostałem się do pokoju Stangersona. Zbudziłem go i powiedziałem mu, że nadeszła godzina zemsty za jego dawne zbrodnie. Opisałem mu śmierć Drebbbera i dałem mu tak samo do wyboru pigułki. Zamiast skorzystać z tej szansy ratunku, jaką mu ofiarowałem, wyskoczył z łóżka, rzucił się ku mnie i schwytał mnie za gardło. Broniąc się, wbiliśmy mu nóż w serce. Zresztą, tak czy owak, on byłby umarł, gdyż Opatrzność nie dopuściła by

nigdy by jego ręka zbrodnicza wybrała pigułkę bez trucizny.

„Niewiele mam już do powiedzenia, i—to dobrze, bo jestem zupełnie wyczerpany. Przez kilka dni jeździłem doróżką, zamierzając zebrać tyle, by mi starczyło na powrót do Ameryki. Dzisiaj stałem na podwórku, gdy jakiś oberwany chłopak podszedł ku mnie i zapytał czy nie znam woźnicy nazwiskiem Jefferson Hope i powiedział, że po doróżkę właśnie przysłał go jakiś pan z ulicy Baker Nr 221b.

„Pojechałem pod wskazany adres, nie podejrzewając nic złego, a w następnej chwili ten oto młodzieniec tutaj ubrał mnie w niesłychanie zręczny i elegancki sposób, w bransoletki. Taka jest moja historia, panowie. Możecie mnie uważać za mordercę, lecz mojem zdaniem jestem takim samym narzędziem sprawiedliwości, jak i wy, panowie“.

Opowieść Jeffersona Hope'a tak pochłonęła naszą uwagę, a jego sposób mówienia oddziałał na nas tak głęboko, że zrazu siedzieliśmy milezący i pogrążeni w zadumie. Nawet policyanci zawodowi, jakkolwiek otrzaskani z najrozmaitszymi zbrodniami, byli widocznie tą historią bardzo poruszeni. Gdy skończył, siedzieliśmy przez kilka chwil w milczeniu, które przerwał tylko zgrzyt ołówka Lestradea, kończącego swe notatki.

— Chciałbym tylko jeszcze wyświetlić jeden szczegół—rzekł w końcu Sherlock Holmes.—Kto był ten pański wspólnik, który przyszedł po pierścionek?

Aresztant mrugnął żartobliwie na mego przyjaciela.

— Mogę zwierzać się panu z moich własnych tajemnic — rzekł — ale nie chcę zdradzać cudzych i przyczyniać ludziom kłopotu. Przeczytałem pańskie ogłoszenie i pomyślałem sobie, że to może być albo podstęp, albo też ów pierścionek, którego szukałem. Mój przyjaciel ofiarował mi swoje usługi,

powiedział, że pójdzie i zobaczy. Przyzna pan chyba, że wywiązał się z zadania sprytnie.

— Niezaprzeczenie — odparł Holmes szczerze.

— A teraz, panowie — odezwał się inspektor poważnie — formalności prawne muszą być dopełnione. We czwartek aresztant stanie przed sądem, a wówczas obecność panów będzie potrzebna. Ale do tego czasu ja za niego odpowiadam.

Mówiąc to zadzwonił, i ukazali się dwaj dozorecy, którzy wyprowadzili Jeffersona Hope'a, poczem wyszliśmy z Holmesem z biura, wsiedliśmy do dorożki i pojechali na ulicę Baker.

---

## ROZDZIAŁ VII.

### Zakończenie.

---

Otrzymaliśmy wszyscy wezwanie do sądu na czwartek, wszelako, gdy dzień ten nadszedł, zeznania nasze stały się zbyteczne. Wyższy sędzia wziął tę sprawę w swoje ręce, a Jefferson Hope powołany został przed jedyny trybunał, który wymierza ścisłą sprawiedliwość. W nocy po zaaresztowaniu nastąpiło u Hope'a pęknięcie aorty i dozorecy więzienni znaleźli go rano wyciągniętego na podłodze w celi; twarz miał uśmiechniętą, spokojną, jakgdyby w chwili zgonu oczyma duszy spoglądał na życie spędzone użytecznie, na spełnione zadanie przeznaczenia swego.

— Gregson i Lestrade będą wściekli, że umarł — zauważył Holmes, gdy mówiliśmy o tem następnego wieczoru. — Co się stanie z ich wielką reklamą?

— Nie uważam, żeby mieli jaki udział w schwy-  
taniu Hope'a—odparłem.

— Na tym świecie nietylko znaczy to, co czło-  
wiek robi istotnie — odpowiedział mój towarzysz  
z goryczą—lecz to, co zdoła wmówić w innych, że  
zrobił. Mniejsza o to,—ciągnął dalej tonem wesel-  
szym po chwili.—Byłbym niepocieszony, gdyby mnie  
ta sprawa ominęła. Nie pamiętam równie zajmują-  
cej. Jakkolwiek taka prosta, niemniej zawierała kil-  
ka bardzo pouczających dla mnie faktów.

— Taka prosta!—zawolałem.

— Oczywiście, nie można doprawdy określić  
jej inaczej—rzekł Sherlock Holmes, uśmiechając się  
z mego zdumienia.—A dowodem jak dalece była pro-  
sta jest fakt, że bez żadnej pomocy, z wyjątkiem  
kilku bardzo zwykłych wniosków, zdołałem schwy-  
tać przestępcę w ciągu trzech dni.

— To prawda—odrzekłem.

— Wyjaśniłem już panu, że wszystko co prze-  
kracza granice wydarzeń zwykłych, jest raczej wska-  
zówką, niż przeszkodą. W sprawie tego rodzaju  
główną rzeczą jest snuć wnioski wstecz. Jest  
to bardzo proste i bardzo użyteczne, ale ludzie mało  
się tem posługują. W życiu powszednim, istotnie,  
użytecznijszym jest wysnuwanie wniosków na przy-  
szłość i dlatego ludzie zaniedbują tamten system.  
Na pięćdziesięciu ludzi działających, na zasadzie  
syntezy, jeden zaledwie działanie swoje opiera na  
analizie.

— Wyznaję — rzekłem — że nie bardzo pana  
rozumiem.

— Domyślałem się tego. Spróbuję tedy wy-  
tłómaczyć się jaśniej. Większość ludzi, gdy im pan  
poda szereg następujących po sobie faktów, opo-  
wie panu zawsze, co z nich wyniknie. Połączą bo-  
wiem w myśli fakty owe i z nich wywnioskują, co  
stać się może. Mało bardzo wszakże jest osób, które,

jeśli im pan powie wynik, zdołają odtworzyć sobie w umyśle różne okoliczności, jakie do wyniku tego doprowadziły. Tę zdolność odtwarzania nazywam właśnie wysnuwaniem wniosków wstecz lub analizą.

— Rozumiem—rzekłem.

— Otóż w tej ostatniej sprawie mieliśmy wynik, a resztę trzeba było odnaleźć samemu. Sprobuję teraz wykazać panu swój sposób działania. Zaczniemy od samego początku. Zbliżyłem się, jak panu wiadomo, do domu owego pieszo, mając umysł wolny od wszelkich wrażeń w danym kierunku. Zacząłem, naturalnie, od oglądania drogi i, jak panu już mówiłem, dostrzegłem wyraźnie ślady dorożki, która nie mogła tam być kiedyindziej, niż w nocy; że zaś była to dorożka a nie powóz prywatny, wynioskowałem w wązkiego odstepu między kołami. Koła popolitej londyńskiej budy dorożkarskiej, są znacznie więcej osadzone, niż koła karety prywatnej.

„Zdobyłem tedy pierwszą wskazówkę. Następnie szedłem wolno ścieżką ogrodową, na której, jako posiadającej grunt gliniasty, odciskały się nader wyraźnie wszelkie ślady. Pan widziałeś tam nie wątpliwie tylko błotnistą, podeptaną we wszystkich kierunkach, drogę, lecz dla mego wprawnego oka każdy z tych śladów na jej powierzchni miał znaczenie.

„Niema gałęzi wiedzy policyjnej, która byłaby taka ważna i taka zaniedbana, jak sztuka odszukiwania śladów odcisniętych na ziemi. Na szczęście, przywiązywałem zawsze do tego wielką wagę i dzięki długiej praktyce doszedłem do niemałej wprawy w tym kierunku. Oto dostrzegłem tam ślady ciężkiego chodu policyantów, ale także i ślady stóp dwóch mężczyzn, którzy pierwsi przechodzili przez ogród. Nietrudno było odgadnąć, że byli tam przed policyantami, bo miejscami ślady ich nóg były zupełnie zatarte przez ślady tych, którzy przyszli później. W ten sposób zyskałem już drugie ogniwo

łańcucha, które mi wykazało, że gości nocnych było dwóch, z tych jeden niezwykle wysokiego wzrostu (wywnioskowałem to z długości jego kroków) a drugi modnie ubrany, sądząc z niewielkiego zgrabnego kształtu śladów, jakie pozostawiły jego buty.

„Wszedłszy do domu przekonałem się, że moje ostatnie przypuszczenie się potwierdziło. Mój wykwinicie obuty jegomość leżał przedemną. Ów wysoki zatem był sprawcą morderstwa, jeżeli wogóle morderstwo zostało popełnione. Nieboszczyk nie miał nigdzie rany, ale wzburzony wyraz jego twarzy wykazał mi, że zmarły przewidział los, jaki go spotkał. Ludzie, którzy umierają skutkiem wad sercowej, lub jakiej innej naglej naturalnej przyczyny, nie mają nigdy takiej wzburzonej twarzy. Po wążawszy usta nieboszczyka, odczułem lekką wo kwaskowatą i ztąd wywnioskowałem, że zmuszono go do zażycia trucizny. A że go zmuszono, dowiodła mi nienawiść i trwoga, jaka malowała się na jego martwym obliczu. Żadna inna hipoteza nie odpowiadała tym faktom. Nie sądzę pan, że to rzecz taka niezwykła. Zmuszanie do zażycia trucizny, nie jest bynajmniej rzeczą nową w rocznikach kryminalistyki. Wszystkim, którzy zajmowali się toksykologią znany jest dobrze wypadek z Dolskim w Cadesie i Leturierem w Montpellier.

„A teraz nasuwała się kwestya najpoważniejsza—przyczyna zbrodni. Nie popełniono jej dla rabunku, gdyż zmarłemu nic nie zabrano. Jakaż więc była pobudka: polityka czy kobieta?—zapytywałem siebie i odrazu ostatnia wydawała mi się prawdą podobniejszą. Zabójcy polityczni działają śpiesznie, a skoro zrobili swoje, myślą już tylko o ucieczce. To zabójstwo zaś dokonane było z największym spokojem, a morderca pozostawił ślady swoje w całym pokoju, co wykazywało, że pozostał do samego końca.

„Tak systematycznie wykonaną zemstę mogła wywołać tylko krzywda prywatna, nie zaś polityczna. Po wykryciu napisu na ścianie byłem bardziej jeszcze przeświadczony o słuszności mego przypuszczenia. Ten napis był widocznie tylko zasadzką dla zmylenia śladów, a znaleziony pierścionek potwierdził ostatecznie moje domysły. Najwidoczniej morderca użył go dla przypomnienia ofierze swojej jakiejś kobiety umarłej lub nieobecnej. Wówczas to spytałem Gregsona, czy w depeszy, wysłanej do Clevelandu, pytał o jaki specjalny szczegół z dawniejszego życia p. Drebbera. Przypomina pan sobie, sądzę, że otrzymałem odpowiedź przeczącą.

„Zabrałem się następnie do dokładnego obejrzenia pokoju, a to badanie utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie omyliłem się co do wzrostu mordercy i dostarczyło mi dodatkowych szczegółów, dotyczących cygara Trichinopoli, oraz długości paznokci zabójcy. Poprzednio już przyszedłem do wniosku, że, skoro nie było śladów walki, krew, znajdująca się na ziemi, polała się z nosa mordercy, skutkiem jego nadmiernego uniesienia. Dostrzegłem, że ślady krwi idą równomiernie ze śladami jego kroków. Rzadko się zdarza, żeby przypadek podobny zdarzył się, skutkiem wzruszenia człowieka, który nie jest bardzo krwisty, zryzykowałem tedy przypuszczenie, że zabójca jest człowiekiem silnym i ma cerę czerwoną. Dalsze wypadki dowiodły znów, że wnioskowałem słusznie.

„Opuściwszy ów dom, zrobiłem to, co Gregson uczynić zaniedbał. Zatelegrafowałem do naczelnika policyi w Clevelandzie, ograniczając się zapytaniem, co wie o okolicznościach, związanych z małżeństwem Drebbera. Odpowiedź była decydująca. Doniosła mi, że Drebber zwracał się już z prośbą o opiekę prawa przeciw dawnemu rywalowi w miłości, Jeffersonowi Hope'owi, i że tenże Hope przebywa narazie w Europie. Miałem zatem

już wszystkie nieci tajemnicy w ręku, chodziło jeszcze tylko o schwywanie mordercy.

„Nie wątpię już, że człowiek, który wszedł z Drebberem do domu, był woźnicą dorożki, w jakiej tenże przyjechał. Ślady kopyt na ulicy wykazały mi, że koń powłókł się trochę dalej, czego nie mógłby zrobić, gdyby kto pilnował. Gdzież zatem mógł być woźnica, jeśli nie w domu? Nadto, trudno przypuścić, żeby człowiek przy zdrowych zmysłach popełniał, z góry obmyśloną zbrodnię, wobec osoby trzeciej, któraby go niechybnie zdradziła. Wreszcie, jeśli ktoś chciał sięgać wroga w Londynie, jakież mógł obrać lepszy środek, niż zostać dorożkarzem? Te wszystkie rozważania doprowadziły mnie do niezbitego wniosku, że należy szukać Jeffersona Hope'a, wśród woźniców dorożkarskich stolicy.

„Jeśli bowiem był istotnie dorożkarzem, nie miał teraz powodu porzucić rzemiosła. Przeciwnie, z jego punktu widzenia jakakolwiek nagła zmiana, zwróciłaby na niego uwagę. Byłem zatem pewien, że jeszcze przez czas jakiś przynajmniej pozostanie przy dotychczasowym zawodzie. Nie było też powodu przypuszczać, że ukrywał się pod przybranym nazwiskiem. Pocóżby miał zmieniać nazwisko w kraju, w którym nikt jego prawdziwego nie znał?— Z tego to powodu zorganizowałem swój oddział policyjny, złożony z uliczników i posyłałem ich systematycznie do każdego właściciela dorożek w Londynie, dopóki nie wykryli tego, którego szukałem. Jak się wywiązali z zadania i jak szybko ja z ich odkrycia skorzystałem, pamięta pan chyba dobrze. Zamordowanie Stangersona było wypadkiem zupełnie niespodziewanym, ale niepodobna mu było zapobiedz. Skutkiem tej zbrodni wszakże wpadły mi w ręce pigułki, których istnienia już się domyślałem. Jak pan widzisz, cała ta sprawa stanowi nie-



przerwany i zupełnie logiczny łańcuch przyczyn i skutków.

— Ależ to kapitalne! — zawołałem. — Zasługi pańskie powinny być znane publiczności. Musisz pan opisać tę sprawę, a jeśli tego nie uczynisz, ja to zrobię za pana.

— Rób sobie co zechcesz, doktorze — odparł Sherlock Holmes. — Ale patrz! — ciągnął dalej, podając mi dziennik — przeczytajno to tutaj.

Było to *Echo* z tego samego dnia, a wskazany artykułik mówił właśnie o naszej sprawie.

„Publiczność“, brzmiał artykuł, „straciła sensacyjny proces, skutkiem nagłej śmierci niejakiego Hope'a, podejrzanego o zamordowanie p. Enocha Drebbera i p. Józefa Stangersona. Szczegóły morderstwa nie będą już prawdopodobnie wobec tego nigdy wiadome, jakkolwiek wiemy z wiarogodnego źródła, że zbrodnia była wynikiem dawnego a romantycznego zajścia, w którym wchodzą w grę miłość i mormonizm.

„Zdaje się, że obie ofiary należały za młodych lat do sekty Mormonów, a Hope, zmarły więzień, pochodził również z Salt Lake City. Sprawa ta nie dała żadnego rezultatu, lecz ma przynajmniej tę zasługę, że wykazała w świetny sposób zdolność naszej policji i posłuży za naukę wszystkim cudzoziemcom, iż lepiej uczynią, gdy załatwiać będą swoje zatargi w domu, nie przenosząc ich na ziemię brytańską. Jawną tajemnicą jest, że niełatwe a takie zręczne schwytywanie domniemanego mordercy, to jedynie zasługa dobrze znanych urzędników Scotland-Yardu, pp. Lestradea i Gregsona. Zbrodniarz zaaresztowany został, zdaje się, w mieszkaniu niejakiego Sherlocka Holmesa, który uprawia z amatorstwa rzemiosło agenta śledczego i wykazywał niejednokrotnie pewien spryt. Jest nadzieja, że, mając takich nauczycieli, z czasem dojdzie, w pewnej mierze, do tej samej, co oni, doskonałości. Spo-

dziewać się należy, iż owi dwaj urzędnicy policyjni otrzymają w uznaniu położonych zasług odpowiednią nagrodę“.

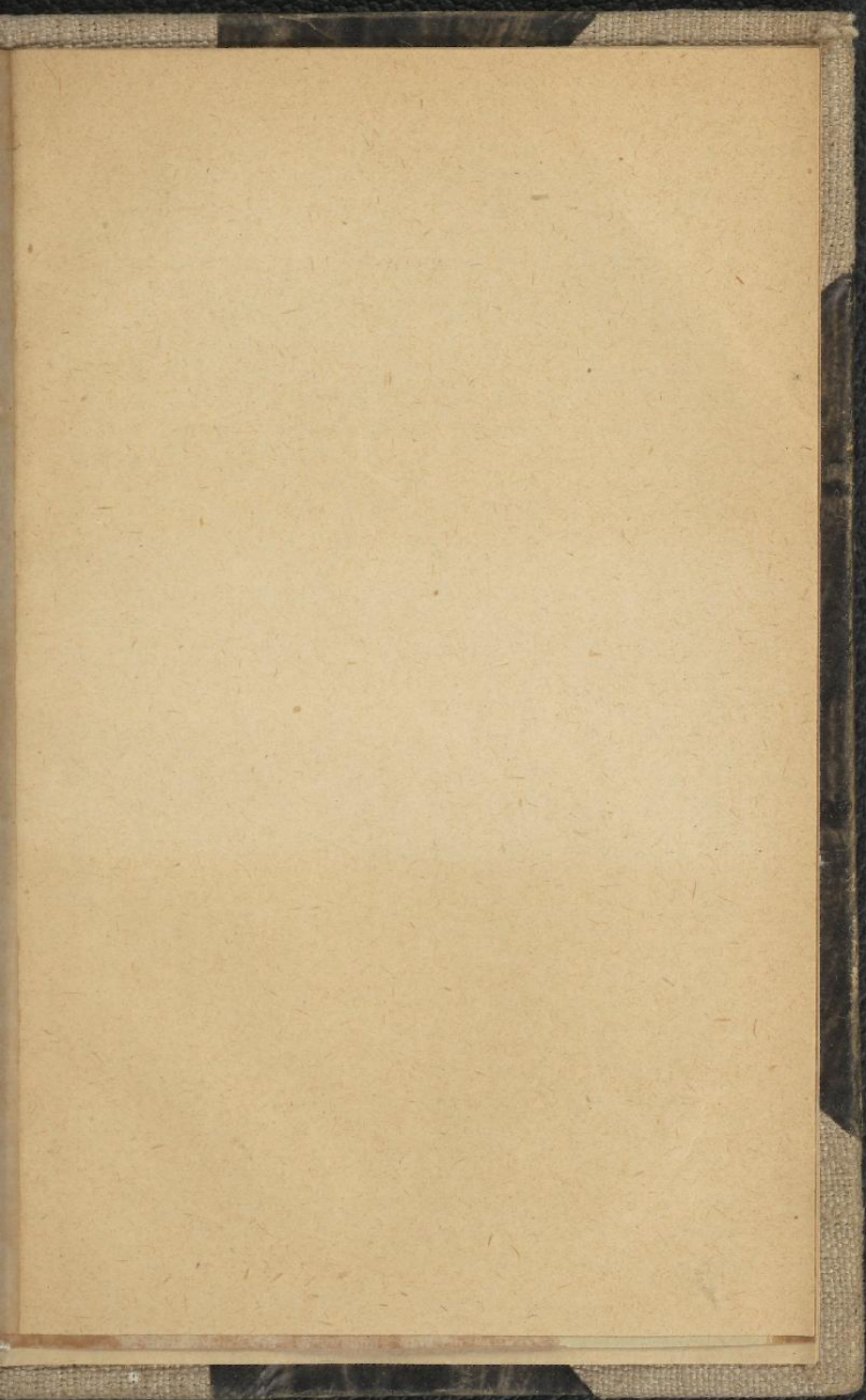
— Czy nie przepowiedziałem tego od samego początku?—zawołał ze śmiechem Sherlock Holmes.— Oto wynik wszystkich naszych zabiegów, naszego dążenia „czerwonym szlakiem“: zdobyć dla nich nagrodę!

— Mniejsza o to — odparłem; — mam całą tę sprawę zapisaną w dzienniku i publiczność dowie się o wszystkim. Tymczasem zaś musisz się pan zadowolić świadomością powodzenia i powtarzać wraz z klasycznym skąpcem starożytnego Rzymu:

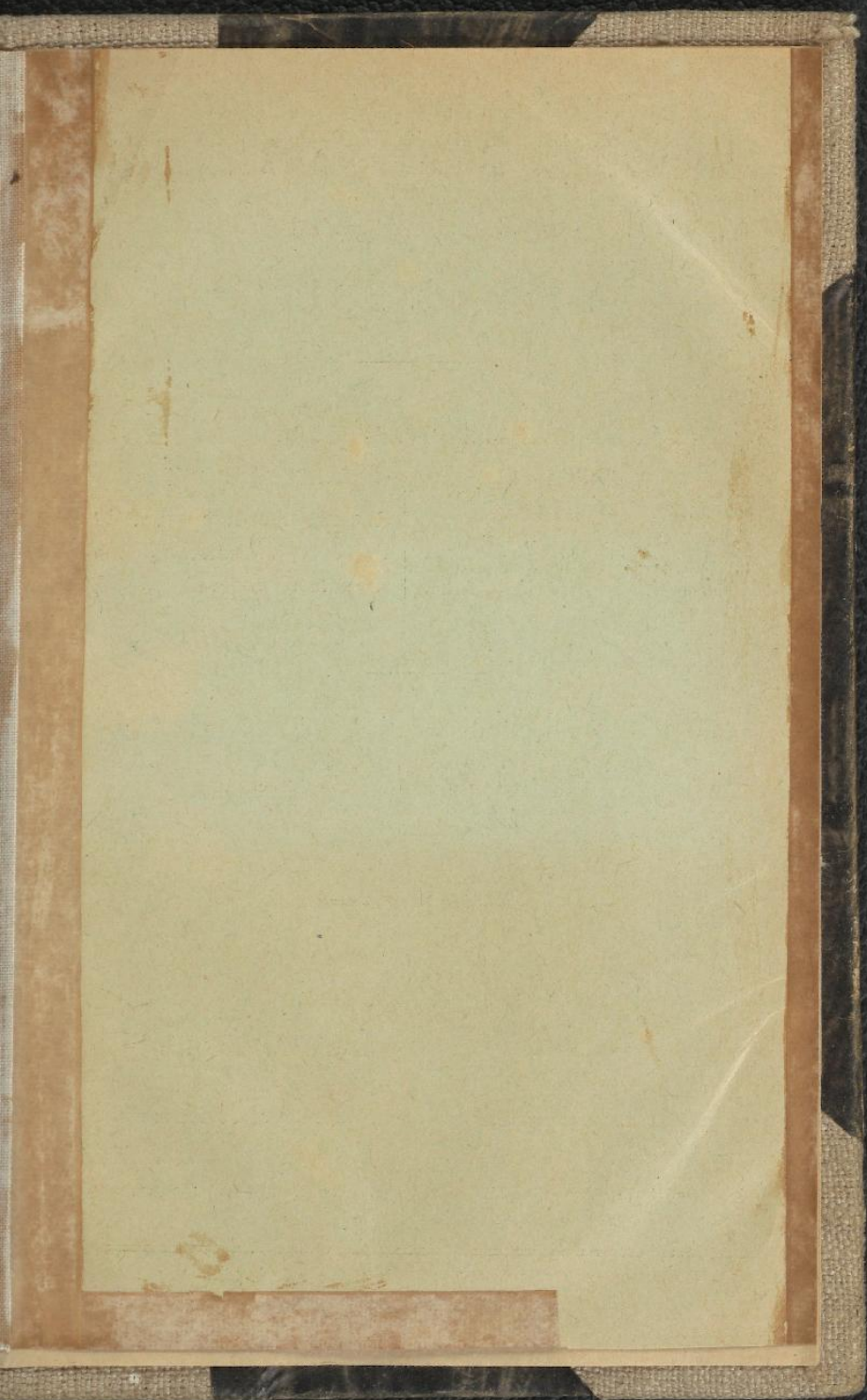
„Populus me sibilat, at mihi plaudo  
Ipse domi simul ac nummos contem plarin arca“.

K O N I E C.





3904



# Biblioteka Dzieł Wyborowych

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

## Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „ 3

Za odnośnienie do domu 15 kop. kwart.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

## Dopłata za oprawę:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . .	rb. 6 ko. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . .	rb. 3 ko. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . .	rb. 1 ko. 50

Za zmianę adresu na prowincyi dołącza się 20 kop.

REDAKTOR i WYDAWCA:

JAN GADOMSKI.

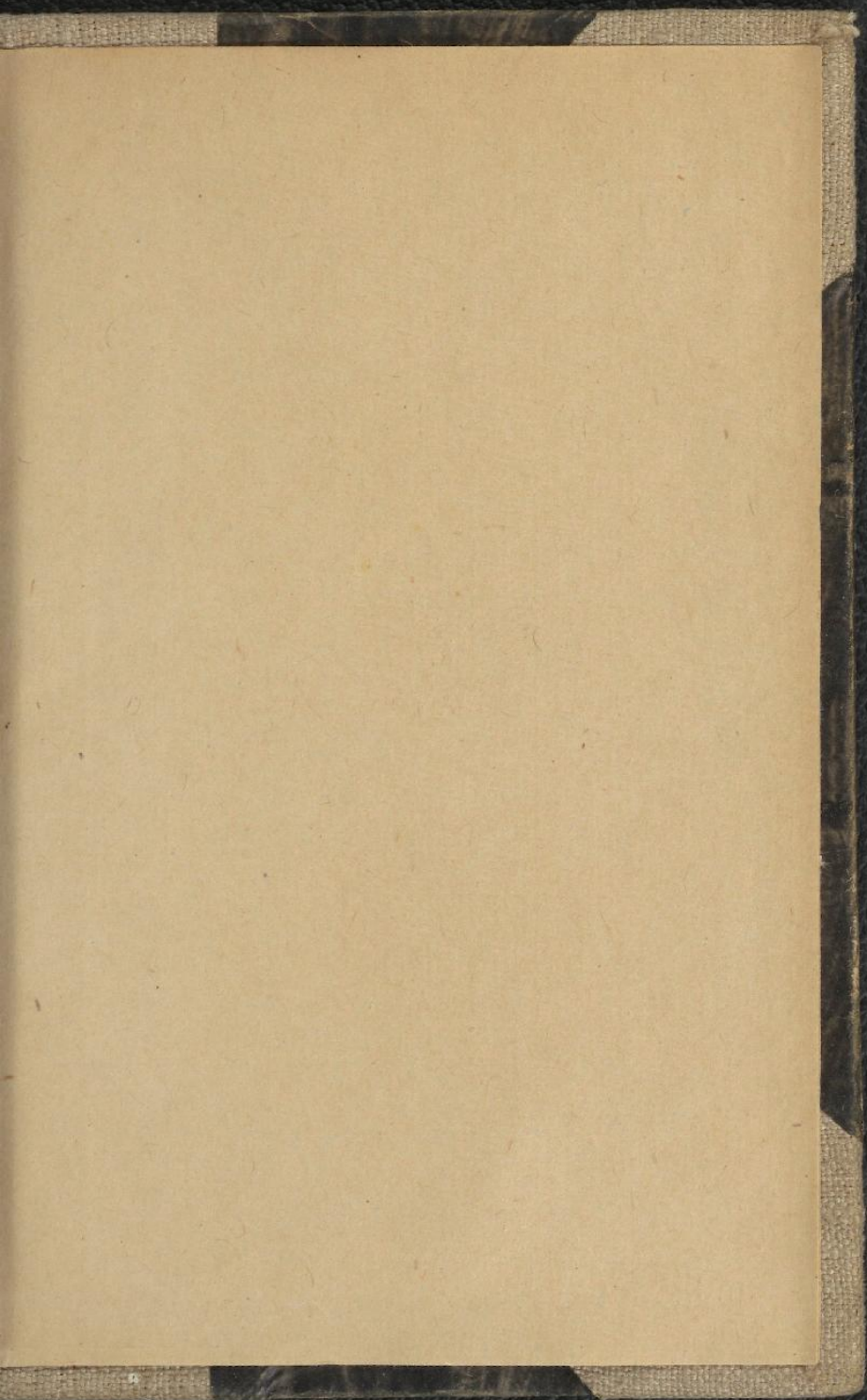
---

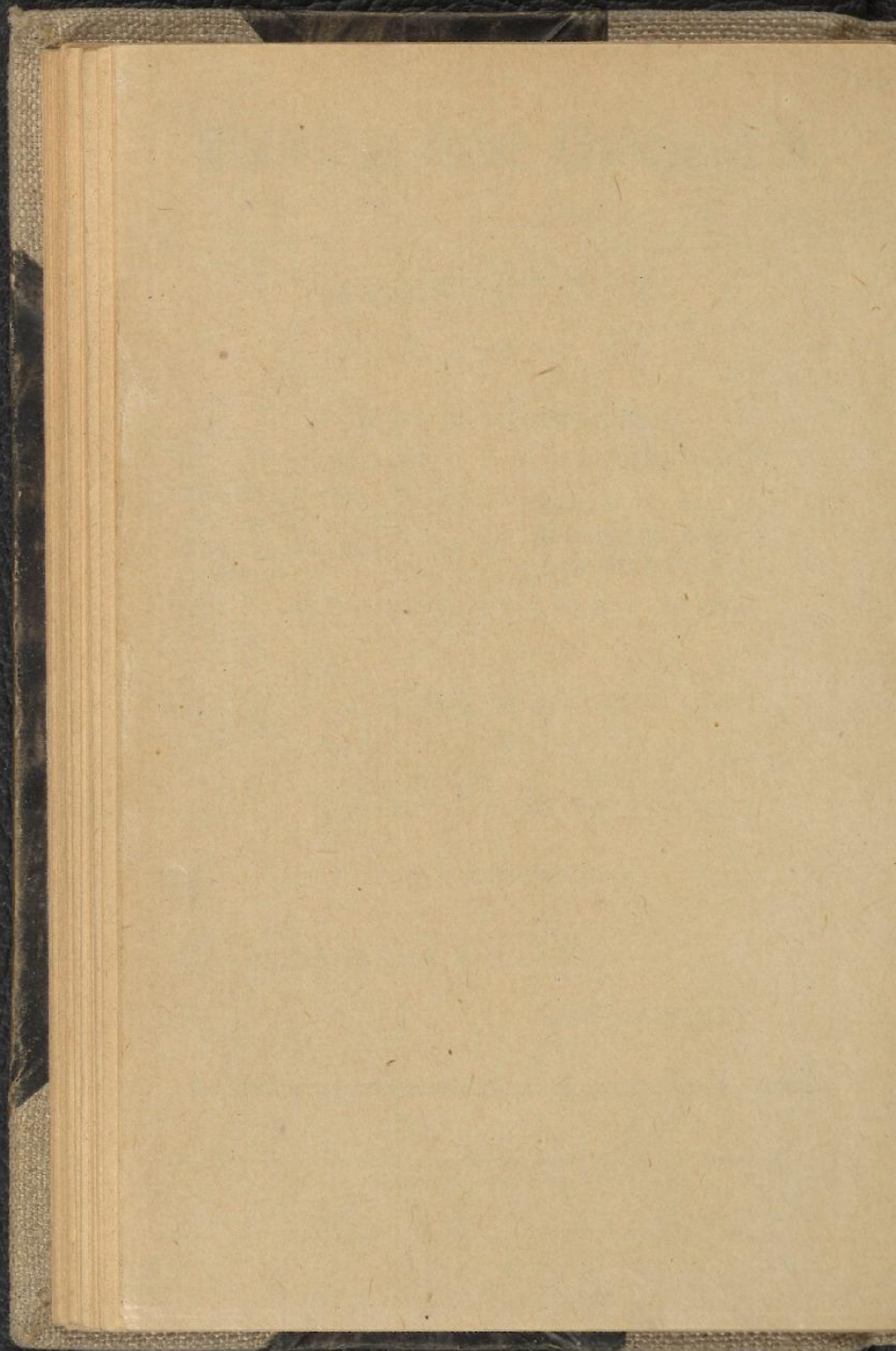
Redakcja i Administracja Warszawa, Warecka 14.—Telefonu 88,  
we Lwowie, Plac Maryacki L 4.

---

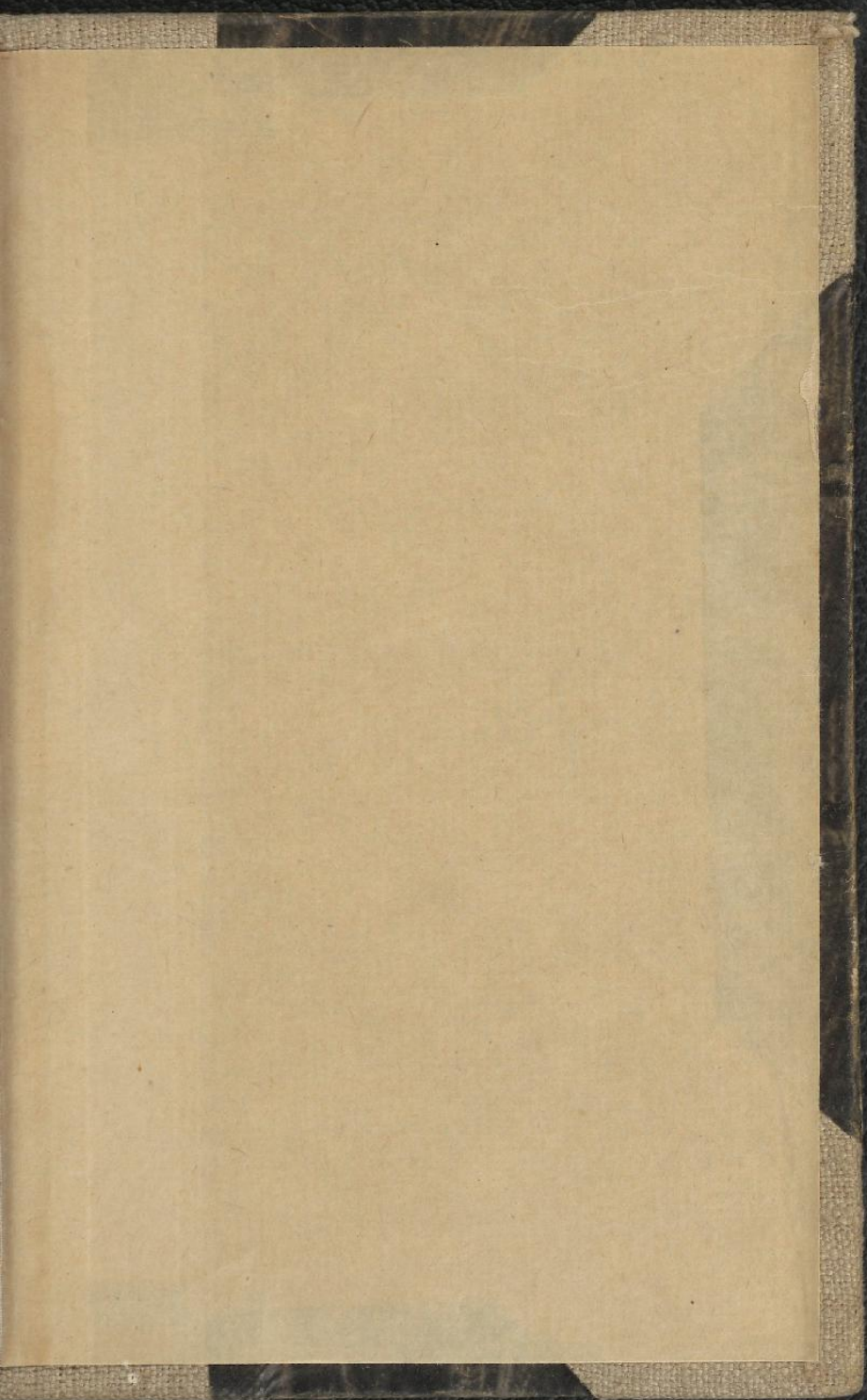
DRUK EDWARDA NICZA i S-ki, NOWY-ŚWIAT 70.

13











285725

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001016027037